Grzegorz Wierzchołowski
SMOLEŃSKIE GRZECHY DONALDA T.

Piotr Lisiewicz
„BROK" – FOTOGRAF POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

#129 11/2016 NOWE PAŃSTWO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

cena 12 PLN (w tym 8% VAT)
www.panstwo.net
nakład 16 820
indeks 211060
#129 11/2016

ROK RZĄDÓW PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI ANALIZUJĄ DZIENNIKARZE „NOWEGO PAŃSTWA"

TO NASTĘPNY ROK BĘDZIE DECYDUJĄCY

ISSN 1895-1960
9 771895 496605 11

eprasa.pl 12975ab158

TEMAT NUMERU 4–16

fot. Sławomir Kamiński/Sejm RP

To następny rok będzie decydujący / 4

SMOLEŃSK 18–22

fot. Shekatov Maxim/PAP/ITAR-TASS

Smoleńskie grzechy Donalda T. / 18

IDEE 24–37

Zwyczajni Niemcy i akcja T4 / 24

HISTORIA 38–63

fot. Bogusław Łukasik/Wikipedia

Lusterko, kot, niemiecki hełm / 38

KULTURA 64–69

fot. Jirí Jirák

Czy ja mordowałem te kobiety? / 64

ŚWIAT 70–97

fot. Michał Nadin/PAP

Brunatne duchy Rosenburg / 70

Spis treści

TEMAT NUMERU 4–16

Piotr Lisieiwcz
To następny rok będzie decydujący / 4

Magdalena Złotnicka
500 plusów, trochę minusów / 8

Tomasz Sakiewicz
Zmiana gospodarczego suwerena / 14

Ryszard Czarnecki
Niezły pierwszy rok – następne muszą być lepsze / 16

SMOLEŃSK 18–22

Grzegorz Wierzchołowski
Smoleńskie grzechy Donalda T. / 18

IDEE 24–37

Tomasz Terlikowski
Zwyczajni Niemcy i akcja T4 / 24

Małgorzata Matuszak
Szacunek dla życia i śmierci / 28

Robert Tekieli
Muzyka uzależnia? Przesadzasz, pajacu / 31

Roman Andrzej Stańczyk
PGZ stawia na innowacje / 34

HISTORIA 38–63

Piotr Lisiewicz
Lusterko, kot, niemiecki hełm / 38

Magdalena Złotnicka
Psy, czysta i czosnek na zagrychę / 44

Dariusz Jarosiński
Rzucili wyzwanie Peerelowi / 50

Agnieszka Kowalczyk
Polska Joanna d'Arc / 56

Stanisław Cat-Mackiewicz
Józef Piłsudski i Roman Dmowski. Ofensywa i obrona / 62

KULTURA 64–69

Sylwia Krasnodębska (Polskie Radio)
Czy ja mordowałem te kobiety? / 64

Krzysztof Karnkowski
Pociąg do Pusan / 66

Sylwia Krasnodębska (Polskie Radio)
Komedie romantyczne są dla mężczyzn / 69

ŚWIAT 70–97

Olga Doleśniak-Harczuk
Brunatne duchy Rosenburg / 70

Hanna Shen
Gry i gierki Xi Jinpinga / 76

Antoni Rybczyński
Putin i jego bezpieka / 80

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji / 86

Stefan Czerniecki
Wyścig inny niż wszystkie / 90

eprasa.pl 12975ab158

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska-Hejke
Górny zamek postkomuny
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... milczenie
KATECHIZM INTELIGENTA 17

Ryszard Czarnecki
Wybory w USA... A.D. 2020
CZARNECKO TO WIDZĘ 23

Olga Doleśniak-Harczuk
Czyści jak łza
Z GLOBALNEGO TYGLA 88

Marcin Wolski
Bez wiwatu
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Jak pokonać wroga bez walki
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska-Hejke (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
tel. +48 22 290 00 90 wew. 3
prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
47124010531111001019991772

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

Katarzyna Gójska-Hejke

Górny zamek postkomuny

Rozmontowywaniu postkomunizmu musi towarzyszyć skuteczna komunikacja społeczna. Manipulacyjna machina obrońców III RP jest dobrze naoliwiona, Prawo i Sprawiedliwość popełni błąd, jeśli zlekceważy jej możliwości tumanienia Polaków.

W najnowszym wydaniu naszego miesięcznika podsumowujemy rok rządów PiS. W otwierającym temat numeru tekście Piotr Lisiewicz pisze, że to drugi, a nie pierwszy, rok nowej władzy będzie kluczowy dla Polski i dla rządzącej formacji. Ma rację. Przed zwycięską partią wiele trudnych wyzwań, jedno z nich do czerwoności rozgrzeje tryby maszyny propagandowej III RP – reforma sądownictwa. Jeśli będzie głęboka i da szansę na rozbicie układów, które stworzyły postkomunistyczny system – Polska będzie miała pierwszą szansę na realne uwolnienie się od wszystkich blokujących rozwój, awans społeczny ograniczeń, które wypracowano na przełomie lat 80. i 90., a potem twórczo rozwijano i doskonalono. Wymiar sprawiedliwości jest dziś bowiem górnym zamkiem postkomuny. Wydarzenia związane z Trybunałem Konstytucyjnym można uznać za przedsmak tego, co będzie towarzyszyć przebudowie polskiego sądownictwa. Nie mniejszą histerię wywoła wejście ustaleń przyczyn tragedii smoleńskiej w kluczową fazę. Próbkę zwiastującą to szaleństwo mogliśmy obserwować pod koniec października, gdy szef MON ujawnił w rozmowie z „Gazetą Polską" informacje ze spotkania Tusk–Putin w nocy 10 kwietnia 2010 r. Na posiedzeniu sejmowej Komisji Obrony Narodowej, która odbyła się kilka dni po tej publikacji, zarówno członkowie podkomisji dr. Wacława Berczyńskiego, jak i sam Antoni Macierewicz, zostali obrzuceni inwektywami przez posłów Platformy. Rzecznik tego ugrupowania pisał na portalach społecznościowych, że niedługo badający przyczyny dramatu z 10 kwietnia 2010 r. naukowcy odkryją, iż na pokładzie rządowego tupolewa był Elvis Presley. Palikotowe występy medialnej twarzy partii Schetyny nie są jedynie przejawem niebywałego prostactwa ich autora. To zaplanowana akcja, która ma na celu rozhuśtać emocje polskiej opinii publicznej. Temu samemu służyły ataki zdziczałych hord na Krakowskim Przedmieściu kilka miesięcy po śmierci delegacji RP w Rosji.

I w tym momencie warto zwrócić uwagę na jeszcze jedno – niełatwe i ważne – wyzwanie stojące przed ekipą PiS. Rozmontowywaniu postkomunizmu musi towarzyszyć skuteczna komunikacja społeczna. Manipulacyjna machina obrońców III RP jest dobrze naoliwiona, Prawo i Sprawiedliwość popełni błąd, jeśli zlekceważy jej możliwości tumanienia Polaków. Zmianie musi ulec język narracji w polskiej debacie publicznej. Media publiczne muszą przejść głębokie przeobrażenie – to dotychczasowe wydaje się powierzchowne i niewystarczające – muszą wyrzucić ze swojego słownika zbitki, którymi przez lata posługiwała się królująca w naszym kraju propaganda, i zacząć opisywać polską rzeczywistość polityczną i społeczną nowym językiem. Prosty przykład – pogrzeb „Inki" i „Zagończyka" był obficie transmitowany w mediach publicznych. Doskonale. Jednak niemal co chwilę relacjonujący uroczystości dziennikarze powtarzali jak mantrę propagandowe hasło Peerelu i później postkomunistycznych mediów o domniemanej „wojnie domowej", którą chcieli wywołać Niezłomni. Niby przedstawiano ich jako bohaterów, niby poświęcono im wiele godzin czasu antenowego, ale mimo wszystko zachowano elementy komunistycznej manipulacji. To prawda, iż nie ostentacyjnie, ale zauważalnie. Ten mechanizm funkcjonuje na co dzień i dotyczy nie tylko historii, lecz także polityki, spraw społecznych, Smoleńska. Póki nie zostanie wyeliminowany, póty Polacy w znakomitej większości pozostaną bezbronni wobec postkomunistycznych manipulacji. ■

eprasa.pl 12975ab158

Piotr Lisiewicz

To następny rok będzie decydujący

eprasa.pl 12975ab158

O losach Polski i jej niepodległości zadecyduje najbliższy rok – drugi rok rządów PiS. Kluczowe będzie pozbawienie postkomunistycznej strony źródeł jej siły: reforma wymiaru sprawiedliwości, odtajnienie aneksu do raportu WSI i zbioru zastrzeżonego IPN, zmiana kadr w dyplomacji oraz uzyskanie przez obóz niepodległościowy przewagi w mediach. W bitwie o Polskę przegra ta strona, która straci wolę walki, podda się presji przeciwnika, zwątpi we własną wygraną.

fot. Tomasz Adamowicz/Gazeta Polska

Jak wyglądają po roku rządów PiS zmiany w poszczególnych ministerstwach i instytucjach? Można z pewnością powiedzieć, że zmiany te idą nierówno i nie wszyscy ministrowie wykorzystali przypływ energii, jaką dało PiS przejęcie władzy oraz spełnienie obietnicy „500+", do radykalnych zmian, likwidujących postkolonialny status Polski.

Macierewicz, czyli zdecydowanie popłaca

Najszybsze zmiany zachodzą w MON, a operacja przejęcia przez ministerstwo Centrum Eksperckiego Kontrwywiadu NATO z rąk ludzi, którzy wywieszali tam godło FSB, pokazała, że bycie zdecydowanym popłaca. Media postkomuny polamentowały sobie przez kilka dni („Jak Macierewicz włamał się do NATO" – taki tekst opublikowali Wojciech Czuchnowski i Paweł Wroński), a potem ucichły, bo sprawa okazała się dla nich mało wygodna wizerunkowo.

Antoni Macierewicz był też głównym autorem sukcesu szczytu NATO, a zawarcie umów umożliwiających wojskom NATO szybkie udzielenie pomocy Polsce ma tu znaczenie kluczowe.

Zasługą Macierewicza jest też wykorzystanie energii młodych patriotów do tworzenia Obrony Terytorialnej. To właśnie jej wykorzystanie lub zmarnowanie zdecyduje o zwycięstwie lub przegranej obozu niepodległościowego.

Pod tym względem zdecydowanie słabiej wygląda MSZ. Polska polityka zagraniczna zmieniła się i odnotowała pewne sukcesy, mając udział w powodzeniu szczytu NATO, ale zmiany personalne w MSZ idą powoli. W kluczowych ambasadach nadal rządzi postkomuna, która witając prezydenta Andrzeja Dudę, wygląda groteskowo. Prezydenta oklaskują głównie ci, którzy urzędników ambasady postrzegają jako skansen. W niewielkim stopniu dla polskiej sprawy udało się wykorzystać energię patriotycznych środowisk młodych emigrantów.

Wygrać z sądową skamieliną

Ministerstwo Sprawiedliwości znalazło się na pierwszej linii frontu z powodu awantury rozpętanej przez kierownictwo Trybunału Konstytucyjnego. W sądownictwie opór przeciwko zmianom okazał się szczególnie silny, bo rządzące nim postkomunistyczne układy pozostały od czasów PRL niemal nietknięte.

Ale sukcesem jest fakt, że owe struktury zostały sprowokowane do ujawnienia się, odsłonięcia swo-

eprasa.pl 2975ab158

jej natury. Każdy, kto obejrzy w Internecie relacje filmowe z Kongresu Sędziów i obchodów 30-lecia Trybunału Konstytucyjnego, podczas których sędziowie wygłaszają ostre deklaracje polityczne, z porównywaniem rządów PiS do nazizmu włącznie, nie może już powiedzieć, że nasze twierdzenia, iż mamy do czynienia ze skamieliną rodem z totalitaryzmu, były niesłuszne.

Ale te wystąpienia pokazały coś jeszcze: katastrofalny poziom ludzi, którzy pomstując na Jarosława Kaczyńskiego, nie potrafią wymyślić żadnego własnego złośliwego dowcipu czy bon motu. Powtarzają tylko popłuczyny po złośliwościach Kuby Wojewódzkiego czy Tomasza Lisa sprzed kilkunastu lat z triumfującą miną: ale wymyśliłem, ale mu dowaliłem. Choć nie bez malującej się na twarzy nerwowości, bo co będzie, jeśli to nie jest tylko nasza propaganda i ten Kaczyński faktycznie okaże się groźnym dyktatorem?

Reforma wymiaru sprawiedliwości przygotowana przez wiceministra sprawiedliwości Łukasza Piebiaka wygląda bardzo obiecująco, w szczególności gdy chodzi o odebranie władzy szefom wydziałów oraz innym biurokratycznym tworom, mogącym korumpować sędziów obietnicami awansu. Pytanie tylko, czy PiS starczy odwagi, by ją przeprowadzić. Paradoksalnie historia sporu o Trybunał Konstytucyjny powinna rząd w tej sprawie ośmielić, bo PiS na niej nie stracił.

▶ Sukcesy i porażki służb

Polskie służby specjalne i policja odniosły sukces, zapewniając bezpieczny przebieg szczytowi NATO i Światowym Dniom Młodzieży. Widok Polaków klaszczących na widok przechodzących oddziałów policji to było coś nowego. Ale zmiany personalne w policji też idą raczej wolno. Autorzy policyjnych prowokacji z czasów rządów PO–PSL według dostępnego stanu wiedzy nie stracili pracy.

Do miejsc, w których energia młodych powinna zostać uwolniona zdecydowanie szybciej, należą media publiczne. W TVP zmieniły się mocno „Wiadomości" oraz pasmo wieczorne w TVP Info, ale w wielu innych miejscach nowe władze wolały zawrzeć kompromisy ze starymi układami. To dotyczy także lokalnych oddziałów TVP i Polskiego Radia.

Polskiemu obozowi niepodległościowemu sprzyja sytuacja międzynarodowa. Propaganda nie ma takiej siły rażenia, by przekonać Polaków do wpuszczania uchodźców z krajów muzułmańskich. A PO i Nowoczesna z uwagi na swych niemieckich przyjaciół nie mają w tej sprawie wielkiego pola manewru. Dlatego PiS powinien eksploatować ten temat.

▶ Przebieranki postkomuny za grupy zawodowe

Słabnięcie KOD-u pokazało, iż strona postkomunistyczna jest o wiele słabsza niż 10 lat temu, a ulica zdecydowanie nie jest jej żywiołem. Na niekorzyść KOD działał nie tylko zaawansowany wiek 80 proc. uczestników manifestacji nazywanych zlotami geriatrycznymi, lecz także to, że bankierów trudno przebrać za trybunów ludowych. Posłanka Scheuring-Wielgus w roli wiecowego trybuna, z przekrzywioną biało-czerwoną flagą nawet bez okrzyku „Dość dyktatury kobiet!" wygląda groteskowo.

Zabawnie brzmią wypowiedzi niektórych biznesmenów z komunistycznym rodowodem, którzy skarżą się na to, że do krytyki PiS nie rwą się organizacje biznesu. Tu akurat straszenie PiS-em przez TVN mogło odnieść efekty odmienne od zamierzonych. Ponieważ znaczna część liderów biznesu III RP ma na swoim koncie różne działania łamiące prawo, woli nie wychylać się, skoro straszona jest, że nastały czasy groźnej dyktatury. Oczywiście jeśli PiS przegra, będą oni wniebowzięci, jednak póki co wolą się nie wychylać.

Te porażki tamtej strony spowodowały, że rozpoczęły się przebieranki postkomuny za różne grupy zawodowe. Nie wolno nam dać sobie narzucić narracji, zgodnie z którą przeciwko PiS protestują „nauczyciele", „artyści" czy „sędziowie". Protesty odbywają się tam, gdzie istnieje silna postkomunistyczna skamielina, taka jak Związek Nauczycielstwa Polskiego, wieloletni beneficjenci państwowych dotacji dla artystów czy najlepiej zarabiający tzw. sędziowie pałacowi, piastujący liczne dobrze płatne funkcje.

Są to grupy mniejszościowe, uprzywilejowane w każdym z tych zawodów, jednak na tyle liczne, by zorganizować protest, który przez media przedstawiany będzie jako manifestacja całości. Część mediów zrobi to celowo, a część niejako z rozpędu – po prostu łatwiej w krótkim newsie powiedzieć „protestowali nauczyciele", niż wytłumaczyć, czym jest ZNP, jaką tradycję i jakie lobby reprezentuje.

▶ Kaczyński makiaweliczny, ale nie słaby

Sukcesem obozu niepodległościowego jest fakt, że inaczej niż w latach 2005–2007 nie udało się stworzyć wrażenia tymczasowości rządów PiS, a były i tym razem takie próby. Lepiej, gdy media

eprasa.pl 12975ab158

opowiadają o makiawelicznym Jarosławie Kaczyńskim, który stworzył z najbardziej ciemnych w narodzie sił niesłychanie sprawną armię, niż miałyby skutecznie stwarzać wrażenie, że PiS zaraz upadnie.

Pamiętam, że gdy mój kolega obejmował 10 lat temu szefowanie jednej z publicznych lokalnych radiowych rozgłośni, traktowany był pobłażliwie, jako ktoś, kto jest tu tymczasowo. Tymczasem dziś po objęciu przez niego tego samego stanowiska dziennikarze zaczęli walić do radia drzwiami i oknami.

Siłom postkomunistycznym udały się dwie antypisowskie akcje, mianowicie kwestia aborcji i rozpętanie afery pod hasłem Misiewiczów. PiS powinien w sprawach ideologicznych robić dokładnie tyle, na ile godzą się na to Polacy. Mając do wyboru z jednej strony zdrowy konserwatyzm, a z drugiej – gender i „marsze równości", wybiorą konserwatyzm. Natomiast jeśli mediom udaje się ustawić to w opozycji dewoci–normalność, wygrywa ta druga.

Akurat sprawa obrony życia jest dla PiS najbardziej niebezpieczna, bo bycie przeciwnikiem aborcji nie jest przejawem dewocji, jednak większość Polaków uważa inaczej. Być może zmieni się to, gdy do głosu dojdzie nowe pokolenie, które opowiada się w największym stopniu za obroną życia.

Z kolei sprawa Misiewiczów była groźna dlatego, że jej prawdziwym celem było zablokowanie awansu młodych, zastępujących doświadczone kadry rodem z postkomunistycznych układów. Jej moc rażenia była niemała, niemniej osłabił ją fakt, że w roli jej wykonawców obsadzeni zostali liderzy Nowoczesnej.

Ich opowieść

Mamy więc do czynienia ze starciem dwóch narracji. Zgodnie z opowieścią przeciwnika w Polsce panował komunizm, który był siermiężny, zamordystyczny i dobrze, że się skończył. Jego symbolem jest anonimowy, ograniczony esbek, z którego się drwi. Nazwisk odpowiedzialnych za komunizm wymienia się kilka, a i owe osoby przedstawia się jako niejednoznaczne.

Potem w wyniku „okrągłego stołu" przyszły demokracja, liberalizm i dobrobyt, a naturalną elitą zostali najmądrzejsi z Polaków. Teraz rozpoczął się nawrót do bolszewizmu, a Kaczyński demokrację chce zniszczyć. Zamiast europejskości i nowoczesności chce wprowadzić w Polsce ciemnotę i zaścianek.

A na czym konkretnie polegają jego przestępstwa? To zależy, co aktualnie jest na topie, ale jak wycisnąć z tej gadaniny konkrety, to jasne jest, że chodzi o to, iż stara się on pozbawić dotychczasowe elity ich dotychczasowej pozycji.

Nasza opowieść

Zgodnie z naszą opowieścią w Polsce panował komunizm, który został poddany transformacji, w wyniku której powstało państwo postkolonialne. Nie rozliczono tych, którzy służyli okupantowi. Odwrotnie, oddano im wszystkie narzędzia panowania w państwie nazwanym demokratycznym – biznes, media, sądy itp. Istotą III RP jest fakt, że status elit otrzymali w niej najgorsi: gotowi służyć obcym – wczoraj okupantowi, dziś każdemu antypolskiemu lobby, które zaoferuje im zyski oraz da możliwość kraść na olbrzymią skalę. Nienawidzą oni tradycyjnej polskości, naszej historii, patriotyzmu, a tym samym nas, dla których polskość ma najwyższą wartość.

Ta wielopokoleniowa sitwa blokuje ścieżki awansu zwykłym Polakom i to jest główna przyczyna emigracji milionów z nich. Wygrana PiS to szansa, by pozbawić przywilejów tę uprzywilejowaną postkomunistyczną kastę i stworzyć państwo, które zamiast służyć najgorszym, służyć będzie interesowi narodowemu i interesowi zwykłych Polaków.

Sprowadzić ich do roli KPP

Dogadanie się z wierchuszką tamtej strony jest niemożliwe, bo ona kieruje się własnym interesem, który pozostaje w sprzeczności z interesem Polski. Natomiast możliwe jest dogadanie się z częścią zwykłych zwolenników tamtej strony.

Przedsmoleńskie wrażenie istnienia względnej zgody narodowej polegało na tym, że obóz postkomunistyczny był nieporównywalnie silniejszy od niepodległościowego. Ta zgoda była stanem najgorszym z możliwych, bo służyła realizacji obcych oraz oligarchicznych interesów.

Teraz Polska jest podzielona, bo obóz niepodległościowy staje się coraz silniejszy, a postkomunistyczny słabnie. Ten podział jest sytuacją o niebo lepszą. Nie jest jednak stanem, który nas zadowala, bo naszym celem jest odbudowanie względnej zgody wśród Polaków poprzez wyeliminowanie sił antypolskich. Wbrew propagandzie tamtej strony ta Polska nie ma być Polską jednolitą, ma być w niej miejsce na prawicę i lewicę, ale obóz III RP, obóz antypolski, musi być sprowadzony do statusu przedwojennej KPP.

I o to toczy się gra, której wynik może rozstrzygnąć się w ciągu najbliższego roku. ■

eprasa.pl 12975ab158

Magdalena Złotnicka

500 plusów, trochę minusów

eprasa.pl 12975ab158

Rok temu Polacy postawili na patriotów. Prawo i Sprawiedliwość wygrało wybory i samodzielnie stworzyło rząd. O sukcesie wyborczym zadecydowały nie tylko konserwatywne wartości, prezentowane przez tę formację, lecz także to, że obywatele uwierzyli, iż PiS po prostu zadba o ich codzienność. W służbie zdrowia, szkolnictwie, na rynku pracy etc. miał być zrobiony porządek. Na ile ekipa Beaty Szydło wywiązała się z tego zadania? Chociaż 56 proc. Polaków uważa, że PiS wywiązuje się ze swoich zadań, to nawet środowiska życzliwe ekipie rządzącej zauważają, że niektóre zmiany są wprowadzane zbyt wolno. Lub zbyt chaotycznie.

Ogromna część mieszkańców naszego kraju, na co dzień nieinteresująca się polityką, głosowała na PiS, bo widziała w tej partii szansę na uczciwe, godziwe zarobki, na stworzenie nowych miejsc pracy, na to, że państwo zaopiekuje się najsłabszymi. To właśnie głosy tych, którzy w PiS-ie docenili program społeczno-gospodarczy, pozwoliły tej formacji na przebicie szklanego sufitu, wyjście poza poparcie, które dawał jej tzw. twardy elektorat. Po roku ekipa rządowa pod przewodnictwem premier Beaty Szydło na niektórych polach może pochwalić się niewątpliwymi sukcesami i wyliczać to, co już udało się zrobić. W innych obszarach trudno mówić o „dobrej zmianie". Bynajmniej nie mam tu na myśli postulatów, jakie na manifestacjach wykrzykują przedstawiciele Komitetu Obrony Demokracji czy środowisk powiązanych z poprzednią ekipą rządzącą. Myślę raczej o uwagach, jakie zgłaszają do rządu środowiska do tej pory bardzo życzliwie podchodzące do partii Jarosława Kaczyńskiego. Ich głosy, chociaż dotyczą różnych zagadnień, mają jedną cechę wspólną. Ich ogólny wydźwięk jest taki, że kierunek jest dobry, jednak zmiany postępują zbyt wolno.

Mimo to – jak wynika z niedawno przeprowadzonego sondażu przez CBOS – 56 proc. Polaków uważa, że PiS wywiązuje się z obietnic złożonych w kampaniach wyborczych, w tym 8 proc. nie ma co do tego wątpliwości. Warto zwrócić uwagę, że owe 56 proc. to więcej niż PiS uzyskał w zwycięskich dla siebie wyborach parlamentarnych jesienią 2015 r.

Ocena ta dotyczy jednak ogółu poczynań władzy. A jak te oceny wyglądają, jeśli przyjrzymy się poszczególnym zagadnieniom?

▶ Sztandarowe „500+" i pozytywne zmiany na rynku pracy

Wśród niewątpliwych sukcesów PiS należy wymienić program „Rodzina 500+", zakładający, że świadczenie wychowawcze w wysokości 500 zł miesięcznie przysługuje po złożeniu wniosku przez rodziców lub opiekunów, na każde drugie i kolejne dziecko do ukończenia przez nie 18 roku życia. Pomoc na pierwsze dziecko będzie przysługiwała po spełnieniu kryterium dochodowego na osobę w rodzinie: 800 zł netto lub 1200 zł netto w przypadku, gdy w rodzinie jest dziecko niepełnosprawne. Politolog z Uniwersytetu Gdańskiego Jakub Świderski zauważa, że dzięki programowi „Rodzina 500+" zdecydowanie zmniejszył się poziom ubóstwa w Polsce. – Wiele z polskich dzieci po raz pierwszy pojechało na wakacje, kupienie szkolnych wyprawek przestało być dla rodzin ubogich tak znaczącym problemem – mówi. Jednak to nie wszystkie pozytywne skutki programu. Znany jest chociażby opisywany przez „Gazetę Polską" przypadek kobiety, która dzięki pieniądzom z „500+" wyprowadziła się od męża alkoholika, który jej i jej córkom fundował codzienne piekło. Przede wszystkim jednak ten program zmienił relacje między władzą a obywatelem. Polacy poczuli, że władza jest im przyjazna, że nie traktuje ich podejrzliwie. Że rządzący nie uważają, iż skoro ktoś jest biedny, to otrzymane pieniądze zaraz roztrwoni. – Nie ulega wątpliwości, że

fot. Zbyszek Kaczmarek/Gazeta Polska

eprasa.pl 12975ab158

ten program dobrze funkcjonuje – zaznacza socjolog dr Jarosław Flis. Dodaje jednak, że jego zdaniem „miodowy miesiąc między rządem a wyborcami" kiedyś się skończy i pojawią się roszczenia, np. rodzice zaczną pytać, dlaczego tracą 500 zł, bo ich dziecko jest w II klasie liceum i właśnie skończyło 18 lat.

Czy ma rację? Niekoniecznie. Zasady funkcjonowania są przecież od początku jasne. Flis zwraca uwagę na inną istotną sprawę: na zmiany, jakich Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej dokonało na rynku pracy. – Faktycznie rozpoczęła się walka z tzw. syndromem pierwszej dniówki, skutkującym pracą bez umowy. Stawkę minimalną za godzinę podniesiono do 12 zł, w 2017 r. ma ona wynosić 13 zł. Do tego płaca minimalna od 1 stycznia 2017 r. wyniesie 2000 zł brutto. Jednak mam wrażenie, że te sprawy powinny być bardziej monitorowane. Tymczasem wszystko to przykryła sprawa zmiany przepisów podatkowych. Już pojawiają się wątpliwości, jak wyjdą na tym samozatrudnieni etc. – mówi.

Warto też wspomnieć o innych, może drobnych, aczkolwiek ważnych, projektach. Choćby o tym, że osoby opiekujące się niepełnosprawnymi, które po śmierci swoich podopiecznych tracą prawa do świadczenia pielęgnacyjnego lub zasiłków opiekuńczych, pobieranych w związku ze sprawowaniem opieki nad osobą niepełnosprawną, zyskają po śmierci podopiecznego prawo do zasiłku dla bezrobotnych lub świadczenia przedemerytalnego.

Do sukcesów rządu PiS należy także zaliczyć systematycznie spadające bezrobocie. Ministerstwo podejmuje działania, by aktywizować bezrobotnych. Szkoda jednak, że najwięcej mówi się o tych najmłodszych, do 30 roku życia. Oczywiście to jedna z dwóch najtrudniejszych grup na rynku pracy. Jednak druga trudna grupa – bezrobotni po pięćdziesiątce – chociaż nie zostawia się jej samej sobie, jest chyba troszkę mniej akcentowana w polityce zatrudnienia. I w tych właśnie ludziach często narasta zgorzknienie i poczucie rozżalenia. Także w odniesieniu do partii, na którą kilka miesięcy temu zagłosowali.

▶ Kontrowersyjne gimnazja

„Rodzina 500+" to element polityki prorodzinnej. Rządowi PiS chodziło nie tylko o to, by rodziło się więcej dzieci, lecz także o to, by zadbać o ich edukację. Jednym z najlepszych posunięć rządu było wycofanie się z decyzji poprzedników o obowiązku szkolnym dla sześciolatków.

– Przede wszystkim jesteśmy wdzięczni za sześciolatki, które mogły zostać w przedszkolach – mówi Tomasz Elbanowski z Fundacji Rzecznik Praw Rodziców. Dodaje, że rodzice po ośmiu latach walki w akcji „Ratuj maluchy" doczekali się uznania ich obywatelskiej podmiotowości. Dodatkowy plus dla rządu za błyskawiczne przeprowadzenie zmiany, w ciągu pierwszego miesiąca od objęcia władzy. Dzięki temu 82 proc. rodziców dzieci z rocznika 2010 mogło zostawić sześciolatki w przedszkolu, zamiast wysyłać je obowiązkowo do szkoły.

– Cieszy też realizacja innych postulatów z obywatelskich projektów ustaw, które przynosiliśmy do sejmu z setkami tysięcy podpisów – dodaje.

Od 1 września tego roku naukę w pierwszych klasach mogły ponownie rozpocząć już jako siedmiolatki dzieci przymuszone do pójścia do szkoły rok temu jako sześciolatki. Skorzystało z tego 45 tys. dzieci, a więc ponad 10 proc. rocznika. Zwolniono też młodsze dzieci z obowiązku zerówkowego. Dzięki temu w gminach, gdzie nie ma przedszkoli, niespełna pięcioletnie dzieci nie są już ścigane urzędowymi pismami i nie muszą podróżować gimbusami do szkolnych zerówek tylko po to, żeby podnosić statystyki „uprzedszkolnienia" najmłodszych.

– Bardzo dobrze, że ministerstwo postanowiło wzmocnić nadzór pedagogiczny, by kuratoria nie pozwalały gminom na likwidację szkół, to również był postulat obywateli – mówi Elbanowski. Przypomina dantejskie sceny, jakie miały miejsce w różnych miejscach Polski, gdy samorządy bez skrupułów likwidowały szkoły i przedszkola: głodówkę matek w obronie szkoły w Dąbkach w 2013 r. albo historię z Krosna Odrzańskiego, gdzie w 2011 r. burmistrz Marek Cebula z PO i Rada Miasta, obradując oddzieleni od publiczności barierkami i kordonem policji, zdecydowali o likwidacji połowy szkół w gminie.

Podobnie jak on uważa większość Polaków. Kontrowersje wywołuje za to obiecywana przez PiS – i szybko przeprowadzana – likwidacja gimnazjów. Chociaż Polacy chcieli takiej reformy, a Jakub Świderski podkreśla, że zebranie dzieci w najtrudniejszym wieku, w okresie buntu, w jednej szkole było nietrafionym pomysłem, to już samo przeprowadzanie reformy budzi wątpliwości. – Powrót do 8 klas podstawówki i 4 lat liceum to kierunek zmian oczekiwany przez społeczeństwo. Jak pokazują sondaże i opinie, jakie dostajemy jako Fundacja Rzecznik Praw Rodziców, tego właśnie oczekuje większość rodziców – mówi Elbanowski. Dodaje jednak, że najważniejsze w tej

eprasa.pl 12975ab158

reformie powinno być jasne określenie jako celu dobra dziecka i jego dobrego wykształcenia. – Tymczasem samorządy i związkowcy żądają przyznania pierwszeństwa ich postulatom przed potrzebami dzieci, choć przecież ich rola w systemie jest tylko służebna. Pojawiło się poważne ryzyko, że górę nad dziećmi wezmą dorośli, którzy potrafią głośno krzyczeć. Jeśli potrzeby rozwojowe dzieci, wysoki poziom edukacji i właściwe standardy opieki zostaną podporządkowane wygodzie gmin i nauczycieli, to reforma nie zostanie właściwie zrealizowana, a gimnazja w rzeczywistości nie zostaną wygaszone, tylko wydłużone o dwie młodsze klasy – ostrzega.

Z kolei dr Jarosław Flis uważa, że tempo wdrażania reformy edukacji zupełnie nie idzie w parze z wyjaśnianiem szczegółów samym zainteresowanym, czyli przede wszystkim rodzicom i nauczycielom. – Sieci szkół powinny być ustalone teoretycznie do stycznia. To proces, który w gminach jest niezwykle bolesny, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach i na wsiach. Zazwyczaj politycy podchodzą do niego jak pies do jeża. A tutaj sprawę załatwia się jednej jesieni. Czego praktyczne efekty są takie, że nikt nic nie wie i ludzie się denerwują – stwierdza.

▶ Wszystkie problemy służby zdrowia

Nic chyba nie wzbudza jednak aż takich emocji, jak reforma służby zdrowia. Protesty środowisk medycznych, które przetoczyły się przez Warszawę, na długo pozostaną w społecznej pamięci. Jednak zdecydowanie bardziej dramatyczny – chociaż cichszy – był protest „Solidarności", która okupowała Ministerstwo Zdrowia. Dlaczego dramatyczny? Ponieważ to właśnie środowisko najmocniej wierzyło w to, że PiS naprawi sytuację. Jak dziś „Solidarność" ocenia rok rządów PiS? – Na początku mieliśmy ogromne nadzieje na zmiany. Zarazem nie mieliśmy złudzeń, co do tego, że sytuacja zmieni się diametralnie, i wiedzieliśmy, że przez jakiś czas będziemy się musieli borykać z problemami finansowymi – mówi wiceprzewodnicząca Sekretariatu Ochrony Zdrowia NSZZ „Solidarność" Danuta Kądziołka. Dodaje, że środowisko liczyło jednak na to, że szybko zaczną się zmiany systemowe, że zostanie przeprowadzone ukrócenie prywatyzacji i komercjalizacji szpitali. – Trwało to jednak długo i dopiero w sytuacji, w której zrobiło się mnóstwo szumu, minister nagle wprowadził zmiany – mówi. Zaznacza zarazem, że nie są one do końca zadowalające, choć to krok w dobrym kierunku: zmiana leżąca w interesie nie tylko pracowników, lecz także pacjentów.

Inna sprawa to kwestia wynagrodzeń. – Nie liczyliśmy, że nagle posypie się manna z nieba i zostaną wyrównane dysproporcje, które narosły przez lata – stwierdza Kądziołka. Zaznacza jednak, że chociaż pielęgniarkom, którym podwyżki przyznał jeszcze minister w rządzie Ewy Kopacz Marian Zembala, pieniądze się należą, to takie wyróżnienie jednej grupy zawodowej spowodowało, że inne poczuły się wręcz upokorzone. – To spowodowało konflikty w środowisku. Ta sprawa wymagała błyskawicznego załatwienia, nie została rozwiązana do dziś – mówi.

Sprawa wynagrodzeń wiąże się ze wzrostem nakładów na służbę zdrowia. – W tej chwili mamy zapowiedzi wzrostu finansowania. Solidarność uważa, że nie może żądać radykalnego wzrostu nagle, natychmiast, tak jak chciałyby tego inne organizacje związkowe, bo wiemy, że to nierealne i budżet tego nie udźwignie. Jesteśmy więc w stanie przyjąć propozycję wzrostu w wysokości 0,2 proc. PKB, tak, by dojść do łącznego wzrostu na poziomie 6 proc. w ciągu 10 lat. Nadal jednak nie wiemy, jak miałyby być te pieniądze dzielone. Trochę niepokoi nas, że zakłada się przede wszystkim wzrost nakładów na Podstawową Opiekę Zdrowotną, mniej zaś pieniędzy idzie na szpitale – mówi Kądziołka.

Dodaje, że po dosyć radykalnych działaniach związkowych zostały sporządzone projekty kilku ustaw. – W tej chwili jesteśmy na etapie ich opiniowania i sprawiedliwie trzeba powiedzieć, że jest wiele zmian idących w dobrym kierunku – mówi. Kądziołka zaznacza, że istotne – i pozytywne! – są np. zmiany dotyczące ratownictwa medycznego. – Bardzo oczekiwana była realizacja obietnicy przywrócenia państwowego charakteru ratownictwu medycznemu. To, że powstał taki projekt zmiany ustawy, to efekt wielu rozmów o systemie służby zdrowia. Tu nie chodzi zresztą nawet o prawa pracowników, ale przede wszystkim o to, by zagwarantować pacjentom odpowiednią jakość usług ratowników medycznych – mówi.

Za pozytywny uważa także program „75+", który ruszył 1 września, wprowadzający listę bezpłatnych leków dla seniorów. – To krok w dobrą stronę, ale tylko krok. Oczywiście to bardzo dobrze, że emeryci, którzy w przeważającej większości otrzymują świadczenia dramatycznie niskie, będą otrzymywać wiele leków za darmo. Ale warto zwrócić uwagę, że w naszym społeczeństwie nie tylko emerytów często nie stać na wykupienie

eprasa.pl 12975ab158

leków, zapisanych przez lekarza. Oczekiwalibyśmy możliwości dofinansowywania leków na kolejne grupy – mówi.

▶ Przyjaźni dzielnicowi i obrona terytorialna

Ministerstwo Obrony Narodowej pod kierownictwem ministra Antoniego Macierewicza od początku roku konsekwentnie realizuje program zapewnienia bezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej w oparciu m.in. o budowę strategicznej i wielopoziomowej struktury Wojsk Obrony Terytorialnej. Piąta kolumna obronna RP (po wojskach lądowych, powietrznych, marynarce wojennej i jednostkach specjalnych) docelowo ma liczyć ponad 30 tys. osób i zostanie ostatecznie sformowana na początku 2019 r.

Minister Macierewicz prowadzi także zaawansowane rozmowy na szczeblu międzynarodowym, dotyczące zapewnienia bezpieczeństwa w regionie Europy Środkowo-Wschodniej, z naciskiem na zastopowanie nieobliczalnej i neoimperialnej polityki zewnętrznej Federacji Rosyjskiej. Z tego powodu Polska jako jeden z najaktywniejszych członków NATO zabiegała o rozmieszczenie na terenie Polski, Rumunii i Bułgarii, a także państw bałtyckich rotacyjnych batalionów żołnierzy Sojuszu. Ustalenia dotyczące wzmocnienia wschodniej flanki NATO zapadły na lipcowym szczycie Sojuszu w Warszawie, współorganizowanym przez Ministerstwo Obrony Narodowej i docenionym na świecie jako jedno z najważniejszych wydarzeń 2016 r.

Ministerstwo Obrony Narodowej nie zapomina również o dozbrojeniu polskiej armii. W ramach Planu Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych prowadzone są m.in. przetargi na zakup śmigłowców bojowych dla polskiej armii, na nowo rozpoczynają się także przyspieszone negocjacje w sprawie śmigłowców wielozadaniowych. W planach jest także zmodernizowanie wojsk pancernych oraz marynarki wojennej.

Jeśli chodzi o poczucie bezpieczeństwa, trzeba także zwrócić uwagę na działania MSWiA. Minister Mariusz Błaszczak przeprowadza liczne akcje, mające na celu zmianę wizerunku Policji, która za rządów ekipy PO–PSL odbierana była przez większość jako instytucja wroga. Warto wspomnieć o działaniach mających na celu wzmocnienie roli dzielnicowych, by byli oni rozpoznawalni w lokalnym środowisku, a ich służba wiązała się z aktywną pomocą mieszkańcom, czy o stworzeniu ogólnopolskiej mapy zagrożeń, którą współtworzyć mogą wszyscy obywatele. Podobnie istotny jest twardy sprzeciw, jaki wielokrotnie wyrażało MSWiA, przeciwko mechanizmom stałej relokacji uchodźców.

Warto zwrócić uwagę także na działania antyterrorystyczne i antyprzestępcze, w które wpisuje się m.in. wprowadzony niedawno obowiązek rejestrowania numerów telefonów „na kartę". O sukcesach należy także mówić w kontekście organizacji Światowych Dni Młodzieży w Krakowie z udziałem papieża Franciszka.

▶ Duże zmiany na uczelniach. W kulturze – za mała miotła

Istotnych zmian dokonano w szkolnictwie wyższym. 1 października 2016 r. weszła w życie ustawa ukrócająca nadmierną biurokrację na uczelniach. Na jej podstawie zlikwidowano wprowadzone za czasów minister Barbary Kudryckiej rozwiązania, m.in. obowiązek oceniania wykładowców co dwa lata (obecnie wykładowca może być oceniany raz na cztery lata). Inaczej przebiega także wystawianie ocen. Nacisk kładzie się nie na papiery, czyli np. na to, czy zajęcia mają spisany regulamin, ale na wyniki kształcenia. Inna istotna zmiana jest właśnie wprowadzana przez tzw. małą ustawę o innowacyjności, która umożliwia przedsiębiorcom inwestującym w projekty naukowe dokonania odpisu podatkowego (przepis wchodzi w życie z dniem 1 stycznia 2017 r.) . Równie ważne jest to, że ministerstwo dąży do zmniejszenia liczby studentów przypadających na jednego wykładowcę. Na jednego nauczyciela akademickiego ma przypaść 12 podopiecznych. Uczelnie, gdzie ta zależność będzie wyższa lub niższa, dostaną mniejsze dotacje.

Niezadowolenie wykładowców powoduje za to fakt, że nie zmieniono zasad uzyskiwania tytułów naukowych. Warto jednak zwrócić uwagę, że prawdopodobnie sprawa ta zostanie załatwiona przy okazji nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym. A przedstawiciele Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego zapowiadali, że na jej przygotowanie potrzebują około roku.

Warto także zwrócić uwagę na to, co dzieje się w sferze kultury i dziedzictwa narodowego. Chociaż resort od początku miał ciężko, ponieważ znaczna część twórców była – nadal jest – niechętna rządowi PiS. Mimo to ministerstwo ma na swoim koncie niewątpliwe sukcesy: należne miejsce w świadomości Polaków uzyskali Żołnierze Wyklęci, bohaterowie powstań narodowych, wszyscy ci, którzy tworzyli Polskę i w swoich

eprasa.pl 12975ab158

poczynaniach myśleli przede wszystkim o jej dobru. Sukcesem polityki kulturalnej bez wątpienia jest także fakt, że środowisko twórców zdywersyfikowało się. Uznany artysta-prawicowiec nie stanowi już kuriozum towarzyskiego, a poglądy środowiska nie są kształtowane jedynie przez redakcję z ulicy Czerskiej.

Zarazem jednak sami politycy PiS przyznają w kuluarowych rozmowach, że jeśli chodzi o instytucje kultury, to mogłaby się w nich odbyć „większa miotła". – Nie wszystkie osoby, powiedzmy wprost, szkodzące polityce kulturalnej udało się usunąć – przyznaje jeden z członków rady politycznej PiS.

▶ Szczyt NATO

Rozpatrując rok rządów PiS, nie sposób pominąć polityki zagranicznej. Ta, realizowana przez ministra spraw zagranicznych RP Witolda Waszczykowskiego, nastawiona jest w szczególności na prowadzenie i utrzymywanie strategicznych stosunków dyplomatycznych z państwami sąsiadującymi z Polską. Szef MSZ kładzie duży nacisk na współpracę m.in. w ramach Grupy Wyszehradzkiej (V-4), w skład której oprócz Polski wchodzą Czechy, Słowacja oraz Węgry. Państwa grupy V-4 prezentują wspólne stanowisko m.in. na płaszczyźnie Unii Europejskiej. MSZ prowadzi również międzynarodowe rozmowy w celu zapewnienia całkowitego bezpieczeństwa Polsce i jej obywatelom, coraz częściej narażonego na działanie takich czynników, jak m.in. islamski terroryzm oraz kryzys imigracyjny, który od ponad roku dotyka większość krajów Europy Środkowej i Południowej.

Za jeden z największych tegorocznych sukcesów polskiej dyplomacji i ministra Waszczykowskiego uważa się przygotowanie i organizację lipcowego szczytu NATO w Warszawie, uznawanego za jedno z najważniejszych wydarzeń na świecie w 2016 r. Kluczowi zagraniczni politycy, z prezydentem USA Barackiem Obamą i sekretarzem generalnym NATO Jensem Stoltenbergiem, wysoko ocenili działalność polskich władz, w tym MSZ, w realizację tego przedsięwzięcia.

Resort polskiej dyplomacji prowadzi również działalność daleko wykraczającą poza Europę. Świadczy o tym m.in. niedawna wizyta ministra Waszczykowskiego w Seulu, przy okazji otwarcia bezpośredniego połączenia lotniczego między Warszawą a stolicą Korei Południowej. Polski minister odbył rozmowy z kluczowymi południowokoreańskimi politykami, których efektem ma być m.in. otwarcie się tego azjatyckiego państwa na inwestorów i przedsiębiorców z Polski.

Obecnie jednym ze sztandarowych projektów ministra Waszczykowskiego są rozmowy z państwami w regionie, których efektem ma być poparcie kandydatury Polski na niestałego członka Rady Bezpieczeństwa ONZ w latach 2017–2019. Ostatecznego wyboru kraje skupione w Organizacji Narodów Zjednoczonych dokonają w czerwcu przyszłego roku.

▶ Nie zapomnieć się

Wśród innych ważnych zmian wprowadzonych przez PiS należy wymienić ruszający właśnie program „Mieszkanie plus" czy ustawę chroniącą polską ziemię przed wykupem przez obcokrajowców. Mimo upływu roku Polacy nadal czekają na obniżenie wieku emerytalnego. W momencie, w którym tekst oddawany jest do druku, w mediach pojawiają się zapowiedzi tego, że Sejm zajmie się prezydenckim projektem w tej sprawie. Trwają także rozmowy nad pomocą dla osób posiadających kredyt we frankach szwajcarskich. Fakt, że te dwie sprawy są tak mocno przeciągane, powoduje rozczarowanie wśród części elektoratu PiS.

Ponadto dr Jarosław Flis zwraca uwagę, że Prawo i Sprawiedliwość musi bardzo pilnować się, by nie wyrobić w sobie przekonania, że ma wyższość moralną nad poprzednią ekipą rządową, więc nie grożą mu grzechy PO i PSL-u.

Potrzebę zmian na tym polu zauważa także prezes PiS Jarosław Kaczyński. W wywiadzie udzielonym portalowi onet.pl mówił o tym, że „w spółkach Skarbu Państwa zdarzyło się wiele złego". Jeden z proszących o zachowanie anonimowości polityków PiS mówi z kolei, że jeśli chodzi o sytuację w spółkach Skarbu Państwa, to były tutaj pewne problemy, mówił o tym zresztą sam prezes PiS na radzie politycznej 11 września. – Z tych sytuacji zostały wyciągnięte wnioski personalne i w tym momencie wzmocniono kontrolę instytucji państwowych przez służby. Trudno powiedzieć, jakie będą z tego płynęły wnioski, bo jeszcze na to za wcześnie. Natomiast niezależnie od tego należy pamiętać, że udało się poskromić wielu członków zarządów i prezesów z PO i skończyć z rozdawnictwem państwowym, które za czasów rządów PO–PSL było bardzo widoczne. Jeśli u nas pojawiają się jakieś nieprawidłowości, to wyciągamy z nich konsekwencje – zapewniał. ■

eprasa.pl 12975ab158

Tomasz Sakiewicz

Zmiana gospodarczego suwerena

Jedną z najważniejszych cech dokonującej się w Polsce rewolucji jest zmiana gospodarczego suwerena. Suweren to nie tylko ten, kto realnie podejmuje decyzje, lecz także ten, który jest ich podstawowym beneficjentem.

Kim byli beneficjenci III RP? Przede wszystkim to środowiska postkomunistyczne, które znalazły partnerów w części solidarnościowej opozycji i zachodniego kapitału. Przyłączyło się do nich sporo ludzi, którym zapewnili społeczny i ekonomiczny awans w zamian za uznanie warunków gry. Dostęp do kredytów, państwowych koncesji, zwolnień podatkowych powodował, że w sumie te liczące kilka milionów osób grupy społeczne zyskały ekonomiczną przewagę nad resztą społeczeństwa. Rozbieżności w poziomie dochodów łagodził fakt, że od kilkunastu lat Polacy mieli swobodny dostęp do europejskiego rynku pracy i uciekali przed nędzą w emigrację. Niemniej znaczna część społeczeństwa znalazła się w przedziale dochodów, który stawiał nas w ogonie Unii Europejskiej. Szczelny system dystrybucji bogactwa powodował, że niezadowolenie zaczęła odczuwać także część grup uprzywilejowanych w III RP. Postawiono im szklany sufit dochodów, preferując obcy kapitał i ludzi władzy. To ta wyrosła w III RP klasa średnia zniechęcona brakiem możliwości dalszego rozwoju porzuciła obóz władzy. Niewielka grupa przekierowała głosy na PiS, reszta wybrała nową opozycję albo nie głosowała. Jednocześnie PiS-owi udało się uaktywnić część grup pokrzywdzonych w III RP. Te dwa zjawiska doprowadziły do całkowitego odwrócenia wektorów politycznych w Polsce i zmiany gospodarczego suwerena.

Średni rozwój, słabe bogactwo

Jest prawdą, że Polska przez ostatnie ćwierć wieku przeżywała nieustanny okres rozwoju. Od czasów rządu Jana Olszewskiego odnotowywaliśmy rocznie kilkuprocentowy wzrost PKB. Niemal nadrobiliśmy dystans do biedniejszych państw UE. Przyczyn tego było kilka: przede wszystkim ogromna pracowitość Polaków, zdolność do poświęceń, która powoduje, że potrafimy odkładać grillowanie na rzecz inwestowania (głównie w swoje firmy), znajomość zachodnich rynków pracy, wielkość naszego rynku przyciągająca zagraniczny kapitał, szlaki komunikacyjne na wschód i północ–południe, a na końcu unijne fundusze. Te ostatnie odegrały zapewne swoją rolę, jednak należy zwrócić uwagę, że od wejścia do UE Polska rozwija się wolniej niż w okresie przedakcesyjnym. Przyczynił się do tego oczywiście światowy kryzys finansowy (2008 r.), który w innych krajach UE spowodował głęboką recesję, ale nie pozostał bez wpływu na zmniejszenie wzrostu PKB w Polsce. Nie bez wpływu na to jest też zła dystrybucja unijnych środków. Jak wspominałem już w poprzednich numerach „Nowego Państwa", udział w UE jest opłacalny pod warun-

eprasa.pl 12975ab158

kiem, że państwo umiejętnie wydaje unijne środki. Wiele europejskich funduszy za sprawą zagranicznych firm wywędrowało z Polski. Niektóre okazały się wręcz toksyczne, zabijając inicjatywy, które miały finansować.

Polska nie mając dostatecznego pomysłu na rozwój, weszła w coś, co Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki nazywają pułapką średniego rozwoju. Zabrakło kół zamachowych gospodarki, a bogactwo zaczęło być dystrybuowane poza granice kraju i do wąskiej grupy, która czując się nową elitą, dystansowała się od reszty społeczeństwa. Najważniejszym paliwem słabnącego wzrostu stawały się dotacje z UE, które jednak za kilka lat się skończą. Pogrążyłoby to Polskę w recesji.

Rozwój własnego rynku

Wiara w potężny eksport doprowadziła do upadku wiele gospodarek, a kilku innym przysporzyła ogromnych problemów. Patologicznym przykładem były oczywiście kraje uzależnione od petrodolarów. Nawet niewielkie zmiany cen ropy i gazu powodowały u nich perturbacje. Ale masowy eksport jakichkolwiek dóbr, jako głównego źródła utrzymania, na dłuższą metę nie tworzy zdrowych podstaw gospodarki. Przekonały się o tym kraje azjatyckie, które natrafiły na silne bariery rozwoju na innych rynkach i szybko szukają ratunku w rozwoju własnego. Uzależnienie od eksportu nie jest niebezpieczne, gdy wynika on z powiązań kooperacyjnych. Takie powiązania z kolei są możliwe przy rozwoju własnego rynku.

Polski rynek był do tej pory ograniczony przez fakt istnienia ogromnych grup społecznych o niskich dochodach i przez szybki wypływ środków za granicę. Uszczelnienie systemu podatkowego, zmiana kierunku przydzielania państwowych subwencji spowodowały, że więcej pieniędzy znalazło się obecnie w budżecie państwa. Te przekazano do grup przede wszystkim słabszych ekonomicznie. Nie spowodowało to wzrostu bezrobocia, a wręcz jego spadek. W dużych miastach coraz trudniej znaleźć wykwalifikowanego pracownika, a tylko masowy napływ siły roboczej z Ukrainy pozwolił na powstrzymanie poważnych niedoborów na rynku usług, handlu i budownictwa. Nie widać też objawów inflacji. Wręcz przeciwnie, Polska przez wiele miesięcy borykała się z deflacją. Dopiero pod koniec roku pojawią się impulsy inflacyjne. Mimo to widać oznaki optymizmu na rynku i wiarę w jego rozwój. Polacy szukają zajęć bardziej efektywnych ekonomicznie, mając zabezpieczone minimum socjalne na przeżycie. Grupy, które zaczynają być ekonomicznie docenione, są konsumentami przede wszystkim w Polsce. Takie postawy oczywiście należy wspierać kampaniami społecznymi i uczyć rozsądnego wspierania własnej produkcji. Obecny suweren gospodarczy ma większe możliwości wspierania rozwoju własnego rynku niż poprzedni patrzący na niego z dystansem, a wręcz czasem z demonstracyjną pogardą. Odradzająca się wiara Polaków we własny rynek przyciągnie też powoli kapitał zagraniczny zainteresowany rozwojem tego rynku, a nie jak do tej pory jedynie jego drenażem.

Kluczowa decyzja

Nowy suweren gospodarczy składa się z dwóch grup społecznych: z części klasy średniej i grup pokrzywdzonych w III RP, z których część aspiruje do klasy średniej. O ile najbiedniejsi odczuli bardzo silne wsparcie państwa, to klasa średnia i ci, którzy do niej aspirują, takiego wsparcia jeszcze nie widzą. Dlatego z ich punktu widzenia kluczowe będą rozwiązania podatkowe. Wysokość podatków ma właśnie ogromne znaczenie dla klasy średniej, która jest ich największym płatnikiem. Od decyzji podatkowych będzie zależało realne poparcie tych grup. O ile planowane wprowadzenie jednego podatku zamiast kilku i jego ujednolicenie jest przyjmowane jako wsparcie dla działań rozwojowych, to wprowadzenie drugiej stawki podatku od działalności gospodarczej będzie uznane za dodatkowy ciężar i zrazi wielu wyborców. Co gorsza, będzie impulsem antyrozwojowym. Trzeba tu poszukać rozsądnego rozwiązania, które pogodzi pomoc najsłabszym z rozsądnym rozłożeniem ciężarów podatkowych. Takim rozwiązaniem zapewne mogłoby być wprowadzenie wysokiego progu dochodów, nieobjętego podatkami zarówno od podatków osobistych, jak i nakładanych na działalność gospodarczą. W zamian można wprowadzić jeden podatek, również osobisty, na poziomie tym samym co od dochodów gospodarczych. Aby uniknąć wzrostu stawki podatku, należy zdecydowanie zmniejszyć liczbę odliczeń do bezpośrednio związanych z tą działalnością. To jedna z możliwości. Dzięki temu unika się opodatkowania biedy, a podatki płacą proporcjonalnie, ci, którzy mają rzeczywiście czym podzielić się z państwem. Taki system jest najbardziej efektywny pod względem ściągalności.

Rząd będzie musiał zdecydować, w którym kierunku idzie i na które grupy stawia. Na pewno nie może się obrażać na klasę średnią, nawet nie ze względów politycznych, lecz przede wszystkim ekonomicznych. ■

eprasa.pl 12975ab158

Ryszard Czarnecki

Niezły pierwszy rok – następne muszą być lepsze

Pierwszy rok trzeciego rządu Prawa i Sprawiedliwości był naprawdę niezły, mimo wpadek medialnych i personalnych. Ale kolejne muszą być lepsze...

Optymiści mówią – ale w rozmowach prywatnych – że to pierwszy rok z 16 lat rządów Prawa i Sprawiedliwości. Ostrożnie z taką tromtadracją. Walczymy o drugą kadencję – to jest (na razie) nasz cel. Czy pierwszy rok naszych rządów przybliżył nas do drugiej kadencji? Tak, choć nie jest to bezwarunkowe. Gdyby chcieć wystawiać rządowi oceny jak w dawnej mojej szkole (skala od dwójki do piątki, wtedy jeszcze szóstek nie było), to wahałbym się, czy postawić mu cztery czy cztery plus. W każdym razie mocna czwórka. Po stronie największych aktywów Rady Ministrów należy umieścić, rzecz jasna, okręt flagowy Prawa i Sprawiedliwości z okresu kampanii wyborczej, czyli program „Rodzina 500 plus". Obiecano, bardzo szybko zrealizowano – i szlus. Konkretne propozycje wiązane z programem „Mieszkanie plus" również trafiają w zapotrzebowanie społeczne, choć oczywiście obejmą mniej Polaków niż „500 +".

Bardzo ważną rzeczą jest olbrzymi wzrost aktywności międzynarodowej Polski, co wiąże się nie tylko z działaniami rządu, lecz także prezydenta RP. Cokolwiek by mówić, jest to robione z głową i pewną wizją, w myśl której budujemy sojusze w naszym regionie Europy (trzy azymuty: 1. Grupa Wyszehradzka, 2. kraje bałtyckie, 3. państwa bałkańskie). Czynimy to nie tylko po to, żeby reanimować wyrzucone na śmietnik przez Tuska i Kopacz „V4" (Wyszehrad), lecz także po to, by dzięki randze lidera w regionie budować silniejszą pozycję wobec naszych partnerów zachodnich.

Kolejnym, czwartym sukcesem naszej ekipy rządzącej jest wyciągnięcie wniosków z rządów prawicy w latach 1991–1992, 1997–2001 oraz 2005–2007 i wysłanie czytelnego sygnału dotyczącego leadershipu naszej formacji. Nie ma teraz sytuacji, jak na początku lat 90., gdy – z różnych powodów – pozycja premiera Olszewskiego była podważana (także na skutek jego własnych błędów) czy z przełomu XX i XXI wieku, gdy pozycja Mariana Krzaklewskiego słabła, zarówno w układach nieformalnych, jak i poprzez pojawienie się stałej grupy kontestujących politykę własnego rządu – mowa o tzw oczku, czyli grupie 21 posłów atakujących prawicowy rząd z prawej strony. Pewna dekompozycja obozu rządzącej prawicy nastąpiła również w latach 2006–2007 i mówię tu nie o wojnie między PiS-em a koalicjantami, tylko o ruchach odśrodkowych, których symbolem była kwestia secesji „grupy sześciu", grupy nielicznej, ale pod przewodnictwem marszałka sejmu Marka Jurka.

Teraz przywództwo Jarosława Kaczyńskiego jest bezdyskusyjne, co na razie zwiększa szansę na ponowne wygranie wyborów.

Były jednak też, mówiąc językiem „klasyka gatunku" Lecha Wałęsy, „plusy ujemne". Zaliczyłbym do nich na pewno niektóre decyzje personalne w obszarze Spółek Skarbu Państwa, ale nie tylko – żywe kontrowersje wzbudziły również niektóre nominacje na stanowiska wiceministrów.

Bardzo dobre wyniki sondaży poparcia dla rządu i PiS nie powinny jednak nas usypiać. Powinniśmy przede wszystkim pamiętać, że „nam mniej wolno", bo oczekiwania naszych wyborców w obszarze, nazwijmy to, moralności w życiu publicznym, są dużo wyższe niż wyborców PO, zwolenników świętego spokoju i „ciepłej wody w kranie". Po drugie, pamiętajmy, że dobra polityka to sztuka realizacji tego, co jest naprawdę możliwe w danym miejscu i czasie. Maksymalizm moralno-polityczny może prowadzić – co już się zdarzyło w przypadku protestów proaborcyjnych – do nakręcenia przeciwko nam fali społecznej, która może podmywać fundamenty, na których funkcjonuje nasz rząd.

Pierwszy rok trzeciego rządu Prawa i Sprawiedliwości (pierwszy to ten Marcinkiewicza, drugi Jarosława Kaczyńskiego) był naprawdę niezły, mimo wpadek medialnych i personalnych. Ale kolejne muszą być lepsze lub wyraźnie lepsze, jeśli ze spokojem mamy patrzeć na kolejne wybory parlamentarne A.D. 2019. Pamiętajmy, że w następnych latach polityczny „honeymoon" – „miodowy miesiąc" – dla Prawa i Sprawiedliwości nie będzie już obowiązywał. ■

eprasa.pl 12975ab158

Małgorzata Matuszak

Czym jest... milczenie

Milczenie nie jest brakiem słów, nie jest słów zaprzeczeniem. Ono wiele ma twarzy. Może przybierać sens czegoś absolutnie niewyrażalnego albo tego, co tylko aktualnie nie jest wyartykułowane, niewypowiadalnego zatem bądź niewypowiedzianego. Może wypływać z niemożności nazwania czegoś, co wymyka się wszelkiej kategoryzacji, być skutkiem nadobfitości, pragnącej pozostać niewymowną aż do końca, ale może też wynikać z rozpaczy, z bólu samotności, z bezradności, ze współcierpienia.

W milczenie, zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne, możemy w pełni wejść wtedy tylko, gdy jesteśmy wolni. By cisza wywierała na nas dobroczynny wpływ, musi być przyjęta dobrowolnie. Milczenie, do którego zostaliśmy zmuszeni, naznaczone jest przemocą, a ta rodzi wewnętrzny bunt. Rani. Podobnie jak milczenie karzące, w którym niewypowiedziane słowa wiszą w powietrzu, gęstnieją, słyszalne jest jednak tylko „nie odzywam się do ciebie". Takie milczenie staje się swoim przeciwieństwem.

Ojcowie pustyni, „mistrzowie milczenia", wyróżniali trzy jego funkcje i z nich korzystali. Po pierwsze, jako środka do unikania grzechu; było ono dla nich obroną pierwszorzędnej wagi, która pozwalała zachować duszę w pokoju, zdobyć pokorę, nie osądzać bliźniego. Po drugie, jako świadectwa; siła milczenia wyrażała według nich siłę wiary, sprawiając, że słowa okazywały się zbyteczne – ojcowie „mówili" czynami. Po trzecie, jako mocy milczenia wobec Słowa Bożego, pojawiającego się na skutek wielkiego szacunku do Pisma Świętego.

Istnieje w nas ogromna potrzeba mówienia. To zrozumiałe, jesteśmy wszak – z natury – istotami mówiącymi, istotami dialogicznymi, spełniającymi się we wzajemności bycia z drugą osobą, której podstawowym wymiarem jest rozmowa. Istnieje w nas jednak także ogromna potrzeba milczenia, często zaniedbywana, przysypywana rozlicznymi zajęciami, wszechobecnym hałasem. Żyjemy coraz szybciej i głośniej. A milczeć musimy, by usłyszeć własne myśli, drugiego człowieka, wreszcie żeby usłyszeć Boga mówiącego do nas w ciszy. Musimy umieć milczeć, by umieć prawdziwie słuchać. To milczenie właśnie otwiera przestrzeń spotkania człowieka z Bogiem. Kiedy prorok Eliasz oczekiwał na przyjście Pana, wypatrywał Jego obecności w wichurze, trzęsieniu ziemi i ogniu, znakach świadczących o tajemnicy i potędze Boga, gwałtownych i napełniających trwogą, budzących szacunek i przerażenie. Pana jednak nie było w wietrze, nie było w trzęsieniu ziemi. Nie było Go też w ogniu. Przyszedł „w szmerze łagodnego powiewu" (1 Krl 19, 11–13), w dostojnej i kojącej serce ciszy. „W słowie na krańcu milczenia", jak tę biblijną frazę przetłumaczył Olivier Clément.

Istnieje w nas ogromna potrzeba milczenia, często zaniedbywana, przysypywana rozlicznymi zajęciami, wszechobecnym hałasem. Żyjemy coraz szybciej i głośniej. A milczeć musimy, by usłyszeć własne myśli, drugiego człowieka, wreszcie żeby usłyszeć Boga mówiącego do nas w ciszy.

Musimy używać milczenia, by umieć prawdziwie mówić. Słowo bowiem objawia sens, który otrzymuje, a którego nie tworzy. Dlatego rodzi się z milczenia, w nim dojrzewa. Jeśli je od milczenia odetniemy, marnieje, traci swą głębię. Milczenie zaś dopełnia się przez słowo, które z niego się wyłania. Słowo i milczenie stanowią jedność, jak wdech i wydech, skurcz i rozkurcz serca. „Milczenie jest matką mowy", jak pisał Thomas Merton.

Listopad to miesiąc, w którym częściej niż zwykle popadamy w zadumę. To czas wyciszenia, refleksji nad sensem życia i przemijania. Czas modlitewnego milczenia, bezgłośnej rozmowy z bliskimi, którzy przeszli już na drugą stronę życia, i z Bogiem, życia dawcą. Naprawdę warto w nie wejść. ■

eprasa.pl 12975ab158

Grzegorz Wierzchołowski

Smoleńskie grzechy

Donalda T.

„Sądzę, że przewodniczącym Rady Europejskiej nie powinien być człowiek, wobec którego być może stawiane będą poważne zarzuty" – powiedział niedawno „Gazecie Polskiej" Jarosław Kaczyński. Prezes PiS odniósł się w ten sposób do roli Donalda Tuska w tuszowaniu sprawy smoleńskiej. Czy Tusk faktycznie może – i czy powinien – usłyszeć zarzuty?

fot. Shemetov Maxim/PAP/ITAR-TASS

Rozdzielenie wizyt i sekretne negocjacje z Moskwą, całkowity brak osłony kontrwywiadowczej w trakcie remontu samolotu Tu-154, oddanie śledztwa smoleńskiego Rosjanom – to tylko część działań lub zaniechań obciążających byłego lidera PO. Dochodzą do tego trzy inne „grzechy": serwilizm wobec rosyjskich służb specjalnych, usankcjonowanie fikcyjnego badania katastrofy przez polską komisję oraz tuszowanie afery z zamianą ciał.

▶ 1. Zastawiając pułapkę na prezydenta

* Donald Tusk niemal przez miesiąc ukrywał przed prezydentem Lechem Kaczyńskim, że spotka się w Katyniu z Władimirem Putinem nie 10, lecz 7 kwietnia. Jak wynika z zeznań Agnieszki Wielowiejskiej, dyrektorki departamentu spraw zagranicznych Kancelarii Premiera, decyzja o podziale uroczystości zapadła już najwyżej kilka dni po rozmowie telefonicznej Tuska i Putina (która odbyła się 3 lutego 2010 r.). Tymczasem prezydent Kaczyński, pierwsza osoba w państwie, dowiedział się o tym dopiero na początku marca 2010 r. – a więc miesiąc później.

* Tomasz A., szef kancelarii i najbliższy współpracownik Tuska, prowadził przed katastrofą nieoficjalne lub półoficjalne rozmowy z Rosjanami. Chodzi m.in. o tajemnicze spotkania z Jurijem Uszakowem, zastępcą szefa administracji Putina. Były przynajmniej dwie takie rozmowy: 25 lutego 2010 r. w restauracji w Warszawie i 17 marca 2010 r. w restauracji w Moskwie. W pierwszej rozmowie uczestniczył rosyjski ambasador Władimir Grinin, przyjaciel Putina (obaj znają się jeszcze z drugiej połowy lat 80., gdy Putin był agentem KGB we wschodnioniemieckim Dreźnie, a Grinin stał na czele sowieckiej ambasady w NRD). W tej drugiej wziął udział Igor Sieczin, ówczesny wicepremier, prawa ręka Władimira Putina, szef frakcji siłowików (środowiska byłych agentów KGB/FSB) w Rosji. W trakcie spotkania wyproszono nawet tłumaczkę z Ambasady RP. O żadnej z tych rozmów prezydent Lech Kaczyński nie został poinformowany.

* 14 lutego 2010 r. do pracy w MSZ niespodziewanie został przywrócony Tomasz Turowski. Od razu mianowano go ministrem pełnomocnym w Ambasadzie RP w Moskwie. Turowskiemu zostało powierzone zadanie przygotowania wizyt w Katyniu premiera Tuska i prezydenta Kaczyńskiego. Z doniesień IPN wynika, że w latach 1976–1985 Turowski był w PRL agentem najbardziej elitarnej, zakonspirowanej komórki wywiadu: Wydziału XIV w Departamencie I. Dostęp do danych tej agentury miały służby sowieckie. A zatem organizację wizyty prezydenta Kaczyńskiego w Rosji rząd Donalda Tuska powierzył komunistycznemu szpiegowi.

▶ 2. Przekazując Tu-154 rosyjskim służbom

* Rząd Tuska doprowadził do tego, że wszystkie etapy przetargu na remont Tu-154 odbywały się pod nadzorem Federalnej Służby Współpracy Wojskowo-Technicznej Federacji Rosyjskiej, kierowanej przez gen. Michaiła Dmitriewa. Dmitriew od 1971 do 2000 r. pracował w sowieckich i rosyjskich służbach specjalnych. Najpierw w KGB, jako funkcjonariusz I Zarządu Głównego, potem w rosyjskim wywiadzie zagranicznym SWR, gdzie doszedł do stanowiska dyrektora Zarządu Informacyjno-Analitycznego.

* Już jesienią 2008 r. przedstawiciele polskiej firmy Polit Elektronik poinformowali zakłady „Awiakor" w Samarze o swoim zwycięstwie... w nieogłoszonym jeszcze nawet konkursie ofert (polski resort obrony oficjalnie ogłosił przetarg 16 lutego 2009 r.). Kilka tygodni przed rozstrzygnięciem przetargu startujący w nim Polit Elektronik podpisał porozumienie z przyszłym rosyjskim wykonawcą i podwykonawcami remontu: z „Aviakorem" z Samary, „Tupolewem" z Moskwy, „Saturnem" z Rybińska i „Hydrauliką" z Ufy. Żadnej reakcji ze strony służb rządu Donalda Tuska nie było.

* 9 kwietnia 2009 r. MON – oczywiście za wiedzą premiera Tuska – podpisał umowę dotyczącą remontu dwóch Tu-154. Przetarg wart był ponad 69 mln zł, wygrało go konsorcjum firm MAW Telecom i Polit Elektronik. Ta druga nie była nawet wówczas zarejestrowana w KRS. Zwycięzcy przetargu skierowali samoloty do Samary, a remont silników powierzyli firmie „Saturn".

* Właściciel zakładów w Samarze to Oleg Deripaska, przyjaciel Putina przesłuchiwany przez zachodnich prokuratorów w związku z podejrzeniami o pranie brudnych pieniędzy i kontakty z mafią. Z kolei silniki tupolewa remontowane były w zakładach kontrolowanych przez Siergieja Czemiezowa, byłego agenta KGB, który od 1983 do 1988 r. pracował „pod przykrywką" w Dreźnie, mieszkając po sąsiedzku z obecnym premierem Rosji Władimirem Putinem. Przy naprawie silni-

eprasa.pl 12975ab158

ków nie był obecny żaden przedstawiciel polskich służb.

▶ 3. Oddając śledztwo w ręce Putina

* Choć wieczorem 10 kwietnia 2010 r. Władimir Putin i Siergiej Szojgu, rosyjski minister ds. sytuacji nadzwyczajnych, przekazali Tuskowi pierwsze informacje dotyczące przebiegu katastrofy (różniące się od późniejszych „ustaleń" MAK), szef polskiego rządu nie zrobił nic z tymi danymi.

* Tusk jako podstawę prawną badania katastrofy smoleńskiej wybrał Załącznik 13 do konwencji chicagowskiej, dotyczącej badania wypadków samolotów... cywilnych. W rezultacie śledztwo i wszystkie najważniejsze dowody przejęli Rosjanie.

* Premier od samego początku okłamywał przy tym Polaków. Wbrew słowom Tuska – m.in. na konferencji prasowej z 6 maja 2010 r. – współpraca z Rosją opierała się bowiem nie na samej konwencji chicagowskiej, lecz na Załączniku 13. W wyniku tego Polska nie mogła zastosować się do żadnych procedur odwoławczych przewidzianych w konwencji i musiała zaakceptować końcowy raport MAK.

* Tajne porozumienie Tusk–Putin, w wyniku którego katastrofę zaczęto badać według załącznika nr 13 do konwencji chicagowskiej, musiano zawrzeć przed 15 kwietnia 2010 r., bo do tego czasu działały jeszcze dwie odrębne komisje wojskowe: rosyjska, pod kierownictwem gen. Siergieja Bajnietowa, i polska – wojskowa, pod przewodnictwem płk. Mirosława Grochowskiego. Wszystko wskazuje więc na to, że Tusk złamał konstytucję. Wymaga ona wszak, aby zawarcie międzynarodowego porozumienia (jeśli jednoosobowo zrobił to premier) zostało zaakceptowane przez Radę Ministrów oraz było przedstawione Sejmowi. Tego zaś nie zrobiono.

* Rząd Tuska z niezrozumiałych względów od samego początku ignorował możliwości, jakie dawałoby zwrócenie się o pomoc przy wyjaśnianiu katastrofy do władz innych państw i instytucji międzynarodowych. Gdy Antoni Macierewicz i Anna Fotyga w listopadzie 2010 r. polecieli do Stanów Zjednoczonych, by zyskać wsparcie dla sprawy międzynarodowej komisji smoleńskiej, szef MSZ Radosław Sikorski powiedział, że to go „upokarza", a rzecznik rządu Tuska Paweł Graś nazwał misję polityków PiS „absolutnym i totalnym skandalem, ocierającym się wręcz o zdradę" (a USA określił jako „obce mocarstwo").

▶ 4. Współpracując z moskiewskimi kłamcami

* Już 10 kwietnia 2010 r. czołowi politycy PO otrzymali SMS wysłany przez najbliższe otoczenie Donalda Tuska. Treść wiadomości brzmiała: „Katastrofę spowodowali piloci, którzy zeszli we mgle poniżej 100 metrów. Do ustalenia pozostaje, kto ich do tego skłonił".

* Od 2010 do 2014 r. Rosjanie kanałami dyplomatycznymi przekazywali wyrazy swojego niezadowolenia z prac smoleńskiego zespołu parlamentarnego i z działań dziennikarzy podważających oficjalną wersję katastrofy. Istnieje zbieżność w czasie między pouczeniami Rosji a działaniami polskiego rządu w sprawie katastrofy smoleńskiej. Na przykład w styczniu 2011 r. Rosjanie w obcesowy sposób dali wyraz swojemu niezadowoleniu ze stanowiska Donalda Tuska dotyczącego raportu MAK, a ta swoista polityczna reprymenda przekazana drogą dyplomatyczną zbiegła się w czasie z nagłą woltą premiera w tej sprawie.

* 10 maja 2010 r. do Ambasady RP w Moskwie zgłosił się Rosjanin twierdzący, że ma informacje o zamachu w Smoleńsku. Polskie służby nie dość, że nie zrobiły nic, aby zweryfikować jego słowa, to jeszcze przekazały jego dane rosyjskiej Federalnej Służbie Bezpieczeństwa (FSB). Odpowiedzialna za tę skandaliczną decyzję była Agencja Wywiadu (AW). Pod decyzją o przekazaniu FSB danych osobowych rosyjskiego informatora podpisało się dwóch zastępców szefa AW: Marek Stępień (odpowiadający w Agencji za sprawy operacyjne) i Piotr Juszczak – obaj powołani na stanowiska przez Tuska.

* Jesienią 2010 r. zgłaszał się do polskich władz poprzez Ambasadę RP w Moskwie urzędnik, związany z MAK Tatiany Anodiny oraz z Komitetem Śledczym Federacji Rosyjskiej przy rosyjskiej Prokuraturze Generalnej. Twierdził, że ciała złożone do trumien nie są tymi ofiarami, które zostały zidentyfikowane przez rodziny. Polskie służby uznały go za „prowokatora" i również przekazały jego dane FSB.

* Tusk akceptował powtarzanie rosyjskich tez przez ministrów swojego rządu i ich współpracowników. Już 10 kwietnia 2010 r. Roman Kuźniar, ówczesny doradca ministra Bogdana Klicha (potem doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego), napisał w specjalnym wydaniu pisma „Kultura liberalna": „Pilot nie mógł podjąć sam decyzji o czterokrotnym podchodzeniu do lądowania w tak trud-

eprasa.pl 12975ab158

nych warunkach z takimi osobami na pokładzie". Z kolei Radosław Sikorski mówił w maju 2010 r. w Radiu TOK FM, że gen. Błasik mógł rozpraszać załogę swoją obecnością w kabinie, a w lutym 2011 r. – gdy już było oczywiste, że Polacy nie lądowali – twierdził w TVN: „Piloci ewidentnie popełnili błąd, nie powinni lądować we mgle, choćbyśmy nie wiem, ile zaprzeczali".

* Na przełomie 2011 i 2012 r. ówczesny szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego gen. Janusz Nosek otrzymał od premiera Donalda Tuska zgodę na podjęcie przez SKW współpracy z FSB.

▶ 5. Fałszując przebieg katastrofy

Działaniami tzw. komisji Millera, której raport dotyczący katastrofy smoleńskiej został przyjęty przez Tuska 25 lipca 2011 r., zajmie się prokuratura. Dziś wiemy, że:

– manipulowano zapisami rejestratorów lotu. Z polskiej „czarnej skrzynki" wycięte zostały prawie 3 sekundy, a z rosyjskiej około 5 sekund. Chodzi m.in. o to, że biegli pracujący dla komisji Millera i prokuratury wojskowej uzupełnili niekompletny zapis rejestratora ATM-QAR dwusekundowym fragmentem kopii innego rejestratora tupolewa (MSRP-64M-5). Zabieg ten zakrawał na fałszerstwo, gdyż wykorzystana do uzupełnienia kopia zawierała błędy (co stwierdzili sami biegli) i wykonana została przez Rosjan bez udziału i nadzoru strony polskiej;

– w 2010 r. Jerzy Miller, ówczesny szef komisji nazwanej potocznie jego nazwiskiem, nakazał polskim ekspertom, by ich wnioski były zgodne z wersją rosyjską. „Jeżeli te raporty [polski i rosyjski – przyp. red.] będą różne, to będzie do tego cała teoria budowana w społeczeństwie, że albo ten ukrył, albo tamten ukrył, ale na pewno prawda jest gdzieś jeszcze indziej. [...] Albo zadbamy o jednolity przekaz, który nie sprzyja budowaniu mitów i podejrzeń, albo sami sobie ukręcimy bicz na własne plecy" – mówił Miller;

– w kokpicie nie było gen. Andrzeja Błasika, choć – nie mając na to żadnych dowodów – stwierdziła tak komisja Millera. Według rządowych ekspertów, gen. Błasik swoją obecnością w kabinie pilotów rozpraszał załogę;

– z analizy zapisu rejestratorów lotu wynika jednoznacznie, że kilkadziesiąt sekund przed tragicznym końcem lotu odnotowano sygnał niesprawności pierwszego silnika, niesprawność pierwszego generatora, niesprawność obu wysokościomierzy radiowych i pierwszego układu hydraulicznego. Tymczasem w 2011 r. członek komisji Millera Robert Benedict twierdził: „Samolot był sprawny technicznie do momentu uderzenia z ziemią. Urządzenia były sprawne i działały prawidłowo";

– badanie katastrofy przez rządowych ekspertów było fikcją. Z dokumentu z sierpnia 2010 r., podpisanego przez Stanisława Żurkowskiego – ówczesnego przewodniczącego Podkomisji Technicznej Komisji Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego – wynika, że polscy specjaliści w ogóle nie zbadali wraku Tu-154, oraz że – mimo pobytu w Rosji – nie skontaktowali się ani z rosyjskim producentem samolotu, ani z zakładem, w którym remontowano tupolewa. Pismo, o którym musiał wiedzieć Donald Tusk, przez pięć lat było ukrywane przez poprzednie władze.

▶ 6. Tuszując aferę z zamianą ciał

* Już 24 września 2010 r. Donald Tusk został powiadomiony, że Rosjanie w trumnie prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego (a także kilku innych ofiar smoleńskich) złożyli zwłoki innej osoby. O zamianie ciał dowiedziała się też wtedy komisja Millera i Naczelna Prokuratura Wojskowa. Mimo to informacji tej nie przekazano bliskim prezydenta, a ekshumację świadomie zablokowano. Co więcej, Tusk w marcu 2012 r. sugerował, że rodziny smoleńskie domagające się ekshumacji mają problemy emocjonalne: „Nie powinienem komentować determinacji niektórych rodzin na rzecz ekshumacji zwłok, nawet jeśli nie rozumiem tej determinacji, bo nie rozumiem. Ale widocznie jest jakaś potrzeba, która tkwi w zranionych uczuciach rodzin ofiar". Do ekshumacji prezydenta Kaczorowskiego doszło ostatecznie 22 października 2012 r. Potwierdziło się, że w jego trumnie złożono ciało innej osoby.

* Donald Tusk odpowiada również za wydanie ciał ofiar katastrofy smoleńskiej władzom rosyjskim. Już 10 kwietnia 2010 r. minister zdrowia Federacji Rosyjskiej Tatiana Golikowa powiadomiła go, że Rosjanie będą przeprowadzali sekcje zwłok bez polskich lekarzy i prokuratorów. Tusk nie zaprotestował. Gdy 11 kwietnia do Moskwy przybyli polscy prokuratorzy oraz Ewa Kopacz, obdukcje ofiar były już zakończone.

* Po rosyjskich sekcjach, które zaaprobował Tusk, zwłoki ofiar wróciły z Moskwy do Polski w zalutowanych trumnach. W obecności niektórych rodzin oraz Rosjan minister Tomasz Arabski, szef kancelarii premiera, stwierdził, że trumny nie będą już otwierane. Także inna bliska współpracowniczka Tuska – minister zdrowia Ewa Kopacz – zabroniła (jak relacjonowała wdowa po wicemarszałku Sejmu Krzysztofie Putrze) otwierania trumien. ■

eprasa.pl 12975ab158

Ryszard Czarnecki

Wybory w USA... A.D. 2020

Na fotografii zrobionej przez Mayę Alleruzzo z Associated Press widać dwoje roześmianych od ucha do ucha ludzi. Można zauważyć, że cieszą się sobą i dobrze im się konwersuje. Jeśli jakieś zdjęcie może oddać dobrą „ludzką chemię", to właśnie to. Jest 14 lipca 2012 r. Fotka została zrobiona w Kairze i przedstawia Amerykankę i Egipcjanina. On, Mohamed Morsi, jest prezydentem Egiptu. Ona, Hilary Diane Rodham Clinton, jest (wówczas) sekretarzem stanu USA, czyli szefem MSZ-etu najpotężniejszego państwa świata. Przyglądam się tej fotografii w momencie, gdy owa dama ma objąć urząd 45. prezydenta Stanów Zjednoczonych jako pierwsza w historii żona byłego prezydenta.

Nie będę jednak pisał o dynastii Clintonów, która wyrównuje osiągnięcie dynastii Bushów, czyli drugi przedstawiciel (przedstawicielka w tym przypadku) zostaje prezydentem USA. Tyle że dynastia Bushów była bardziej sprawna, bo zainstalowała kolejnego członka rodziny w Białym Domu zaledwie osiem lat po tym, jak George Bush (senior), zresztą syn kongresmena z Connecticut, oddał amerykański ster, no właśnie, mężowi pani Clinton, zwanemu później złośliwe „ogierem z Gabinetu Oralnego". Tyle że William Clinton, zwany też Billem (nawet „bardzo szybkim Billem"), zakończył swoje urzędowanie w White House po dwóch kadencjach w 2000 r., w związku z tym wybór jego żony po 16 latach na stanowisko amerykańskiego prezydenta sprawia, że dynasta Clintonów jest nie tyle gorsza, ile wolniejsza w obejmowaniu kolejnej prezydentury o osiem lat.

Wszak w Ameryce po kampanii prezydenckiej i do Kongresu A.D. 2016 toczy się już ta następna – do Białego Domu A.D. 2020. Kto będzie przyszłym, 46. prezydentem USA? Oczywiście może tak być, że w szranki stanie starsza pani – Mrs Clinton. A jeśli z jakichś względów nie ona, to wówczas (albo też później, w 2024 r.) największe szanse na prezydenturę USA ma, z dzisiejszej perspektywy, dwoje kandydatów. I znów są to kobieta od demokratów i mężczyzna od republikanów. Myślę o pani Robinson z jednej strony i panu Ryanie – z drugiej. W tym pierwszym przypadku proszę nie przecierać oczu. Robinson? Tak, chodzi oczywiście o Michelle LaVaughn Obama, *de domo* Robinson. Młodsza ode mnie o rok bez ośmiu dni żona 44. prezydenta USA 20 stycznia 2009 r., trzy dni po swoich 45. urodzinach, została pierwszą czarnoskórą Pierwszą Damą Ameryki. Ma głowę do biznesów, skoro jest 50. na liście najbogatszych polityków świata (uznano, że żona prezydenta USA to też polityk...). Ta córka sekretarki (ojciec Michelle zmarł równo ćwierć wieku temu) i siostra trenera koszykarskiej drużyny Uniwersytetu w Oregon zgromadziła na koncie prawie 12 mln dolarów. Jej mąż, Barack Hussein, jest Mulatem (biała matka), ona sama miała oboje czarnych rodziców, którzy zresztą się nie rozeszli, w przeciwieństwie do rodziców Obamy. Kolor jej skóry podkreślam w kontekście wielokrotnie przez nią manifestowanej solidarności ze swoją rasą. W szkole średniej (Whitney Young) przyjaźniła się z córką czarnoskórego pastora z ambicjami prezydenckimi, polityka Partii Demokratycznej Jessego Jacksona. A na Uniwersytecie Princeton napisała pracę licencjacką z socjologii na temat „Princeton Educated Blacks and Black Community". Jej małżeństwo z Barrackiem Husseinem to romans biurowy. Pikanterii tej love story w kancelarii prawnej Sidley Austin dodaje fakt, że B.H. Obama był... podwładnym swojej przyszłej żony. Wspomnicie moje słowa: ona będzie kandydować!

Stawiam, że kandydatem republikanów na 46. prezydenta USA będzie... kandydat tejże partii na wiceprezydenta A.D. 2012 – Paul Davis Ryan, młodszy od Michelle Obamy o 6 lat i 12 dni, a od piszącego te słowa 7 lat i 4 dni (też Wodnik!). Od roku jest speakerem Izby Reprezentantów. Pierwszy raz kongresmenem został w wieku 29 lat i jest nim nieprzerwanie. Ma trójkę rodzeństwa, a także trójkę własnych dzieci. Uwaga: katolik (jak J.F. Kennedy) i miłośnik polskiego papieża Jana Pawła II. Zdecydowany zwolennik ochrony życia i przeciwnik badań nad zarodkami ludzkimi. W rankingu największej organizacji pro-life w USA zyskał 100 proc.(!), a Christian Coalition dała mu 91 proc. w rankingu ochrony „tradycyjnych wartości rodzinnych".

Nie ze względu na męską solidarność, ale ze stu innych powodów będę za nim. ■

eprasa.pl 12975ab158

Philipp Bouhler, szef programu T4, i Viktor Brack, organizator akcji T4

Eutanazyjna akcja T4 była popierana przez sporą część Niemców, a uczestniczyli w niej najlepsi niemieccy psychiatrzy.

Zwyczajni Niemcy i

eprasa.pl 12975ab158

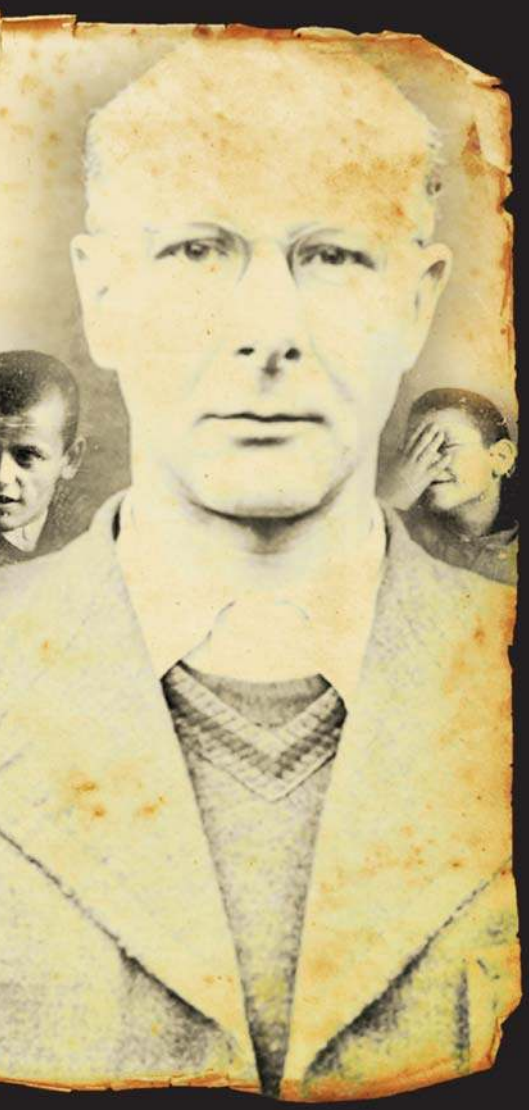

Tomasz P. Terlikowski

akcja T4

fot. Wikipedia

Dyskusja o eugenice, ze szczególnym uwzględnieniem aborcji eugenicznej, toczy się dziś w rytm zapewnień, że trzeba pozostawić rodzicom upośledzonych i chorych dzieci wybór. Kłopot z tym argumentem jest tylko taki, że dokładnie identycznym posługiwali się Niemcy, gdy przygotowywali i usprawiedliwiali akcję T4 (dla niezorientowanych była to akcja likwidacji osób chorych psychicznie, w tym także dzieci i niemowląt). Co ciekawe, ogromna większość zarówno rodzin osób niepełnosprawnych umysłowo, jak i społeczeństwa, akceptowała nie tylko ten proceder w ogólności, lecz także zabicie własnych bliskich. Znakomicie pokazuje to niemiecki historyk i dziennikarz Götz Aly w książce „Obciążeni. Eutanazja w nazistowskich Niemczech".

Pomysł światopoglądowej lewicy

Ta praca rozbija bardzo wiele mitów narosłych wokół eutanazyjnej działalności hitlerowców. Pierwszym z nich jest przekonanie, że zabijanie niepełnosprawnych było jakimś skandalicznym wybrykiem nazistów. Tyle że to wierutna bzdura. O możliwej likwidacji osób niepełnosprawnych mówiono już na I Zjeździe Socjologów w Niemczech w 1910 r. Pytanie o to, czy lekarz może zabijać swoich pacjentów, padło zaś oficjalnie w 1922 r. na corocznym zjeździe saksońskich neurologów, którzy dyskutowali nad manifestem „Legalizacja likwidacji istot niewartych życia – jej zakres i forma" napisanym w 1920 r. przez fryburskiego psychiatrę Alfreda Hochego i lipskiego prawnika Karla Bindinga. Obaj panowie nie byli ponurymi nazistami, ale lewicowcami, którzy – jak większość ówczesnych zwolenników eutanazji eugenicznej – propagowali prawa kobiet, swobodę obyczajową, wspierali aborcję, a także sprzeciwiali się karze śmierci.

I żeby nie było wątpliwości, ich propozycja wcale nie wywołała sprzeciwu wśród współczesnych. Ogromna większość postępowo nastawionych środowisk, zarówno lekarskich, jak i prawniczych, opowiedziała się po ich stronie. Przeciw byli... katolicy. To w prowadzonych przez nich klinikach (które wiele lat później odmawiały udziału w procederze aborcyjnym) nie przeprowa-

eprasa.pl 12975ab158

dzano ani przymusowych sterylizacji, ani tym bardziej eutanazji. „Między 1939 i 1945 rokiem w imieniu rządu niemieckiego dokonano dwieście tysięcy morderstw nazwanych eutanazją. Opór przeciw temu procederowi był znikomy. Kiedy pojawiały się protesty, ich źródłem nie były zasady panujące w nowoczesnym państwie prawa czy idee laickiego humanizmu, lecz dawno osłabiona wiara, że każdy człowiek ma w sobie obraz i podobieństwo boże – nawet jeżeli jest zniekształcony, zidiociały, niedorozwinięty, wymagający opieki lub ciężko chory" – wskazuje Aly.

Sprzeciwu wobec tego procederu nie było widać także wśród rodzin i bliskich osób psychicznie chorych. A dowód na to uzyskano już w latach 20., gdy kierujący przez 30 lat ośrodkiem dla osób psychicznie chorych Ewald Meltzer przeprowadził wśród ich rodzin ankietę (obejmowała ona ponad 200 rodzin) dotyczącą właśnie zgody na likwidację chorych. Lekarz, który w ten sposób chciał dowieść, że nie będzie zgody na eutanazję, zadał rodzicom chorych osób proste pytanie: „1. Czy bez wahania zgodziliby się Państwo na bezbolesne skrócenie życia swojego dziecka, u którego fachowcy stwierdziliby nieuleczalne upośledzenie umysłowe?". Rodzice, którzy odpowiedzieli na to pytanie negatywnie, konfrontowani byli z dodatkowymi pytaniami: „2. Czy wydaliby Państwo taką zgodę tylko wtedy, kiedy nie mogliby już Państwo zaopiekować się dzieckiem, na przykład w przypadku Państwa śmierci?; 3. Czy udzieliliby Państwo takiej zgody tylko wówczas, gdyby dziecko cierpiało na skutek bardzo bolesnych fizycznych i psychicznych dolegliwości?". Odpowiedzi były, przynajmniej dla prowadzącego badania, zaskakujące. Udzieliło ich 160 z 200 badanych osób. 73 proc. rodziców odpowiedziało twierdząco już na pierwsze z pytań. „Nie" możliwości eutanazji powiedziało 43 ankietowanych, ale spośród nich tylko 20 odpowiedziało negatywnie także na pozostałe dwa pytania. Ostatecznie więc sprzeciw wobec zabicia własnych dzieci wyraziło 10 proc. uczestników badania. Większość z tych, którzy opowiedzieli się za eutanazją, zastrzegała jednak, że wolałaby nie wiedzieć, jak doszło do śmierci ich dzieci, a jeśli to możliwe, by śmierć sprawiała wrażenie naturalnej.

Eutanazizm i psychiatrzy

To właśnie na tych, wyrywkowych, ale jednak mocnych, badaniach opierali się ideolodzy narodowego socjalizmu i wybitni psychiatrzy, którzy wprowadzali akcję T4. Ta ostatnia, choć nie miała formy ustawowej, była rzeczywistością powszechnie znaną, akceptowalną przez ogromną większość psychiatrów i personelu medycznego, a także przez rodziny ofiar. Hitlerowcy przygotowali ją w taki sposób, by chorych najpierw wywozić ze szpitali do punktów zbiorczych, a dopiero po kilku tygodniach zabijać. Jeśli rodziny zaczynały się o chorych dopytywać, interesowały się nimi, domagały powrotu, to oni wracali. Ilu ich było? Aly nie pozostawia wątpliwości: mniej więcej 10 proc. Tyle przeżyło wojnę, i taki wskaźnik w badaniach (podkreślmy jeszcze raz – wyrywkowych) był przeciw zabijaniu chorych. Lekarze także nie mieli problemów, mogli odmówić wykonywania eutanazji, ale zazwyczaj tego nie robili.

Ale to nie wszystko. Ogromna większość najlepszych niemieckich psychiatrów uczestniczyła w procederze eutanazyjnym z własnej woli, uzasadniając go, usprawiedliwiając. Tak było w Hamburgu, gdzie usprawiedliwieniem dla eutanazji także dzieci stał się tekst znanego, wówczas już emerytowanego profesora neurologii Maxa Nonnego, który otwarcie przyznał, że... dla części z pacjentów ich uśmierce-

FAŁSZEM JEST PRZEKONANIE, ŻE RODZICE I RODZINY W WIĘKSZOŚCI NIE MIELI POJĘCIA, CO DZIEJE SIĘ ZA ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI SZPITALI. W PRZYPADKU OGROMNEJ WIĘKSZOŚCI RODZIN CHORYCH MOGŁY SIĘ ONE DOMYŚLAĆ, CO CZEKA ICH ZABIERANYCH DO INNYCH MIEJSC OPIEKI KREWNYCH, A CZĘŚĆ Z NICH SAMA PROSIŁA LEKARZY O „ZAŁATWIENIE PROBLEMU" CHOREGO DZIECKA.

eprasa.pl 12975ab158

nie jest absolutnie najlepszym wyjściem. „Ich życie jest absolutnie bezcelowe, odczuwają je jako nie do zniesienia. Dla swoich rodzin i dla społeczeństwa stanowią straszliwie wysoki balast. Ich śmierć nie czyni najmniejszej wyrwy" – przekonywał neurolog. A opierając się na jego wskazówkach, zabijano tysiące pacjentów, także takich, którzy – jak wynika ze świadectw ich opiekunów – wcale nie chcieli umierać. Na podstawie takich wskazówek uczono też młodych psychiatrów wykonywania śmiercionośnych zastrzyków. I choć można było odmówić, to niemal nikt tego nie robił. W efekcie ręce ubabrane w krwi niewinnych mieli niemal wszyscy psychiatrzy i neurolodzy, którzy pracowali w latach 30. i 40. w Niemczech. Karę ponieśli nieliczni.

inwazyjnemu leczeniu, które w 95 proc. kończy się jego śmiercią. I podobnie, jak w przypadku dorosłych, ogromna większość wyrażała na to zgodę.

Sytuacja nieco się zmieniła, gdy – po kazaniach biskupa von Gallena, który niezwykle mocno potępił eutanazję i ujawnił jej skalę – nie można było już udawać, że nic się nie dzieje. Ale i wtedy sporo rodzin ubolewało raczej nad tym, że teraz niewiele się już da zrobić, niż chciało bronić swoich bliskich. A eutanazyjny proceder choć na moment przyhamował, szybko się odrodził. Powodów było wiele. Po pierwsze: kwestie finansowe; po drugie, potrzeba pustych szpitali na przyjmowanie rannych; po trzecie, przekonanie, że lekarz, zabijając swojego pacjenta, wyświadcza mu przysługę; po czwarte, chęć prowadzenia psychiatrycznych badań nie tylko na żywych chorych, lecz także na ich mózgach (a to wymagało ich wcześniejszego zabicia), co zaowocowało wieloma, wbrew pozorom ważnymi dla medycyny studiami. Po piąte, uznanie, że nowoczesna medycyna nie wymaga etyki, a kierować się powinna wyłącznie zasadami i opłacalnością naukową. Sprzeciw wobec eutanazizmu, na co zwracałem już za Alym uwagę, wynikał zaś z kwestii religijnych, uznania w każdym godności dziecka Bożego.

Warto o tym wszystkim pamiętać, gdy obecnie dyskutujemy o aborcji, szczególnie tej eugenicznej. U jej podstaw leżą bowiem dokładnie te same założenia, którymi niemieccy psychiatrzy i neurolodzy (świetnie zajmujący się tą częścią chorych, którzy dobrze rokowali, doskonale wykształceni i wprowadzający w swoich szpitalach najnowocześniejsze terapie) usprawiedliwiali akcję T4 czy inne jej elementy. Eugenika zawsze jest tak samo niebezpieczna i zawsze ma te same źródła. Sprzeciw wobec niej jest zaś zawsze obowiązkiem sumienia. ■

WIĘKSZOŚĆ NAJLEPSZYCH NIEMIECKICH PSYCHIATRÓW UCZESTNICZYŁA W PROCEDERZE EUTANAZYJNYM Z WŁASNEJ WOLI. PROFESOR NEUROLOGII MAX NONNE OTWARCIE PRZYZNAWAŁ, ŻE ŻYCIE NIEPEŁNOSPRAWNYCH „JEST ABSOLUTNIE BEZCELOWE, ODCZUWAJĄ JE JAKO NIE DO ZNIESIENIA. DLA SWOICH RODZIN I DLA SPOŁECZEŃSTWA STANOWIĄ STRASZLIWIE WYSOKI BALAST. ICH ŚMIERĆ NIE CZYNI NAJMNIEJSZEJ WYRWY".

A co na to rodzice

Fałszem jest także przekonanie, że rodzice i rodziny w większości nie mieli pojęcia, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami szpitali. W przypadku ogromnej większości rodzin chorych mogły się one domyślać, co czeka ich zabieranych do innych miejsc opieki krewnych, a część z nich sama prosiła lekarzy o „załatwienie problemu" chorego dziecka. „Byłam zrozpaczona i zamęczałam dr. Bayera prośbami, aby pomógł mojemu dziecku, i zapytałam go, czy nie mógłby go wybawić, ponieważ ja muszę żyć dla mojego zdrowego dziecka. Błagałam dr. Bayera, by mi pomógł. Zapytałam go, czy takiemu dziecku nie można czegoś podać, aby zasnęło" – wspominała jedna z matek już po wojnie. Lekarz początkowo odmówił, ale gdy ona nalegała, odpowiedział: „[...] niech pani zostawi dziecko u nas, podejmiemy leczenie". Dziecko zostało zamordowane. Takie same historie dotyczyły dziesiątek, jeśli nie setek innych dzieci. A gdy rodzice nie nalegali, to lekarze sami zadawali pytanie, czy nie chcieliby oni poddać dziecka

eprasa.pl 12975ab158

W Holandii najpierw zalegalizowano eutanazję dla osób terminalnie chorych, cierpiących silny, „nie do zniesienia” ból, będących w stanie „bez szans na poprawę”. Krąg ludzi, których można uśmiercić mocą prawa, sukcesywnie się jednak powiększał. I powiększać się chce nadal...

Małgorzata Matuszak

Szacunek dla życia i śmierci

eprasa.pl 12975ab158

Życie jest wartością najwyższą. Niewielu z nas się z tym stwierdzeniem nie zgodzi, kiedy jednak zaczniemy rozpatrywać kwestie szczegółowe dotyczące życia i śmierci człowieka, przypatrzymy się sytuacjom, w których problematyka ta wysuwa się na plan pierwszy, okazuje się, że nasze jej postrzeganie znacznie się różni. Często mówi się o tym, że współczesna cywilizacja nosi w sobie znamiona cywilizacji śmierci. Trudno oprzeć się temu wrażeniu szczególnie wtedy, gdy przyglądamy się dzisiejszym dyskusjom dotyczącym aborcji dzieci niepełnosprawnych czy eutanazji osób chorych i towarzyszącym im dywagacjom na temat, które życie jest godne i warte przeżycia, a które nie, i kiedy, jeśli zostanie negatywnie ocenione, można je zakończyć. Do czego przesuwanie granic w tym względzie prowadzi, pouczają nas przykłady z tych najbardziej cywilizowanych krajów.

Przykład Holandii

Kiedy ówczesna holenderska minister zdrowia Els Borst podpisała w 2002 r. ustawę sankcjonującą eutanazję, wypowiedziała znamienne słowa: „Dokonało się". Nietrudno dopatrzeć się w nich nawiązania, kpiącego i bluźnierczego wręcz, do słów Chrystusa dokonującego swej męki na krzyżu w Wielki Piątek: „Wykonało się". Tak, wtedy, w 2002 r., to się „dokonało" – zabijanie ludzi w majestacie prawa stało się w Holandii możliwe. Ustawa o dobrej śmierci weszła w życie. Ta sama pani minister, wtedy ze swych poczynań zadowolona, po kilku latach zaczęła wątpić w słuszność swych decyzji, przyznając, że ówczesny rząd zbytnio się z nią pospieszył. W rozmowie z dr Anne-Mei The, autorką książki na temat historii eutanazji „Verlossers naast God", stwierdziła, że legalizacja eutanazji przyszła „znacznie za szybko", że rząd nie zwrócił wystarczającej uwagi na problematykę opieki paliatywnej. Powiedziała wtedy: „W Holandii słuchaliśmy najpierw politycznych żądań w sprawie eutanazji. [...] Oczywiście, to nie było w odpowiednim porządku".

Także prof. Theo Boer, holenderski lekarz i etyk, który wtedy popierał legalizację eutanazji, w międzyczasie zmienił na jej temat zdanie. Teraz twierdzi: „Wielu moich kolegów myślało podobnie. Że mamy odpowiednie organy, które czuwają nad zastosowaniem ustawy z 2001 roku, że kontrola jest skuteczna i nie ma niebezpieczeństwa, że dojdzie do nadużyć i eutanazja stanie się rutynową procedurą w przypadku osób chorych, starych i niedołężnych. Myliliśmy się".

Niestety, sytuacja „trochę" się spod kontroli wymknęła. Liczba eutanazji dokonywanych w Holandii systematycznie, z roku na rok, niepokojąco wzrasta. W 2015 r., zgodnie ze statystykami prezentowanymi przez holenderski rząd, spośród 147 010 wszystkich zarejestrowanych w tym kraju zgonów 5516 było wynikiem przeprowadzonej eutanazji bądź wspomaganego samobójstwa. W porównaniu do 2014 r. to wzrost o 4 proc. Jeszcze bardziej zatrważający wynik daje porównanie bieżących danych z tymi sprzed kilku lat. Na przykład w 2008 r. do obowiązkowego rejestru holenderscy lekarze zgłosili „jedynie" 2331 przypadków eutanazji, 400 przypadków samobójstwa wspomaganego oraz 550 tzw. zgonów bez zgody pacjenta (np. odłączenie od aparatury podtrzymującej życie na podstawie decyzji personelu medycznego). W ciągu 7 lat to wzrost o bez mała 140 proc.! Jeśli zaś weźmiemy pod uwagę słowa prof. Theo Boera, który twierdzi, że jeśli wliczylibyśmy do statystyk osoby zmarłe wskutek tzw. Verstevering, czyli zaprzestania podawania jedzenia i płynów, praktyki rutynowo stosowanej w wielu szpitalach i domach opieki, to okazałoby się, że ponad 12 proc. zgonów odnotowywanych co roku w Holandii wynika z jakiejś formy eutanazji.

Furtka się otworzyła

W Holandii o kwestii końca życia mówi się w sposób rzeczowy i pragmatyczny, bez „ideologicznej, religijnej i emocjonalnej wojny na słowa". Bo przecież to, że tak właśnie powinno się to odbywać, staje się powoli standardem w wysoko rozwiniętych krajach Zachodu. Zwykle dodaje się w tym miejscu – oczywiście nie w Polsce. I wypowiedzi te dotyczą nie tylko dyskusji na temat eutanazji, lecz także innych spraw istotnych dla społeczeństwa – aborcji czy legalizacji związków homoseksualnych.

W 2006 r. prawo do eutanazji w Holandii rozszerzono, dopuszczając ją – na żądanie rodziców – także w przypadku noworodków, które przyszły na świat z ekstremalnymi defektami. Dolna granica wieku pacjenta, którego poddać można eutanazji, wynosi 12 lat, przy czym w przypadku dzieci w wieku 12–16 lat wymagana jest zgoda rodziców, co też pewnie niedługo przestanie obowiązywać. W czerwcu 2015 r. stowarzyszenie holenderskich pediatrów opowiedziało się za przyznaniem prawa do eutanazji dzieciom poniżej 12 roku życia, ale taka nowelizacja nie została jeszcze uchwalona. W Belgii w tej chwili żaden limit wieku już nie obowiązuje. Zdumiewa też wzrost liczby eutanazji przeprowadzonych w Holandii na ludziach cierpiących na choroby psychiczne – dokonano ich 56 w 2015 r.,

fot. Krzysztof Sitkowski/Gazeta Polska

eprasa.pl 12975ab158

rok wcześniej – 41, oraz demencję, tych wykonano odpowiednio 109 i 81. Dla porównania – w 2010 r. z eutanazji skorzystały w kraju dwie osoby. Najwięcej eutanazji osób psychicznie chorych wykonuje się w klinice End Amsterdam, 70 proc. z nich dokonano na kobietach, jedną czwartą na osobach poniżej 50 roku życia.

Holenderskie prawo dotyczące eutanazji jest sztandarowym argumentem dla jej zwolenników w innych krajach. Kiedy na przykład w Kanadzie toczyła się na jej temat dyskusja, środowiska proeutanazyjne, domagające się i tam legalizacji eutanazji i samobójstwa wspomaganego, odwoływało się właśnie do prawa obowiązującego w Holandii. W ślad za Holandią idzie Belgia. Do „rozwiązań" holenderskich odwołują się coraz głośniej „postępowi" działacze na rzecz „godnej śmierci" również z innych krajów.

Równia pochyła

Przez 15 lat nastąpiła akceptacja dla eutanazji noworodków, eutanazji pediatrycznej, eutanazji osób chorych psychiatrycznie. Co dalej? Niedawno w Holandii nasiliły się głosy ludzi domagających się prawa do eutanazji nie tylko dla osób nieuleczalnie chorych, lecz także tych, które „po prostu" czują się spełnione i nie mają dalszej potrzeby życia. Nowy projekt takiej ustawy ma zostać przeanalizowany do końca 2017 r. „Musimy jeszcze dopracować szczegóły, ale generalnie ludzie, którzy doszli w wyniku swoich przemyśleń do wniosku, że ich życie jest już spełnione, powinni mieć możliwość zakończyć je w sposób godny, oczywiście zgodnie ze ściśle i starannie określonymi kryteriami" – czytamy w piśmie holenderskiej minister zdrowia Edith Schippers. Dodaje ona, iż nowe przepisy mają być skierowane do ludzi starszych, ponieważ właśnie oni najczęściej odczuwają „pragnienie śmierci". Granica wieku nie jest jeszcze określona, minister nie podaje, od którego roku życia ktoś mógłby uznać je za już kompletne i spełnione na tyle, by z tego powodu chcieć poddać się eutanazji.

Niderlandzkie Stowarzyszenie na rzecz Dobrowolnego Zakończenia Życia (NVVE) opowiada się także za pełną dostępnością „pigułek ostatniej woli". Tak, by ten, kto chce umrzeć, mógł poddać się eutanazji bez zgody i pomocy lekarza. NVWE argumentuje swój pomysł tym, że dziś w Holandii tajemnicą poliszynela są adresy handlarzy „pigułkami śmierci", że można je sprowadzić przez Internet z Chin i Meksyku i że sami udzielają wyczerpujących informacji tym z nieuleczalnie chorych, którzy myślą o samobójstwie. Dyrektor Stowarzyszenia Robert Schurink mówi o tym, że „obecne przepisy prawa stawiają lekarzy w roli sędziów decydujących o wydaniu zgody na eutanazję", a część z nich odmawia jej wydania z powodów moralnych. Jeśli zaś osoby pragnące poddać się eutanazji nie musiałyby współpracować z lekarzem i mogłyby same legalnie nabyć „pigułkę ostatniej woli", byłaby ona o wiele prostsza.

„Tak" dla życia

Rzec można, że to, co dzieje się w Holandii, Belgii, Luksemburgu czy USA, nas, Polaków, nie dotyczy. Nie ma u nas prawnego przyzwolenia na tego typu praktyki, chociaż – jeśli jednak damy wiarę badaniom CBOS-u – ponad 50 proc. Polaków jest skłonna zaakceptować eutanazję. Czy to znak naszych czasów? Robert Spaemann pisał: „Jeśli gdzie umieranie nie jest rozumiane i kultywowane jako część życia, to w tym momencie zaczyna się cywilizacja śmierci" i trudno się z nim nie zgodzić. Tam, gdzie nie ma szacunku dla życia, nie ma również szacunku dla śmierci.

Smutne jest to, że człowiek opowiadający się za prawem do prawdziwie godnej śmierci zaczyna być postrzegany dziś w pewnych kręgach jako „zacofany", niepozwalający ludziom na to, by decydowali o własnym losie, pozbawiający ich wolności wyboru, nierozumiejący, że eutanazja dla chorych jest miłosierną i postępową praktyką, która przyniesie ulgę ich cierpieniu. Tego, co się dzieje, gdy otworzy się furtkę dla i do eutanazji, możemy doświadczyć już teraz. Zaczyna służyć ona eliminacji ze społeczeństwa tych ludzi, którzy postrzegani są jako gorsi, jako ciężar. Starość, niepełnosprawność, cierpienie – trudno znaleźć w dzisiejszym przesyconym kultem zdrowia, witalności i młodości świecie na nie miejsce. Dla tych, którzy starości, niepełnosprawności, cierpienia doświadczają, i dla ich otoczenia, eutanazja wydaje się czasami najlepszym wyjściem. Najszybszym, jak ona sama. Czy można jednak likwidować zło cierpienia człowieka przez jeszcze większe zło? Jeśli uznamy eutanazję za śmierć godną, to stwierdzimy tym samym, że życie chorego człowieka godne nie jest, na to zaś przystać nie można.

Podobnie rzecz się ma z aktualnym dyskursem na temat prawa do aborcji. Ten, kto opowiada się za ochroną życia, za prawem do życia dzieci niepełnosprawnych, uznawany jest za przeciwnika praw kobiet, ich wolności wyboru, nowoczesnego sposobu rozwiązywania „tego typu problemów". A przecież o życie tu chodzi i o śmierć. O to, co dla człowieka najważniejsze. ■

eprasa.pl 12975ab158

Robert Tekieli

Muzyka uzależnia? Przesadzasz, pajacu

Maciek grał ciemną muzykę. By wygrać w konkurencji z grającą ostrzej kapelą z sąsiedztwa, zaczął w swych tekstach bluźnić. Został opętany, Bóg powiedział mu o tym w specyficzny sposób. Jego ciało płonęło. Prawie dosłownie...

fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

eprasa.pl 12975ab158

„Z dzieciństwa pamiętam, że gdy babcia była w pobliżu, to gdy ojciec chciał mnie uderzyć, ona mówiła: tylko nie po głowie!" – opowiada Rafał Cempel, autor poruszającej książki „Bóg nie zna słowa »niemożliwe«", pracujący na co dzień w tyskiej księgarni pod patronatem św. Jacka. Tak rozpoczyna swój tekst o ofiarach muzyki blackmetalowej Marcin Jakimowicz, autor „Gościa Niedzielnego".

– Mój ojciec nie patrzył, gdzie bił. Wpadał w trans, potrafił wyzywać mnie epitetami, które na długo ukształtowały moje myślenie o sobie. Czasem obrywałem niewinnie, poza tym myślę sobie, że nie ma takiej winy dziecka, która zasłużyłaby na taką karę. Myślałem, że wszyscy rodzice tak robią...

Historia Rafała nie jest, niestety, wyjątkowa. Leszek miał ojca, który katował matkę. Gdy chłopak miał 13 lat, postawił się, próbując jej bronić. Przegrał. W lesie kilometr od domu wykopał ziemiankę. Uciekał do niej codziennie. Po jakimś czasie ściany wymazał krwią zabijanych przez siebie małych zwierząt. Słuchał agresywnej muzyki. Potem deathmetalowej. Potem blackmetalowej. Skończyło się na satanizmie...

„By uciec od domowej agresji, Rafał wszedł w świat black metalu. Słuchał kapel o satanistycznym przekazie. Nosił długie, sięgające łokci włosy. W jego słuchawkach przez kilkanaście godzin dziennie pulsował black metal. Często zasypiał z muzyką »na uszach«. Zapewniał wszystkich, że interesuje go sama forma, a nie związana z nią ideologia. Dziś, po czterech latach modlitw o uwolnienie i egzorcyzmów, wie, że to bzdura. – Nie da się bezkarnie słuchać takiej muzyki. To wejście na teren wroga, na duchową rzeczywistość, która w pewnym momencie upomni się o swoje – opowiada".

Ucieczki

Podobnie było z Karoliną. Jako nastolatka miała problemy w domu. Zero kontaktu z rodzicami, rozciągnięty w czasie konflikt. Po powrocie ze szkoły rzucała się na łóżko ze słuchawkami w uszach. Słuchała zespołu King Crimson. Trzy, cztery, pięć godzin dziennie. Zanurzała się w tę muzykę, wyobrażała sobie, że Karmazynowy Król, o którym śpiewał wokalista ukochanego zespołu, to Jezus. Po roku okazało się, że wprost przeciwnie. Karolina zaczęła czuć wrogą obecność wokół siebie. Po pewnym czasie okazało się, że obecność tej osoby nie jest zależna od jej wyobraźni. Zło towarzyszyło jej stale. Czy tego chciała, czy nie. Była dręczona obsesyjnymi myślami, skłaniana do autodestrukcji.

„– Wszyscy egzorcyści i kapłani, do których trafiałem, nie mieli wątpliwości: powodem mojego zniewolenia była muzyka – mówi Rafał. – Dlaczego wszedłem w black metal? By leczyć kompleksy. Ludzie zaczęli się mnie bać, co bardzo mnie rajcowało. Uzależniłem się od tej muzyki. Na świecie i w Polsce działa mnóstwo blackmetalowych kapel. Są takie, które dosłownie weszły w śmierć – opowiada Rafał. – Zostały okryte złą sławą poprzez zabójstwa, samobójstwa".

Muzyka może być destrukcyjna? Uzależnieni od „strzelanek" gracze strzelają do swych kolegów w liceum? Ciemnogród, kpiny! Jak rozrywka może niszczyć życie?! – krzyczą obrońcy współczesnej popkultury. Ale to tylko bezmyślne odrzucanie faktów.

Kolejny przykład z Dolnego Śląska. Przepiękna 16-latka, najbardziej popularna licealistka w 40-tysięcznym miasteczku, kochana i kochająca córka, wiceprzewodnicząca szkoły. Popełniła samobójstwo. Nikt nie był w stanie zrozumieć tego, co się stało. Śledztwo ujawniło, że Kasia zaczęła osiem miesięcy przed śmiercią korespondować z blackmetalowym muzykiem z Norwegii. Weszła w głęboką relację. Otworzyła się na idee, które głosił.

„– To nie przelewki, ale opowiedzenie się za konkretnymi wartościami, a raczej przeciwko konkretnym wartościom – opowiada Rafał. – Norweski zespół Gorgoroth wsławił się w Krakowie tym, że na tle motywu krzyża rozpiął postacie nagich kobiet. Jak człowiek chodzący do kościoła może słuchać albumu Behemotha »Christians to the lions«, czyli »Chrześcijanie dla lwów«? Przecież Nergal życzy mi wprost, bym skończył na arenie".

Z tym właśnie środowiskiem muzyków czarnej strony weszła w relację 16-letnia Kasia. Nie żyje. Prokurator przyciskany przeze mnie mówi: – Za co mam ich ścigać? Kasia przyjęła tę ideologię dobrowolnie. Nie wiem, jak oni to zrobili, że w osiem miesięcy z radosnej nastolatki zrobili samobójczynię. Nie byli w Polsce, wszystko odbyło się przez Internet. Nie zmusili jej do czegokolwiek. Jak ich skazać? To niemożliwe.

„Lider kapeli Burzum (nazwa wywodzi się z »Władcy Pierścieni« i w »czarnej mowie« oznacza ciemność) Varg Vikernes został skazany na 21 lat pozbawienia wolności za zabójstwo »Euronymousa« – gitarzysty zespołu Mayhem – oraz podpalenie trzech zabytkowych kościołów. Z samą kapelą Mayhem była zresztą związana organizacja okultystyczna Inner Circle, a jej wokalista Per Yngve „Dead" Ohlin (zwykł zakopywać w ziemi odzież, w której występował na scenie) popełnił samobójstwo".

Młodzi ludzie zaczynający słuchać ciemnej muzyki nie mają świadomości, że są manipulowani. Powtarzając za wokalistami, śpiewają teksty, których czasami nie rozumieją, a w których zawarte są niekiedy zwroty inicjacyjne. Zmanipulowany słuchacz nieświadom jest, że daje przyzwolenie złu na działanie nie z zewnątrz, a od wewnątrz, że zaprasza je do swojej duszy.

eprasa.pl 12975ab158

Podobne pułapki zawierają nie tylko teksty zespołów blackmetalowych. Również w repertuarze niektórych popowych wokalistów i zespołów mających miliony fanów znajdują się pojedyncze utwory, których śpiewanie, inwestowanie w nie emocji, może prowadzić do inicjacyjnego otwarcia na zło. Zupełnie osobnym narzędziem do infekowania wyobraźni milionów osób są towarzyszące muzyce teledyski. Młodzi ludzie oglądają czasami zwarte i świetnie wizualnie opowiedziane agitki okultystyczne. Każdy, kto ma pojęcie o mechanizmach inicjacji, widząc np. teledyski uhonorowanego nagrodą Grammy zespołu The Prodigy, nie ma żadnych wątpliwości, że świadomie zostały skonstruowane tak, by otwierać na toksyczną duchowość.

Powroty

Wróćmy do tekstu Marcina Jakimowicza: „– Z miesiąca na miesiąc wchodziłem w coraz bardziej ekstremalną muzykę – wspomina Rafał. – Za Cradle of Filth (z ang. kolebka plugastwa) powtarzałem satanistyczną mantrę. To było konkretne wołanie do anioła ciemności. Pamiętam, że w czasie egzorcyzmów musiałem wyrzec się tych słów inwokacji do »mrocznego anioła«. Wiele mnie to kosztowało. Kiedy przestraszyłem się, że coś jest nie tak? Gdy pewnego dnia odeszła od nas mama, a moje życie załamało się. Zacząłem szukać desperacko Boga. Widziałem, że nie potrafię budować relacji, bo ludzie się mnie boją. Nosiłem na koszulkach odwrócone krzyże, pentagramy. Z pomocą przyszedł mi ksiądz katecheta. To on powiedział mi słowa z Izajasza, które mnie złamały, rozłożyły na łopatki, zmieniły moje życie: »Czyż może niewiasta zapomnieć o swym niemowlęciu, ta, która kocha syna swego łona? A nawet gdyby ona zapomniała, Ja nie zapomnę o tobie. Oto wyryłem cię na obu dłoniach«".

Powroty z królestwa czerni czasami odbywają się dzięki wytrwałej miłości najbliższych. Teresa, matka 20-latka, zauważyła, że zmienił zachowanie i ubiór, zapuścił długie włosy, w jego uchu pojawił się kolczyk. Po jakimś czasie odkryła kasety z satanistyczną muzyką. Zaczęła chodzić co miesiąc w imieniu syna na czuwania i msze z modlitwą o uwolnienie do klasztoru Paulinów w Warszawie przy ulicy Długiej. Czuwania trwały od ósmej wieczór do trzeciej, czwartej nad ranem. Na siódmym czy ósmym czuwaniu w czasie adoracji Najświętszego Sakramentu usłyszała: „Teraz uwalniany jest od ducha satanizmu chłopak stojący z tyłu kościoła". Wszyscy klęczeli, była jedyną stojącą osobą, miała kłopot z kolanami. W chwili, w której kapłan wypowiadał słowa o uwolnieniu, Teresa czuła przepływające przez ciało ciepło. Po powrocie do domu z radością zaczęła obserwować szokujące zmiany. Syn po trzech dniach wyjął kolczyk z ucha, po miesiącu obciął włosy i spalił satanistyczne kasety. Dziś jest szczęśliwym, już pogodzonym ze światem, sobą i rodziną, człowiekiem.

Rafał trafił na mszę we wspólnocie Mamre w Zawierciu. W jej trakcie kapłan powiedział: „Modlę się teraz za osobę, która jest zniewolona duchowo przez muzykę satanistyczną". Rafał wspomina to w sposób następujący: „Zrobiło mi się bardzo słabo. Zaczęła mnie ogarniać panika. Straciłem grunt pod nogami". Po modlitwie pojawiły się dręczenia demoniczne. Stany paniki: „Nie mogłem wytrzymać w kościele. Miałem obrazoburcze myśli. Trafiłem do egzorcysty, do ks. Jarosława Międzybrodzkiego. Pojawiły się demoniczne manifestacje. Bardzo trudny czas. Walka, zmaganie się. Modlitwy o uwolnienie trwały cztery lata".

Ukrył się w zakamarkach duszy

Maciek grał ciemną muzykę. By wygrać w konkurencji z grającą ostrzej kapelą z sąsiedztwa, zaczął w swych tekstach bluźnić. Został opętany, Bóg powiedział mu o tym w specyficzny sposób. Jego ciało płonęło. Prawie dosłownie. Opowiedziałem jego historię w jednej ze swoich książek. Przywołuję ją teraz tylko po to, by pokazać głębię uzależnienia. Maciek nawrócił się, spotkał piękną katoliczkę, która go pokochała i pomogła w wydobyciu się z satanistycznej pułapki. Ale w pewnym momencie procesu wychodzenia z uzależnienia od muzyki Maciek przemycał do domu kasety z ciężką muzą, już nie satanistyczną. Metalową. Będąc człowiekiem w pełni świadomym, że ta muzyka omal nie zabrała mu życia.

I ostatni raz wróćmy do historii Rafała: „Po latach myślałem, że już jestem czysty. Że wyrzekłem się ciemności. Pojechałem na rekolekcje z ojcem Johnem Bashoborą. W czasie liturgii czułem się mocno osłabiony, mój stan przypominał ten sprzed kilku lat, kiedy byłem na czuwaniu wspólnoty Mamre. Przetrwałem do końca, a potem wydarzyło się coś, na co w ogóle nie miałem wpływu. Stałem w drugim czy trzecim rzędzie ludzi, kiedy ojciec John schodził do zakrystii. Rzuciłem się na niego. Przyznam szczerze, nie wiem, jak to się stało. Jedyne, co pamiętam, to wymiana spojrzeń między mną a dziewczyną, która była zniewolona przez złego ducha. Kapłan poszedł, gdy leżałem na posadzce (a na mnie jakiś łysy mężczyzna, który odmawiał Różaniec). Miotałem się, ale nie miałem tyle siły, by się podnieść. Po kilku minutach zaprowadzono mnie do ugandyjskiego księdza. Nie wiem, co tam się działo, nie pamiętam. Wiem, że po jego modlitwie poczułem się dobrze. Jestem wolny od pięciu lat. Studiowałem teologię, posługuję w Szkole Nowej Ewangelizacji, pracuję w księgarni, a ta praca jest moją prawdziwą pasją. Bóg – jak brzmi tytuł mojej książki – naprawdę nie zna słowa »niemożliwe«".

eprasa.pl 12975ab158

System Bezzałogowych Statków Powietrznych (SBSP) typu E-310 został od podstaw zaprojektowany i wyprodukowany w naszym kraju. Dron tego typu jest w stanie prowadzić ciągły monitoring całego obszaru Polski

Roman Andrzej Stańczyk

PGZ STAWIA NA INNOWACJE

Nowoczesne, bezzałogowe platformy przeciwminowe, naszpikowany techniką niszczyciel min ORP „Kormoran", drony, najwyższej jakości kamery termowizyjne – to tylko niektóre z innowacyjnych propozycji Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A., jednego z największych koncernów obronnych w Europie. – Stawiamy na innowacje, wykorzystanie najnowszych technologii i konkurencyjność. Już dziś znaczna część naszego sprzętu osiąga parametry klasy światowej – mówi prezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. Arkadiusz Siwko.

eprasa.pl 12975ab158

Eksperci zajmujący się analizowaniem potencjału sektora zbrojeniowego doceniają produkty PGZ. Coraz częściej polski sprzęt wojskowy nie tylko dorównuje pod względem stosowanych rozwiązań technologicznych firmom amerykańskim, francuskim czy niemieckim, lecz także wręcz pod wieloma względami polskie rozwiązania techniczne przewyższają sprzęt wytwarzany w innych krajach. Warto zatem przyjrzeć się na początek niektórym sztandarowym rozwiązaniom stworzonym przez rodzimych inżynierów, które mogą okazać się hitem eksportowym polskiej zbrojeniówki.

– Jednym z liderów innowacji jest Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Centrum Techniki Morskiej z Gdyni (CTM), który specjalizuje się w dostawie okrętowych systemów dowodzenia i kierowania środkami walki oraz systemów uzbrojenia morskiego. Posiadając kompetencje oraz zaplecze badawcze, dostarcza od wielu lat swoje rozwiązania polskiej Marynarce Wojennej, jak i zagranicznym odbiorcom. Ponadto uczestniczy w ambitnych projektach w ramach Unii Europejskiej i NATO. Obecnie placówka zaangażowana jest w realizację programu budowy niszczyciela min „Kormoran 2" oraz prowadzi zaawansowane prace między innymi nad bezzałogowymi, przeciwminowymi platformami morskimi – mówi prezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. Arkadiusz Siwko.

Bezzałogowe systemy w walce z minami

Morskie platformy bezzałogowe znajdują coraz szersze zastosowanie w operacjach prowadzonych przez floty różnych krajów. Dostrzegając wcześnie te tendencje, polscy naukowcy zaczęli już kilkanaście lat temu rozwijać technologie, mające wyposażyć polską Marynarkę Wojenną w tego typu urządzenia. Prekursorem tych konstrukcji była Politechnika Gdańska, gdzie zaprojektowano pierwszy rodzimy pojazd podwodny sterowany przewodowo – „Ukwiał". Od samego początku aktywnym uczestnikiem tych prac było gdyńskie CTM, które opracowało zdalnie odpalane ładunki do niszczenia min morskich „Toczek". Już pod koniec lat 90. stworzyły one wraz ze wspomnianym pojazdem pierwszy polski bezzałogowy system przeciwminowy, który do dziś wykorzystywany jest w Marynarce Wojennej.

W ostatnim czasie „Ukwiał" został zastąpiony nowym, udoskonalonym pojazdem opracowanym również przez Politechnikę Gdańską – „Morświnem", który podobnie jak jego poprzednik został wyposażony w ładunki „Toczek", za pomocą których likwidowane będzie zagrożenie, jakie stwarzają dla żeglugi miny morskie – pozostałości po II wojnie światowej.

Kolejne prace dotyczące bezzałogowych platform morskich, w których uczestniczył gdyński ośrodek, prowadzone były w ramach projektów ujętych w programie „Unmanned Maritime System", realizowanym pod patronatem Europejskiej Agencji Obrony.

Efektem pierwszego z nich, funkcjonującego pod nazwą „Modular Lightweight Minesweeping", było stworzenie modułowego trału niekontaktowego (MLM), służącego do zwalczania min z cechami „sztucznej inteligencji". Działanie trału polega na imitowaniu przez niego pól fizycznych jednostek morskich (które mają być uszkodzone lub zniszczone) poprzez generowanie pól w rzeczywistości wytwarzanych przez te okręty, celem spowodowania eksplozji min. Trał w 2014 r. został uhonorowany trzema prestiżowymi nagrodami, z których najważniejszą było wyróżnienie ministra obrony narodowej, podczas targów BALT MILITARY EXPO.

Drugi z projektów – „Burmin" – prowadzony jest przez konsorcjum, w skład którego poza gdyńskim CTM wchodzą francuski Thales Underwater System (lider konsorcjum), holenderski TNO, belgijski RMA oraz niemieckie instytucje i firmy (WTD 71, Fraunhofer ICT, IPHT Jena, Atlas Elektronik). Projekt ma na celu eliminację lub co najmniej ograniczenie luk technologicznych w systemach detekcji i neutralizacji dennych oraz zagrzebanych min morskich. Gdyńska spółka należąca do Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. odpowiada w projekcie za opracowanie podwodnej stabilizowanej względem dna platformy sensorycznej wyposażonej w czujniki magnetyczne i elektromagnetyczne, która również dostosowana jest do montażu innych sensorów. Platforma, podobnie jak trał, wymaga holowania, natomiast przeznaczona jest do detekcji i klasyfikacji szczególnie trudnych do wykrycia min zagrzebanych. W tym roku produkt zdobył aż trzy prestiżowe nagrody – wyróżnienie Ministra Obrony Narodowej i Grand Prix na Targach BALT MILITARY EXPO 2016 oraz nagrodę DEFENDER na XXIV Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego w Kielcach.

Nowa odsłona „Kormorana"

Marynarka Wojenna RP otrzyma w najbliższym czasie jeden z najnowocześniejszych w Europie niszczycieli min – ORP „Kormoran". Umowa na jego budowę została podpisana we wrześniu 2013 r. pomiędzy konsorcjum, w skład którego wchodzą Stocznia Remontowa Shipbulding, Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Centrum Techniki Morskiej S.A. oraz Stocznia Marynarki Wojennej, a Inspektoratem Uzbroje-

eprasa.pl 12975ab158

ORP „ Kormoran" – jeden z najnowocześniejszych w Europie niszczycieli min. W najbliższym czasie wzmocni wyposażenie Marynarki Wojennej RP

nia Ministerstwa Obrony Narodowej. Kontrakt obejmuje dostawę okrętu w czwartym kwartale 2016 r., a w późniejszym okresie dwóch kolejnych jednostek seryjnych.

Głównym zadaniem „Kormorana" jest m.in. poszukiwanie i zwalczanie min morskich, rozpoznanie torów wodnych, zdalne sterowanie samobieżnymi platformami przeciwminowymi oraz stawianie min. Za integrację systemu dowodzenia i kierowania środkami walki, czyli wszystkich elementów wchodzących w jego skład, odpowiada CTM. Podobnie jak za dostawę kluczowych z punktu widzenia realizowanych przez okręt zadań bojowych systemów, tj.: systemu wspomagania dowodzenia, systemu obrony biernej, sensorów – tj. stacji hydrolokacyjnych oraz efektorów w postaci ładunków do niszczenia min. Wspomniane systemy, jak i system je integrujący, sensory (z wyjątkiem przetworników stacji hydrolokacyjnych dostarczonych z zagranicy) oraz efektory są rozwiązaniami opracowanymi przez polskich inżynierów.

W tej chwili w Polsce dysponujemy zaawansowanymi systemami dowodzenia i kierowania środkami walki oraz uzbrojenia broni podwodnej, które m.in. są efektem współpracy polskich podmiotów przemysłowych i naukowych, z Ośrodkiem Badawczo-Rozwojowym CTM na czele. Ich wykorzystywanie w trwającym właśnie procesie transformacji sił przeciwminowych polskiej Marynarki Wojennej świadczy niezbicie, że stają się one polską specjalizacją.

– Jesteśmy innowacyjni na morzu, ale PGZ to także nowoczesne technologie lotnicze i kosmiczne – podkreśla prezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. Arkadiusz Siwko.

Na podbój nieba i kosmosu

Polacy są liderami, jeśli chodzi o produkcję i rozwój dronów. Opracowany przez Wojskowe Zakłady Lotnicze Nr 2 System Bezzałogowych Statków Powietrznych (SBSP) typu E-310 został od podstaw zaprojektowany i wyprodukowany w naszym kraju. Jego głównym przeznaczeniem jest prowadzenie rozpoznania, zarówno w postaci obrazowej, jak i radiologicznej. Może operować na rozległym obszarze, niezależnie od warunków terenowych czy kli-

eprasa.pl 12975ab158

Prezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. Arkadiusz Siwko: „Stawiamy na innowacje, wykorzystanie najnowszych technologii i konkurencyjność. Już dziś znaczna część naszego sprzętu osiąga parametry klasy światowej"

matycznych. System umożliwia gromadzenie wysokiej jakości danych rozpoznawczych. Obraz sytuacji jest tworzony w bardzo wysokiej rozdzielczości. Dodatkowym atutem sprzętu jest pełna możliwość zobrazowania obiektów rozmieszczonych na dużych odległościach niezależnie od warunków atmosferycznych, takich jak mgła czy opady. Drony pozwalają również śledzić cele ruchome. Projektanci przewidzieli ich zastosowanie w celach wojskowych i cywilnych. Dron, o którym mowa, może być napędzany spalinowo i elektrycznie. W tracie lotu jest w stanie osiągnąć prędkość około 210 km/h, wznosząc się do wysokości 5 tys. metrów. W zestawie z SBSP E-310 znajduje się również naziemna stacja kontroli, która pozwala kierować samym dronem, jak i przetwarzać dane przez niego przekazywane. Dron tego typu jest w stanie prowadzić ciągły monitoring całego obszaru Polski. System został dostosowany do wymagań Ministerstwa Obrony Narodowej. Polska Grupa Zbrojeniowa ma innowacyjną i gotową ofertę dla Sił Powietrznych RP, które obecnie nie mają bezzałogowych statków powietrznych tego typu.

PGZ śmiało sięga również po technologię kosmiczną, m.in. uczestnicząc w projektach realizowanych dla Europejskiej Agencji Kosmicznej.

Przykładem jest chociażby udział PGZ w Inicjatywie Małych Rakiet Nośnych ESA. Projekt, za którego realizację odpowiada PGZ, ma na celu przeanalizowanie polskich kompetencji technologicznych umożliwiających włączenie naszego kraju w projekty i programy ESA, które ukierunkowane będą na rozwój przyszłych europejskich systemów wynoszenia obiektów na orbitę.

PGZ jest również bardzo zainteresowana rozwojem technologii śledzenia i obserwacji obiektów znajdujących się w przestrzeni kosmicznej (tzw. Space Situation Awareness – SSA), w tym m.in. obcych satelitów szpiegowskich.

– Zespół naszych ekspertów prowadzi obecnie prace nad możliwością budowy polskiego radaru, który mógłby zostać włączony w europejski system SSA – mówi prezes zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. Arkadiusz Siwko.

Wzmocnią działania rozpoznawcze

Drony i technologia kosmiczna nie są jedynymi innowacjami PGZ, którymi koncern chce zainteresować polską armię. Będąca własnością Polskiej Grupy Zbrojeniowej firma PCO S.A. opracowała nowoczesną kamerę termowizyjną KLW-1 „Asteria", która wyróżnia się wysoką jakością wykonania. Umożliwia zmianę polaryzacji i orientacji odbieranego przez urządzenie obrazu. KLW-1 „Asteria" w wąskim polu widzenia ma zasięg ponad 12 tys. metrów przy wykrywaniu obrazu, ponad 1,5 km podczas identyfikacji oraz przekracza 750 m podczas przeprowadzania rozpoznania. Tym samym urządzenie osiąga jedne z najlepszych parametrów na świecie. Kamera posiada również zaawansowane możliwości przetwarzania i filtracji obrazu termowizyjnego. Jest przeznaczona do systemów kierowania ogniem oraz systemów obserwacyjno-rozpoznawczych. Obecnie stanowi część wyposażenia czołgu PT- 91 „Twardy". Kamera w wersji KLW-1R została dostosowana do wykorzystania w KTO (kołowych transporterach opancerzonych) „Rosomak". Powstała w ramach programu rozwoju technologii termowizyjnej „Asteria". Jest w tej chwili jedną z najlepszych kamer tego typu na świecie. Na tegorocznym XXIV Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego w Kielcach urządzenie zdobyło nagrodę DEFENDER – czyli „Oskara" w dziedzinie światowego przemysłu zbrojeniowego. ■

Artykuł przygotowany przez redakcję „NP" we współpracy z Polską Grupą Zbrojeniową S.A.

eprasa.pl 12975ab158

Piotr Lisiewicz

Lusterko, kot, niemiecki hełm

eprasa.pl 1297Sab158

Dla mnie tylko to było ważne, żeby jak najwięcej ocalić tych zdjęć. Żeby ci chłopcy, którzy zginęli, żyli dalej, żeby nie poszli w zapomnienie, ich walka, życie i śmierć... I oni przetrwali – tak o fotografiach cudem wyniesionych ze zrównanej z ziemią Warszawy mówiła siostra Eugeniusza Lokajskiego. Słynny oszczepnik, olimpijczyk, wicemistrz świata miał duszę artysty. Porucznik Lokajski, dowódca plutonu Kompanii Sztabowej, po powstańczych walkach odkładał broń i chwytał za kamerę albo aparat fotograficzny, by prawdę przekazać przyszłym pokoleniom Polaków. Zginął, gdy próbował zdobyć kolejną taśmę filmową. Dziś jego zdjęcia biją rekordy popularności.

Dziewczyna w płaszczyku, której udało się wyjść z bombardowanej kamienicy, przegląda się w lusterku swojej puderniczki. Jej dalsze losy nie są znane.

Powstańczy ślub sanitariuszki Alicji Treutler „Jarmuż" i podchorążego Bolesława Biegi „Pałąka" udzielany przez księdza Wiktora Potrzebskiego „Cordę". Nie ma zbyt wielu ich kolegów, bo właśnie strzelają do Niemców. Pan młody, w mundurze, wcześniej ranny, ma rękę na temblaku. Przeżyją. Po wojnie oboje trafią na wygnanie do Nowego Jorku.

I wreszcie on sam, Eugeniusz Lokajski, w zdobytym niemieckim hełmie, z wojskowym pasem, trzyma na rękach malutkiego, czarnego, bezdomnego kotka. Losy kotka nieznane, on sam zginie.

Granat zamiast oszczepu

Wanda Traczyk-Stawska „Pączek", strzelec i łączniczka AK, tak wspominała to jego powstańcze fotografowanie: „Widział to, czego myśmy nie spostrzegali. Całą tragedię Powstania i równocześnie piękno. Potrafił uchwycić takie zdjęcia, które naprawdę są nie tylko dokumentem Powstania, ale także artystyczną zupełnie fotografią. W tych warunkach, jakie wtedy były, to było niesłychane".

Sierżant Barbara Matys-Wysiadecka „Baśka-Bomba", minerka, zapamiętała: „Drugi atak na PASTĘ był z 19 na 20 sierpnia i brałam w nim udział w grupie saperów. Były nas trzy kobiety – minerki. My uzbrajałyśmy ten ładunek, który umożliwić miał nam wejście do tej PASTY". W akcji tej brał udział Eugeniusz Lokajski: „On chodził w mundurze zdobycznym, niemieckim, był w hełmie i to ich prawdopodobnie zmyliło. Opaski mieliśmy wszyscy zdjęte z ramion. I oni się nie zorientowali, kto wyskoczył w tym pożarze. Wtedy on takim klasycznym rzutem rąbnął tym granatem. Cisza i myśmy wtedy przeskoczyli za jakąś ścianę". Ściana uratowała ich przed niemieckim ogniem. A rzut Lokaj-

fot. Eugeniusz Lokajski/Wikipedia.

fot. Eugeniusz Lokajski/Wikipedia.

eprasa.pl 12975ab158

skiego był klasyczny w tym sensie, że przypominał te z największych światowych sportowych aren, gdy zamiast granatu trzymał w dłoni oszczep...

Cytowane wyżej trzy wypowiedzi pochodzą z filmu dokumentalnego „Z archiwum porucznika Broka", w reżyserii Krzysztofa Kownasa. Jeśli w niniejszym szkicu będę cytować jakiekolwiek wypowiedzi bez podania źródła, pochodzić one będą z owego często cytowanego tu dokumentu z 2004 r.

Pająk

Eugeniusz Lokajski urodził się 14 grudnia 1908 r. w Warszawie jako syn artysty-brązownika Antoniego Lokajskiego i Antoniny Marianny z domu Górakiewicz. Uczył się w Gimnazjum i Liceum im. Mikołaja Reja w Warszawie.

Gdy miał 16 lat, zgłosił się do klubu sportowego Warszawianka. Chciał rzucać oszczepem, ale trener zareagował na to śmiechem. „Kiedy wiosną 1924 do klubu sportowego Warszawianka zgłosił się szczupły, 16-letni chłopiec i powiedział, że chciałby zostać oszczepnikiem, trener spojrzał na niego krytycznie i doradził, by zajął się jakąś inną konkurencją. Szkoleniowiec widział człowieka. Nie widział, bo widzieć nie mógł, jego charakteru i rogatej duszy. »Pająk«, bo takie przezwisko nadali mu koledzy z racji długich i cienkich kończyn, zabrał się do uprawiania biegów, skoków, pływania i gier zespołowych, ale zawsze znajdował jeszcze czas, aby porzucać w Agrykoli starym wysłużonym oszczepem" – pisze Przemysław Michalski z serwisu „Polska-Polacy".

Zdaniem zmarłego rok temu wybitnego dziennikarza sportowego Bohdana Tomaszewskiego to ta decyzja trenera miała wpływ na to, jak wszechstronnym sportowcem został Lokajski: „No więc trening, gimnastyka, pływanie, biegi, najrozmaitsze sporty. I stąd narodziła się wszechstronność Lokajskiego. To był nie tylko oszczepnik. Był wieloboistą, dziesięcioboistą, a więc rzuty, również biegi – setka, bieg przez płotki, skoki w dal. I był w czołówce krajowej również w dziesięcioboju".

Wtedy nawet sportowcy z dużymi sukcesami chodzili jak reszta obywateli do pracy, a w treningach brali udział w czasie wolnym. – Wtedy sport to było coś zupełnie innego niż teraz. Oni wszyscy i ćwiczyli, i pracowali. Nie oglądali się na żadną materialną korzyść – wspominała siostra Eugeniusza.

Robił zdjęcia w dresie

W 1928 r. zdał maturę w liceum Reja i rozpoczął studia w Wyższej Szkole Handlowej. W latach 1931–1932 odbył służbę wojskową w Szkole Podchorążych w Zambrowie i Brześciu nad Bugiem. Jak informuje serwis Olimpijski.pl, zaliczył wojskowe kursy z wynikiem celującym (lokata 1/104), otrzymując wiele not i opinii z dodatkiem „wybitny". Następnie szkolony był na stanowisko dowódcy plutonu w 35 pp. w Brześciu.

fot. Eugeniusz Lokajski/Wikipedia.

Olimpijski.pl szczegółowo wymienia jego sukcesy sportowe. Był siedmiokrotnym reprezentantem Polski w meczach międzypaństwowych w latach 1929–1937. Pięć razy bił rekordy Polski (oszczep, pięciobój, sztafeta 4x100m). Trzy raz był mistrzem kraju: w oszczepie (1934) i pięcioboju (1934, 1935).

– Smukły, bardzo harmonijnie zbudowany, oczy artysty. Bo to sportowiec, a jednocześnie artysta fotografik – wspominał Bohdan Tomaszewski, który był o 13 lat młodszym kolegą Lokajskiego. Wtedy fotografowanie starał się łączyć ze startami w sportowych zawodach. – Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy w życiu na boisku lekkoatletycznym, dostrzegłem, że po zawodach sięgał po aparat fotograficzny i jeszcze zgnany, w nałożonym dresie, od razu robił zdjęcia. Szybkimi, zdecydowanymi ruchami kierował obiektyw na kolegów toczących jeszcze walkę na boisku albo – kiedy mieli już ją za sobą – raptem kierował obiektyw w innym kierunku: raz był to fragment trybun, innym razem zarys boiska albo wreszcie za-

eprasa.pl 12975ab158

trzymywał w ruchu jakąś inną scenę, zupełnie niedostrzegalną dla postronnego obserwatora, nie dającą nawet domysłu, że stanowi ciekawy temat – pisał Tomaszewski we wspomnieniu opublikowanym na stronie Zespołu Szkół Sportowych nr 58 w Warszawie, noszącym dziś imię Lokajskiego.

Światowa sensacja

W 1935 r. zdobył wicemistrzostwo świata w pięcioboju w Budapeszcie. W oszczepie w 1936 r. notowany był na trzecim miejscu listy światowej. „Okres świetności sportowej Eugeniusza Lokajskiego nie trwał długo. Praktycznie zamknął się w czteroleciu między igrzyskami olimpijskimi w Los Angeles i Berlinie. Od 1932 r. jego forma szybko rosła. „Osiąga dobre wyniki w biegu przez płotki, skoku wzwyż i dal, jest świetnym wieloboistą. Wszystkie jednak starty w tych specjalnościach podporządkowane są jednemu celowi – osiągnięciu najwyższej klasy w ukochanym przez siebie rzucie oszczepem" – pisze Przemysław Michalski.

Tuż przed Igrzyskami w Berlinie w 1936 r. doszło do wydarzenia, które pozwoliło wielu obserwatorom widzieć w nim kandydata do olimpijskiego złota, który może pokonać dotąd dominujących w tej konkurencji Finów. – To było w czerwcu, popołudniu, na stadionie Legii, krótko przed olimpiadą berlińską. Doszło do wielkiej sensacji. Eugeniusz Lokajski osiągnął w rzucie oszczepem 73 metry i 27 centymetrów. To był trzeci wynik na świecie – mówił w filmie „Z archiwum porucznika Broka" Bohdan Tomaszewski.

Niestety podczas treningu przedolimpijskiego w 1936 r. Lokajski doznał kontuzji, która zmieniła wszystko. Zerwał staw barkowy. Mimo to zdecydował się choć raz rzucić symbolicznie oszczepem podczas berlińskiej olimpiady. Wynik 66,36 metra pozwolił mu zająć siódme miejsce na świecie. W czasie Olimpiady w Berlinie kupił swój sławnym aparat fotograficzny firmy Leica, z którym nie rozstawał się później w czasie Powstania.

Od 1937 r. zaprzestał sportowych startów, bo cierpiał na przewlekłą chorobę ucha, zakończoną trepanacją czaszki.

Honor, sport i wakacje

Po zakończeniu służby wojskowej Lokajski rozpoczął studia w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego. W 1934 r. został instruktorem lekkiej atletyki. Dzięki temu mógł pracować jako nauczyciel gimnastyki w gimnazjum, które sam ukończył. – Wśród warszawskich sztubaków była legenda, fama o nauczycielu gimnastyki, bo tak się to nazywało, Lokajskim – wspominał Bohdan Tomaszewski. – Uczył nie tylko techniki sportowej, ale czegoś nieporównanie trudniejszego: rozumienia, czym jest sport, tego, że największą satysfakcją po osiągnięciu celu jest świadomość pokonanych trudności. Wtedy dopiero zwycięstwo jest pełne – czytamy we wspomnieniu na stronie Zespołu Szkół Sportowych nr 58.

„On nie tylko prowadził zajęcia, ale przede wszystkim wpajał młodzieży podstawowe wartości: miłość do ojczyzny, patriotyzm, uczciwość, solidarność, słowność. Uczył znaczenia słowa honor. Takich ludzi brakuje dziś, gdy rządzi bożek pieniądz. I nic innego się nie liczy" – pisze Przemysław Michalski.

Był jakby starszym kolegą dla swoich wychowanków. „Pewien dystans jednak wytwarzał się z obu stron – dystans niezbędny, aby panowała solidarna, przyjacielska atmosfera w gronie, któremu przewodzi jedna osoba dzięki swemu doświadczeniu i autorytetowi" – wspominał Tomaszewski.

Jak stwierdzał, słyszał po wielu latach, jakie to piękne chwile przeżywali z profesorem Lokajskim na obozach w Rejówce pod Górą Kalwarią jego uczniowie. – Czy mogły być piękniejsze sportowe wakacje? – wspominali siwi już panowie.

Uciekł przed Katyniem

W kampanii wrześniowej w 1939 r. został zmobilizowany jako dowódca do swojego macierzystego 35 Pułku Piechoty w rejonie Brześcia, gdzie został dowódcą plutonu w stopniu porucznika. Trafił do sowieckiej niewoli, ale zdołał z niej uciec, prawdopodobnie unikając dzięki temu śmierci w Katyniu. „W wojennym zamęcie pieszo dotarł do stolicy, gdzie na szczęście zastał w zdrowiu swoich bliskich – matkę, młodszego brata Józefa i siostrę Zofię" – pisze Przemysław Michalski z serwisu „Polska-Polacy"

Do Warszawy dotarł w grudniu 1939 r. „Dom Lokajskich przy ulicy Ogrodowej 50, a następnie Łuckiej 2, od pierwszych dni okupacji stał się miejscem ożywionego życia konspiracyjnego. Brat był już żołnierzem AK Obszaru Warszawskiego. Organizował transporty zrzutowej broni do stolicy. Siostra w tej samej komórce pełniła funkcję łączniczki i organizatorki punktów kontaktowych. Do działalności podziemnej rwał się również Eugeniusz, ale jako oficer Wojska Polskiego musiał się ukrywać" – pisze dalej Michalski.

Początkowo ukrywał się, pracując jako robotnik w Paprotni pod Warszawą. Potem wraz z Józefem Skoczylasem zorganizował pracownię fotograficzną przy ulicy Berezyńskiej na Saskiej Kępie i utrzymywał się głównie z fotografii teatralnej. W 1942 r. otworzył kolejny zakład fotograficzny w mieszkaniu swojej matki przy ulicy Łuckiej. Jednocześnie jako

eprasa.pl 12975ab158

nauczyciel prowadził tajne komplety w nielegalnym Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego.

„Punkt mycia i kąpieli"

Działalność konspiracyjną prowadził też w tzw. Punkcie mycia i kąpieli nad Wisłą. Nazwa ta została wymyślona dla zmylenia władz okupacyjnych. W rzeczywistości pracował tam jako instruktor zakazanego przez Niemców wychowania fizycznego.

Bohdan Tomaszewski zrelacjonował w filmie „Z archiwum porucznika Broka" także inne formy konspiracji: „On bardzo często przed wojną przychodził na korty Legii, bo się bardzo przyjaźnił z Jadzią Jędrzejowską i z Ignasiem Tłoczyńskim [wybitni polscy tenisiści – przyp. P.L.], a kiedy była okupacja, on też zaglądał tu z aparatem fotograficznym. W tym miejscu była drewniana budka. Tam była szatnia, chowaliśmy tam rakiety, ale nie tylko. Były też rozpylacze, tajne gazetki. Tenis przemieszany z walką Armii Krajowej".

Wspominał także inne zawody, odbywane wbrew przeciwnościom w czasie wojny: „Przenosiliśmy się na inne korty, pod Warszawę. Na korty znanego cukiernika pana Pomianowskiego. Tam była willa i wspaniały kort. Rozgrywaliśmy tam turnieje tenisowe". „Grom przyglądało się nawet sporo ludzi, ale ktoś raptem przybiegł i powiedział, że w okolicy grasują żandarmi, więc niech widzowie nie biją brawa po udanych zagraniach... i wszystko odbywało się dalej w ciszy" – pisał.

To tu widział Lokajskiego ostatni raz: „Miał aparat, zaczął pstrykać, robić zdjęcia. Potem uścisk dłoni, spojrzenie jeszcze raz wzajemne. Lubił mnie, nie wiem dlaczego... Do widzenia, do zobaczenia. I to było moje ostatnie spotkanie z Eugeniuszem Lokajskim".

Zdobyczny aparat

23 grudnia 1943 r. zginął zastrzelony w walkach przez Niemców brat Eugeniusza – Józef, pseudonim „Grot". W styczniu 1944 r. postanowił go zastąpić i zaprzysiężony został na żołnierza AK, przybierając pseudonim „Brok". Został dowódcą plutonu w 3 kompanii Praskiej. Wchodziła ona w skład I Batalionu Rejonu III Rembertów, VII Obwodu Armii Krajowej „Obroża".

W czasie Powstania został oficerem łącznikowym kompanii „Koszta" (Kompania Ochrony Sztabu Obszaru Warszawa AK), a od 30 sierpnia jej dowódcą. Został uprawniony „do noszenia i używania aparatu fotograficznego i filmowego".

„Jego dowódca kapitan »Kmita« – Stefan Mich – postarał się, aby pierwszy zdobyty gdzieś aparat fotograficzny trafił do rąk ppor. »Broka«. Znał jego fotograficzne zamiłowania i w pierwszych dniach Powstania, gdy Śródmieście wolne było jeszcze od cięższych walk, polecił mu utrwalać wszystko na taśmie fotograficznej i filmowej" – pisze Przemysław Michalski.

Ale Lokajski dał się poznać także jako sprawny dowódca. „Byłam z nim w jednej bardzo ciężkiej akcji, kiedy on dowodził. Z 31 sierpnia na 1 września, to było przebicie się do Starówki. »Koszta« była w pierwszym rzucie i on dowodził. Mnie wysłali jako łącznika... Wtedy właśnie minerki odpaliły dziurę. Byłam przy tym, jak odpalały, czekaliśmy wszyscy na to, że opadł pył, żeby się w tę dziurę szybciutko dostać. Stamtąd mieliśmy już atakować dziedziniec, na który Niemcy mieli ustawiony cekaem" – mówiła Wanda Traczyk-Stawska.

Niestety, Niemcy usłyszeli hałas, który spowodował niechcący jeden z żołnierzy. „Odwrócili cekaem na naszą stronę i obrzucili nas granatami. Z tym, że zanim granaty wybuchły, to myśmy się już wycofali, dzięki Lokajskiemu, który dał komendę do wycofania" – wspominała Wanda Traczyk-Stawska.

Utrzymać Pocztę Główną

Ten rozsądek dowódcy niejednokrotnie ratował życie jego podwładnym. „Był bardzo rozważnym oficerem. Nie wysyłał nigdy chłopców na ryzykowne jakieś zadanie, które nie miało szans powodzenia" – wspominał Jan Gozdawa-Gołębiowski. Jak pisze Michalski, dowodzony przez Lokajskiego oddział był jednym z lepiej uzbrojonych. Nie brakowało mu ani broni, ani amunicji. Miał nawet swoją rusznikarnię.

Lokajski przeżył najcięższe walki. „Z 7 na 8 września alarm i wyruszyliśmy na linię Nowego Światu. Po tych z dawnej dobrze uzbrojonej kompanii stworzyć można było tylko słabiutki pluton. I właśnie dowództwo nad tym plutonem objął porucznik Lokajski" - wspominał Jan Gozdawa-Gołębiowski.

„Na początku września ppor. »Brok« dowodził plutonem interwencyjnym kierowanym na odcinki znajdujące się w największym niebezpieczeństwie. Podczas ataku Niemców z Powiśla na plac Napoleona otrzymał zadanie obrony barykad Chmielna–Nowy Świat i na Górskiego... W akcji tej Lokajski wykazał wszystkie cechy świetnego dowódcy. Zajęty przez Niemców teren został odbity. Żołnierze »Broka« wzięli do niewoli 18 żołnierzy nieprzyjaciela" – pisze Przemysław Michalski.

W tych strasznych walkach „Koszta" została zdziesiątkowana. „Później przyszło zadanie utrzymania za wszelką cenę ruin Poczty Głównej. Otoczony z trzech stron nie opuścił placówki. Trwał ze swoim żołnierzami na posterunku 48 godzin, bez wody i żywno-

eprasa.pl 12975ab158

fot. Eugeniusz Lokajski/Wikipedia.

ści. Odsiecz nadeszła nocą. Linia powstańczych stanowisk została utrzymana" – relacjonuje Michalski.

Wystrzał z Berty

Zdjęcia wywoływał w mieszkaniu siostry. „Jak mi oddawał te wszystkie zdjęcia, to powiedział, że mam tego bardzo strzec, bo to jest ważne dla historii. Ja miałam taki bęben z tymi filmami, to znaczy puszkę po filmach i z tym wyszłam z Warszawy" – wspominała Zofia Lokajska-Domańska.

25 września został oddelegowany do Komendy Głównej AK, by robić zdjęcia do fałszywych dokumentów. Miały one umożliwić powstańcom opuszczenie miasta z ludnością cywilną.

Jan Gozdawa-Gołębiowski był z „Brokiem" przed jego śmiercią. Opowiadał: „Lokajski robił te zdjęcia, ale zabrakło mu filmów. On podszedł do mnie: »Janek, idę naprzeciwko, na Marszałkowską«. Pod 129 jeszcze kamienica stała. Był na parterze zakład fotograficzny. I on mówi: »Tam mogą być filmy. Chodź ze mną«. Ja się nie podniosłem, bo sił nie miałem. Usiadłem i z powrotem upadłem na ten beton. A on pobiegł sam po te filmy. I parę minut po tym nastąpił wybuch Bert, Berta to było najcięższe działo artyleryjskiej używane w II wojnie światowej. Nieszczęściem dla »Broka« było, że akurat kiedy on był w tym zakładzie fotograficznym, Berta uderzyła w tą kamienicę".

Huk był potężny. „Wybiegliśmy na ulicę. Olbrzymia kamienica, pięcio- czy sześciopiętrowa do piwnic zburzona. Ręcznie odkopać to było fizycznie niemożliwe. I tak zginął »Brok«" – wspominał Gozdawa-Gołębiowski.

Dopiero w maju 1945 r. dokopano się do wnętrza rumowiska. „Ciało Eugeniusza Lokajskiego znaleziono przy sklepowym kontuarze, z rękami na głowie, jakby próbował uchronić się przed walącym się stropem" – pisze Przemysław Michalski. Jego grób znajduje się na Cmentarzu Powązkowskim w kwaterze 144: „Na marmurowej płycie, obok nazwiska, pseudonimu i daty śmierci znajduje się pięć kółek olimpijskich. Spoczął tu olimpijczyk, który jak wielu innych nie zawahał się poświęcić życia w walce o wolność Ojczyzny".

Siostra „Broka": bohaterstwo miało być zapomniane

Zofia Lokajska-Domańska mówiła w filmie „Z archiwum porucznika Broka" o tym, co działo się po śmierci jej brata: „Później jeszcze ci bohaterowie byli przez UB jakoś strasznie znieważani. Nie wiem, o co im chodziło wtedy. O to, żeby tego bohaterstwa nie było? Żeby zostało zapomniane?".

A Bohdan Tomaszewski pytał: – Czy to wszystko jest już przeszłością, bezpowrotną? Tacy ludzie jak pan Eugeniusz? Jacyż oni byliby dziś potrzebni, w tym surowym, cynicznym świecie przeżartym pieniądzem.

Dziś szczyty popularności fotografii „Broka" wynikają z faktu, że z jednej strony zdjęcia Lokajskiego przekazują sobie w Internecie młodzi patrioci. Z drugiej zaś strony przedstawiciele kulturalnego establishmentu, obawiający się popularności idei Powstania w młodym pokoleniu, wymyślili sobie cokolwiek zaskakujący koncept.

Otóż zgodnie z narracją postkomunistycznych mediów dozwolone ma być zaciekawianie widza psychiką oraz życiem osobistym uczestników Powstania. Interesujący mogą być od biedy zwykli ludzie, którzy przypadkiem zostali rzuceni w wir wydarzeń, których sens i kontekst polityczny był dla nich odległą abstrakcją.

To zainteresowanie ma być oderwane od znienawidzonych przez owe postkomunistyczne elity idei, które powstańcom przyświecały. Stąd ich akceptacja dla filmów Jana Komasy, w których pojawiają się materiały Lokajskiego. Wystarczy jednak poznać prawdziwe losy „Broka" i jego najbliższych, by zrozumieć, jak było naprawdę. ■

eprasa.pl 12975ab158

Psy, czysta i czosnek na zagrychę

eprasa.pl 12975ab158

Magdalena Złotnicka

Kiedy Iredyński mieszkał na osiedlu Groty, za sąsiadów miał licznych ubeków. Któregoś razu autor „Dnia oszusta" wyprowadzał swojego ukochanego psa Ibisa. Zwierzak rzucił się na innego czworonoga, wyprowadzanego przez sąsiada. – Niech pan lepiej uważa, bo jest 1:0 – warknął ubek. Na co Iredyński podleciał do faceta, dziabnął go zębami w ucho i wrzasnął: – A ch...ja! Już 2:0 dla mnie!

fot. Andrzej Rybczyński/PAP/CAF

Anegdotę o gryzieniu ubeka przytacza Małgorzata Raducha, autorka książki „Gra w butelkę", świetnie napisanej biografii Iredyńskiego, która była nieocenionym źródłem przy pisaniu tej sylwetki.

„Hrabia" ślizga się po korytarzach

Ireneusz Iredyński przyszedł na świat trzy miesiące przed II wojną światową, 4 czerwca 1939 r. w Stanisławowie (dzisiaj Ukraina). Ojciec pisarza, Antoni, był oficerem Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Matka to Aleksandra z Ziołeckich. Jednak Raducha podaje, że Iredyński senior, wypełniając ankietę personalną Żołnierza Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, jako dane personalne żony wpisał Eugenia Geller. Aleksandra Ziołecka w akcie ślubu w rubryce „wyznanie" wpisane miała: „katolickie". „Najprawdopodobniej jednak Aleksandra Iredyńska była Żydówką, co tłumaczyłoby niektóre fakty z jej życia. Nie zachowały się żadne dokumenty z czasów małżeństwa Iredyńskich poza wspomnianym aktem ślubu. Także w księgach metrykalnych parafii rzymsko-katolickich archidiecezji lwowskiej nie ma świadectwa chrztu Aleksandry. Walenty Ziołecki był właścicielem majątku Hryniowce, czy to jednak ojciec Aleksandry – nie wiadomo" – pisze Raducha.

Sam Ireneusz mitologizował jednak swoje dzieciństwo, opowiadając, że urodził się w rodzinie hrabiowskiej na Podolu, a na jego cześć w całym mieście strzelały armaty. Być może te fantazje wynikały z faktu, że szczęśliwego domu rodzinnego nigdy nie miał. Wojna, która wybuchła niedługo po jego narodzeniu, dla mieszkańców Stanisławowa miała twarz sowieckiego okupanta. Raducha podaje, że w mieście Polacy stanowili 40 proc. ludności, byli większością narodową. Często jednak padali ofiarami donosów swoich ukraińskich i żydowskich sąsiadów. „Jak w tej atmosferze strachu i zaszczucia, przy wzmożonej sowieckiej propagandzie, czuła się konwertytka Iredyńska z małym synkiem przy piersi, u boku przedwojennego oficera, łatwo sobie wyobrazić" – pisze autorka biografii Iredyńskiego. W końcu wojenna zawierucha pochłonęła Aleksandrę Iredyńską. Jeden z przyjaciół pisarza relacjonował, że zginęła ona w getcie, kiedy po 1941 r. tereny te zostały opanowane przez Niemców, jednak relacja ta nie znajduje potwierdzenia. Wiele wskazuje jednak na to, że Aleksandra po prostu porzuciła rodzinę, podczas gdy ojciec walczył w armii Andersa.

W każdym razie po wojnie, w 1946 r., mały Ireneusz trafił wraz z ciotką Eugenią i babcią do Bochni. Rok później rozpoczął naukę w szkole podstawowej imienia Stanisława Jachowicza. Drobny, niższy od rówieśników, musiał nadrabiać fantazją. Opowieści

eprasa.pl 12975ab158

o rodzicach znów zastępował więc historyjką o hrabiowskim domu. Raducha podaje, że w czasach podstawówki zaprzyjaźnił się z Olgierdem Smoleńskim, późniejszym transplantologiem. Kumpel oddawał Irkowi wielką przysługę: poproszony, przedstawiał go w towarzystwie. Dlaczego Iredyńskiemu tak na tym zależało? Otóż do końca życia nie nauczył się wymawiać poprawnie głoski „r". Dla chłopca w wieku podstawówkowym przedstawianie się jako „Ileneusz Iledyński" mogło mieć naprawdę fatalne konsekwencje towarzyskie.

Po podstawówce Iredyński uczył się w Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego. Już wówczas dała o sobie znać jego wielka namiętność do czytania. Do pochłaniania książek bez żadnej selekcji czy wyboru. Byle więcej i więcej. Raducha przytacza wspomnienie jednego z kolegów Irka ze szkoły, Stanisława Gawora. Opisuje on niedbale nonszalancką elegancję przyszłego autora „Dnia oszusta" i jego równie nonszalanckie zachowania: „Np. niewiele sobie robiąc z dyżurujących podczas przerw nauczycieli – dla mnie omal bogów – a nawet ignorując i jawnie lekceważąc ich ostre uwagi – ślizgał się po wypastowanych i wyfroterowanych drewnianych podłogach korytarzy na kantach obcasów".

Co znaczące, a zarazem dość częste dla jednostek wybitnych, Iredyńskiego interesowało wszystko, tylko nie nauka. Nie układały się także kontakty z ojcem. Co ciekawe, Raducha podaje, że kiedy już Ireneusz został znanym pisarzem, ojciec domagał się od niego alimentów. A syn, mimo wieloletniego braku kontaktów, przez kilka lat je płacił.

Pan młody lat osiemnaście

Gdy Ireneusz miał 14 lat postanowił przenieść się z Bochni do Krakowa. Trudno ustalić, z czego i gdzie początkowo żył. Kręcił się jednak wokół środowiska Koła Młodych krakowskiego Związku Literatów Polskich. Raducha przytacza pewną anegdotę, dobrze obrazującą zachowania młodego Iredyńskiego. Otóż poznał się on z poetą Bogdanem Loeblem, który widząc, jak Iredyński pogrywa sobie z towarzystwem, stwierdził: „Irek, ty chyba nie lubisz ludzi?" Na co Iredyński: „A kto tu, kullwa, kogo lubi?".

Iredyński, znany przede wszystkim jako pisarz, zaczął od poezji. W 1955 r. w „Gazecie Krakowskiej" ukazał się jego wiersz „Chwalę", a w „Dzienniku Polskim" – utwór „Podhale zimą", przez większość badaczy literatury traktowany jako oficjalny debiut Iredyńskiego. W 1957 r. wydano „Bocheński Almanach Literacki", a w nim m.in. siedem wierszy późniejszego pisarza. W tych czasach przyjaźnił się on z dwoma poetami – Andrzejem Bursą i Stanisławem Czyczem. Raducha wspomina, że założyli oni wspólną grupę literacką. Program zaprezentowali podczas zebrania ZLP. „Irek z udaną powagą referował, a Bursa, schowawszy głowę pod stolik, rechotał. Zdezorientowany profesor Jan Błoński pytał, o co właściwie chodzi tym młodym" – pisze Raducha.

O tym, że Iredyński był najmłodszym członkiem ZLP, wspomina Stefan Kisielewski w swoim „Abecadle": „Najmłodszy członek ZLP po wojnie, młodziutki chłopak. Mieszkał w Krakowie w tym samym domu co my. Bawił się z moim synem w »zośkę« – kopali na podwórzu – i dostał list od prezesa Związku, Otwinowskiego, że nie może członek Związku z synem członka bawić się na podwórzu, bo to nie wypada. Zabawny. Trochę bandyta, trochę wariat, duży alkoholik. Ale niesłychanie zdolny chłopak. Całe lata go znałem" – pisał Kisiel.

Choć wśród bliskich znajomych Iredyńskiego sporo było komunistów – np. Adam Włodek, mąż Wisławy Szymborskiej, który odkrył i wspierał talent Iredyńskiego, Czycza i Bursy – on sam, jak pisze Raducha, „diagnozował system PRL jako niszczący jednostkę i hamujący wszelki rozwój kraju". Mawiał zresztą, że jest Żydem, więc jako Żyd wyjedzie na Zachód. Nie wyjechał. Za to się zakochał. Zimą 1956 r. poznał Maszę Kapelińską, plastyczkę i scenografkę. Była starsza od niego o siedem lat, mimo to zaczął się za nią wręcz uganiać. Zachwycił ją oczytaniem i wiedzą. Mimo różnicy wieku pobrali się w sierpniu 1956 r. „Do ślubu poszli w zwykłych, codziennych ubraniach. Masza na ceremonię przyszła prosto z pracowni, a Irek miał na sobie znoszone spodnie. Podczas tej skromnej uroczystości pan młody błaznował – udawał głuchego, przez co urzędnik musiał kilkukrotnie powtarzać formułę przysięgi małżeńskiej. Nie było żadnych wiązanek ani prezentów – świadkowie po prostu zrzucili się na pół litra. Dopiero w USC Masza dowiedziała się, że jej narzeczony ma 18 lat" – pisze Raducha. Dosyć szybko małżeństwu udało się dostać mieszkanie na Krupniczej 22, gdzie lokatorami byli również Szymborska z mężem, wdowa po Witkacym, Kisiel z rodziną, Konstanty Ildefons Gałczyński ze srebrną Natalią i córką Kirą, Stanisław Dygat. Innymi słowy – było wesoło. „W środkowej oficynie mieszkał Jerzy Zawieyski [aktor, urodzony w 1902 r. – przyp. M.Z.]. Miał z okien przepiękny widok na ogród Mehoffera, w którym odbywały się regularne biesiady, kwitło życie towarzyskie, i to tak intensywnie, że do ogrodu zniesiono nawet... fortepian! Zawieyski, lubiący ciszę i spokój, wychodził na balkon w szlafmycy i rzucał w biesiadników, czym się dało. Ci pokornie odnosili mu amunicję, w różnym stanie zresztą, ale skrupulatnie wyzbieraną, solennie obie-

eprasa.pl 12975ab158

cywali poprawę i... wszystko zaczynało się od nowa" – opisuje czasy Krupniczej Raducha.

Autorka biografii Iredyńskiego przytacza wspomnienie poety Bogdana Loebla, z którego wynika, że w czasach Krupniczej, kiedy Iredyński do zamożnych nie należał, zagryzał czystą wódkę – nigdy nie lubił kolorowych trunków – tanim i powszechnie dostępnym czosnkiem. Kiedyś doprowadził się do takiego stanu, że wołał znajomych, by mu pomogli, bo umiera. Okazało się, że zaszkodziło mu spożycie zbyt dużej ilości nie alkoholu, ale czosnku właśnie, który jedzony na sieczkę doprowadził do gwałtownego spadku ciśnienia.

W 1958 r. Iredyński rozstał się z Maszą, rozwód nastąpił jednak później. Pierwsza żona pisarza już nigdy więcej nie związała się z żadnym mężczyzną. Rok 1958 był istotny w życiu Iredyńskiego także z tego względu, że w paryskiej „Kulturze" ukazał się wówczas jego wiersz „Wszystko jest obok". Jak twierdzi Raducha, prawdopodobnie właśnie wtedy pisarzem zaczęła interesować się SB.

Kondoniki dla małych dzieci

Po rozstaniu z Maszą Iredyński przeniósł się do Warszawy, tu szybko stał się postacią znaną. I to bynajmniej nie za sprawą napisanej w 1959 r. – pod pseudonimem Umberto Pesco – powieści kryminalnej „Ryba płynie za mordercą". Akcja niby dzieje się we Włoszech, ale Włoch tych nie czuć. Skąd zresztą Iredyński miałby je znać?

Sławę pisarzowi przyniosła znacząca rola, jaką odgrywał wśród warszawskiej kawiarnianej bohemy. Raducha przytacza notatkę, którą znalazła z zbiorach IPN, opatrzoną datą 7 lutego 1959 r. Wynika z niej, że podczas pijaństwa w knajpie Pod Manekinem, w którym uczestniczyli m.in. Jerzy Andrzejewski i Wilhelm Mach, Iredyński wykrzykiwał, że chce „rżnąć komunistów" i „wyrywać im włosy zębami".

Iredyński pił, a jak pił, nie tylko miewał liczne romanse, lecz także bił. Raducha podaje, że wdał się w bójkę m.in. z Markiem Nowakowskim, a Grzegorzowi Lasocie zgasił papierosa na uchu.

Krzysztof Mędrak z kolei na łamach „Radaru" z 1986 r. wspominał, jakiego rodzaju dowcipy potrafili robić sobie z Iredyńskim: „Irek, lekko wstawiony, ciągnie mnie na Starym Rynku do apteki. Pieczołowicie ustawia mnie na końcu dłuższej kolejki, wykrzykując specjalnie głośno: słuchaj, Mały. Stój tu i nie łuszaj się, twój ciapciuś załaz włóci... Cała kolejka na nas patrzy. Irek podchodzi do okienka i na pełny regulator pyta: – Czy są kondoniki dla małych dzieci? I – tańcząc – wynosi się z pomieszczenia. Cała kolejka patrzy na mnie. Do dziś czuję na sobie ten wzrok". Inne wspomnienie Mędraka dotyczy roku 1966, kiedy to podczas rozdania nagród w konkursie poetyckim Iredyński, niedbale ubrany, podszedł do obecnego wśród gości wiceministra kultury i rąbnął: „Coś tu marnie z gorzałą, panie ministrze, trzeba zrobić składkę". Przerażony aparatczyk wyjął 5 tys., czyli jak na ówczesne realia kupę forsy. A Iredyński: „To nie wszystko, panie ministrze, teraz będziemy ciągnęli zapałki i jak wygram, to pan poleci".

Równocześnie jednak rozwijała się działalność literacka Iredyńskiego. Mniej więcej w tym okresie zaczął publikować we „Współczesności", obok Romana Śliwonika czy Stanisława Grochowiaka, z którym zresztą łączyła go pasja życia – alkohol. W 1960 r. powstał dramat „Męczeństwo z przymiarką", który zaowocował ogromnym wzrostem popularności pisarza. Dwa lata później ukazała się powieść, a właściwie rozbudowana nowela, zatytułowana „Dzień oszusta".

Tak na łamach „Gazety Wyborczej" pisał o prozie Iredyńskiego Krzysztof Varga w tekście „Wyznania hochsztaplera" (2010 r.): „Iredyński stworzył łatwo rozpoznawalnego bohatera swojej prozy, wyalienowanego nadwrażliwca pozującego na cynika, powiedzmy sobie szczerze – figurę literacko dziś dość banalną, wyświechtaną. Ten »oszust« żyje z boku, ostentacyjnie nie zgadza się na akces do socjalistycznego społeczeństwa i chromoli socjalistyczną moralność. Można więc uznać, że jego kabotyński bunt w rzeczywistości jest buntem przeciw systemowi, gdyby nie to, że po prawdzie wpisuje się on w model PRL-owskiej bohemy. Żyje zatem niby własnym osobnym życiem, raczej wewnętrznym, bowiem jego życie zewnętrzne ogranicza się głównie do picia, palenia, umiarkowanego chędożenia, względnie mordobicia". Ocena chyba zbyt surowa, bo ja „Dzień oszusta" widzę przede wszystkim jako opowieść o człowieku, który głupio, ale jednak ucieka od otaczającej go rzeczywistości i idąc po linii najmniejszego oporu, zapomnienia szuka właśnie w seksie i wódce.

Iredyński pisał także sztuki teatralne. Po „Męczeństwie z przymiarką" były to „Ostatni odcinek drogi", „Zejście do piekła" czy wstrząsające „Jasełka-moderne", których premiera miała miejsce w 1965 r. W tekście „Dramat okrucieństwa w teatrze profanacji", zamieszczonym w portalu teatr-pismo.pl, Jacek Kopciński tak pisze o sztuce: „W Jasełkach Strażnik przeinacza (przepisuje) opowieść o narodzinach Jezusa i daje ją do zagrania aktorom obozowego [w obozie koncentracyjnym – przyp. M.Z.] teatrzyku. W trakcie prób prowadzonych przez Reżysera-więźnia ujawnia swoją tożsamość Komendanta i po kolei zaczyna zabijać wykonawców spektaklu. Mógłby ich zabić bez żadnej gry i wtedy także stałby się panem ich życia i śmierci. Organizuje jednak teatr, by w obozie koncentracyjnym

eprasa.pl 12975ab158

na swój sposób urzeczywistnić metaforę świata jako »bożego igrzyska« i wejść w rolę jego stwórcy, a następnie destruktora. Chce zabić podległych mu ludzi z uczuciem absolutnego, właśnie »boskiego« panowania nad rzeczywistością, skojarzonego zresztą z mocą autora sztuk dramatycznych... Przeczucia takiego stanu doświadczył kiedyś, obserwując grę chłopca chodzącego po domach z tekturową szopką. W kluczowym dla dramatu monologu wspomina wstrząs, jakiego doświadczył, obserwując, jak chłopiec tworzy i rozgrywa cały świat. To było jak iluminacja: »Są takie momenty, nieraz zupełnie nieważne, [...] gdy widzi się coś w wielkim skrócie, w wielkim błysku« – powie. »Zrozumiałem, co to znaczy być bogiem. Nie tak jak ten chłopiec zaledwie przeczuwający, lecz bogiem świadomym swej boskości, gdy wszyscy inni są tylko głosami boga, jego intonacjami« – doda".

„Ja jestem Iredyński, a ty pozostaniesz klawiszem!"

Kolejną miłością Iredyńskiego – chyba największą – była Anna Kaczanowska, lekarz psychiatra, żona artysty malarza Witolda, syna dyrektora szpitala w Tworkach. Jak podaje Raducha, Kaczanowski był spokrewniony z Zenonem Kliszką. Autorce biografii pisarza udało się odnaleźć Witolda. Napisała do niego mejla z prośbą o wypowiedź na temat Iredyńskiego. Odmówił, napisał jednak kilka zdań: „Jedno jest prawdziwe i pewne, że nie został uwięziony za polityczne poglądy. [...] Zapłacił za straszliwe pobicie i gwałt kobiety, której dane trzeba było ukryć z powodów osobistych, nie za usiłowanie gwałtu na dziewczynie podstawionej przez UB. To był tylko pretekst, po tym pobiciu. U zgwałconej kobiety dość wcześnie pojawił się alzheimer i spędziła wiele lat w szpitalu jak jarzyna". Czy jednak można wierzyć w ten gwałt? Zważywszy na fakt, że Kaczanowska i Iredyński jeszcze się zeszli, wydaje się to wątpliwe. Ostatecznie jednak Iredyńskiego skazano za próbę gwałtu na 19-latce. Wraz z nim skazano reżysera Edwarda Bersteina (później Żebrowskiego). Według wersji drugiego z oskarżonych (materiały IPN przedstawione przez Raduchę) sytuacja wyglądała tak, że dziewczyna była chętna do stosunku, w pewnym momencie powiedziała, że musi się umyć, po czym w samych majtkach uciekła z mieszkania, po czym wróciła z milicją. Raducha podaje, że w próbę gwałtu nie wierzyli znajomi twórców. Kazimierz Korcelli uważał, że była to prowokacja, zaś Konstanty Puzyna mówił wprost, że sprawa jest polityczna i że żadnego gwałtu nie było. Wiele wskazuje na to, że „Dzień oszusta" po prostu rozzłościł Gomułkę. O aferze wspominał także Kisiel w cytowanym już „Abecadle": „Jego uwięzienie – on siedział trzy lata – to było nie wiadomo co. Pobił w Bristolu prokuratora, który mu zajął stolik. Dał po mordzie. Potem zaczął się cykl awantur. On twierdził, że to jest wszystko nieprawda, intryga i tak dalej, rzekomo jakąś dziewczynę uwiódł, która była córką tego prokuratora, jak się okazało. Potem w sądzie udowodniono, że on jej nie mógł uwieść, bo zdjęła kozaczki, a nikt siłą nikomu nie zdejmie kozaczków – no w ogóle takie śmieszne rzeczy. Ja byłem u niego w więzieniu, w Sztumie i on mi dał list do Starewicza. Ja mu ten list dałem nie czytając... No i Starewicz do mnie mówi: »Proszę pana, gdyby on błagał o łaskę, to mógłbym coś zrobić, ale on napisał, że prokurator jest łajdakiem, oskarżenie jest kłamliwe – ja nie mogę nic zrobić«. No i przesiedział trzy lata".

Iredyński postanowił jednak nie pisać próśb o ułaskawienie, przesiedział całe trzy lata w więzieniu w Sztumie. Odwiedzała go Masza, z którą formalnie nie miał jeszcze rozwodu. W fałdach spódnicy potrafiła mu przemycić wódkę. Jednym z towarzyszy więziennej niedoli był Jacek Kuroń. Z Iredyńskim za sobą nie przepadali.

Mimo wszystko Iredyński wyrobił sobie w więzieniu specjalną pozycję. Raducha opisuje, że kiedy tylko został osadzony i wyszedł na jeden z pierwszych spacerów, drogę zastąpił mu szef ochrony więziennej. Iredyński wrzasnął: – Z drogi, wsiarzu! Ja jestem PAN IREDYŃSKI, i jak stąd wyjdę, to też będę pan Iredyński, a ty zostaniesz na zawsze tylko klawiszem!

Co ciekawe, w „pace"miał zgodę na pisanie.

Moja miła, moja cicha

Po wyjściu z więzienia zajął się w sumie tym, czym zajmował się wcześniej, czyli piciem, pisaniem i tym, co w korespondencji, jaką wymieniał Stanisław Lem ze Sławomirem Mrożkiem, zostało określone mianem „działalności jebalniczej". Wśród ważnych kobiet w życiu pisarza należy wymienić Alinę Piechowską, kompozytorkę. Efektem tego romansu była piosenka „Moja miła, moja cicha".

Moja miła, moja cicha, moja śliczna,
lekki powiew i muzyka, zapach nocy,
przypomnienie, przytulenie, noc liryczna,
moja miła, moja cicha, moja śliczna...

Głos śpiewaczki, płomień świecy, zasłuchanie,
potem cisza i łagodność, przypomnienie
twojej skóry, twoich milczeń, leśnej woni,
świeżość skóry, świeżość łąki, zapomnienie.

Para miała się nawet pobrać, jednak ostatecznie do ślubu nie doszło. Rozstali się.

eprasa.pl 12975ab158

Później przez trzy lata związany był z Jadwigą Staniszkis. W czasie trwania relacji zachowywał się podobnie jak w wypadku Piechowskiej. Szlajał się po knajpach, a ona musiała go szukać. „Na żywo" zamieściło tekst, w którym pojawiają się informacje o związku Staniszkis z Iredyńskim. Z tekstu wynika, że Staniszkis pisała w kuchni, bo w dużym pokoju domu, który należał do niej, chlali znajomi Iredyńskiego, w tym wspomniany już Grochowiak. Zdarzało się, że kiedy towarzystwu kończył się alkohol, to biegała po flachę do sklepu. Zdarzało się także, że czekała w knajpach, aż skończy pić. Umilała sobie to zajęcie, godzinami grając z szatniarzem w oczko. Potem odwoziła Iredyńskiego do domu. W czasach związku ze Staniszkis Iredyński kupił domek w Bredynkach na pograniczu Warmii i Mazur.

Warto wspomnieć, że Iredyński miał także nieślubne dziecko z córką prominentnego członka PZPR. Ponadto udało mu się ponownie spotkać z Anną. Natknęli się na siebie jeszcze w Warszawie, a później kontynuowali romans podczas jego wyjazdu za granicę. „Anna zabrała Iredyńskiego do swojego domu w Sherbrooke, gdzie przeżyli mieszczańskie pół roku sielanki. Stamtąd Irek pisał do Brejdyganta, czy ma się z Anną ożenić. Znając siebie, swój charakter i mając w pamięci także te najgorsze chwile z początku ich romansu jeszcze w Warszawie, zdawał sobie sprawę, że dalsze życie razem nie jest możliwe. Wiedział o swojej sile autodestrukcji, dlatego wrócił" – pisze Raducha.

Rozmaite perypetie uczuciowe nie przeszkadzały Iredyńskiemu w pracy. Na rynku pojawiły się kolejne utwory: „Związki uczuciowe"(1970 r.), „Człowiek epoki" (1971 r.), „Manipulacja", publikowana w odcinkach na łamach tygodnika „Literatura" od 21 lutego do 25 kwietnia 1974 r., „Bajki nie tylko o smoku" (1977 r.) i „Okno" (1978 r.).

▶ Urna przewożona taksówką

Kolejną – i ostatnią – żoną Iredyńskiego była Teresa Polkowska, po pierwszym mężu Świerzy. Kobieta rozstała się z pierwszym mężem, przy nim została zresztą córka pary, Dorota. A Teresa z Ireneuszem zamieszkała na osiedlu Groty. Podobnie jak w przypadku poprzedniego ślubu, tak i teraz Iredyński na ceremonię się nie wystroił. „Irek na uroczystość założył wojskowy T-shirt, dżinsy i białe tenisówki, a Teresa miała na sobie granatową suknię i niosła bukiet mieczyków" – pisze Raducha. Iredyński również zachowywał się jak zawsze: kiedy nie spodobała mu się urzędniczka, która przemawiała sucho, kazał jej skończyć „pielldolić" i powiedzieć coś od siebie.

Ostatnie lata życia spędził właśnie przy Teresie, z którą łączyło go zamiłowanie do ratowania i przygarniania rozmaitych psich nieszczęść. Kobieta w rozmowie z biografką Iredyńskiego wspominała, że kiedy nie pił, był bardzo czuły. Może szczęście dzielone między Warszawę a domek na Mazurach trwałoby dłużej, gdyby Iredyńskiego nie zabiła trzustka. Chociaż bowiem cieszył się dobrym zdrowiem, a w ostatnich latach życia próbował nawet zerwać z nałogiem, postępowało zwapnienie trzustki. W grudniu 1985 r. trafił na Oddział Wewnętrzny Szpitala Wolskiego. Towarzyszyła mu żona, którą jednak lekarz wysłał do domu, ponieważ sytuacja wydawała się opanowana. Iredyński zmarł 9 grudnia.

Ciało zostało skremowane w Poznaniu, byli tam koledzy pisarza, poeci Krzysztof Karasek i Krzysztof Mrozowski. „Dla stosownego uczczenia pamięci przyjaciela w wieczór poprzedzający odebranie urny dość ostro zabalowali. A samochód wiozący zmarłego Irka stał niezabezpieczony... Następnego dnia będący w lepszej formie Karasek odebrał urnę i wracał z nią pociągiem z Poznania. Na warszawskim dworcu wsiadł do taksówki, trzymając karton z urną na kolanach. Na pytanie taksówkarza, co tam wiezie cennego, odpowiedział: – Kolegę" – pisze Raducha. Urna spoczęła w katakumbach na cmentarzu Powązkowskim.

Iredyński przez długi czas był pisarzem zapomnianym, „odkopała" go prasa kolorowa, rzucając się na szczegóły jego związku z Jadwigą Staniszkis. Czy udało mu się wykorzystać w pełni talent literacki? Raczej nie. Ale o Iredyńskim warto pamiętać, ponieważ jest modelowym wręcz przykładem człowieka, który w cynizm i alkohol uciekał przed czasami, w jakich przyszło mu żyć. Świadectwem tej tendencji są zresztą także postaci z jego książek, będące ucieleśnieniem ducha epoki. Zarazem Iredyński w swojej ucieczce postępował w sposób szkodliwy przede wszystkim dla siebie (no, i ewentualnie dla kobiet, które się z nim wiązały). Tymczasem na przykład wybitny poeta Stanisław Grochowiak, który również cierpiał z powodu alkoholizmu, zdecydowanie lepiej funkcjonował w relacjach z władzą, przyjmując zasadę, że będzie żyć obok systemu, jakby go nie zauważając, byle tylko pozwolono mu tworzyć w spokoju. Iredyński zaś jednak wypowiadał się o Polsce Ludowej głośno. Nawet jeśli do wskazania, że system, w którym przyszło mu funkcjonować, jest chory, potrzebował się najpierw nawalić.

„Umarł... właściwie chciał umrzeć. [...] To jest zupełny obłęd. A zdolny pisarz, bardzo go żałuję, lubiłem go. Byłem na procesie, byłem jego rzecznikiem w Związku Literatów, ale wiele mu nie pomogłem" – podsumował Iredyńskiego Kisiel. ■

eprasa.pl 12975ab158

Dariusz Jarosiński

Los braci Jerzego i Ryszarda Kowalczyków, którzy w nocy z 5 na 6 października 1971 r. wysadzili w powietrze aulę Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, gdzie podczas wielkiej fety medale za krwawe stłumienie protestów na Wybrzeżu mieli odebrać zasłużeni funkcjonariusze, to w istocie kontynuacja historii polskiego podziemia antykomunistycznego, historii sięgającej lat 40. i 50. ubiegłego stulecia. Jerzy i Ryszard stali się spadkobiercami Żołnierzy Niezłomnych walczących z bolszewią na ich rodzinnej, wyszkowskiej ziemi.

Rzucili wyzwanie Peerelowi

eprasa.pl 12975ab158

Manifestacja Niezależnego Zrzeszenia Studentów i NSZZ „Solidarność" w sprawie uwolnienia braci Kowalczyków. 1981 rok

fot. arch.

Burząc aulę w Opolu, bracia Kowalczykowie zakłócili dobre samopoczucie nie tylko mającym w niej świętować funkcjonariuszom MO i SB, lecz także komunistycznym kacykom znajdującym się na szczytach władzy peerelowskiego państwa. Zaprotestowali przeciwko masakrze niewinnych ludzi, do której doszło w grudniu 1970 r. na Wybrzeżu. Notabene do dzisiaj nikt nie został ukarany za tę zbrodnię. W czasie celebry esbecy i milicjanci mieli otrzymać nagrody, medale za krwawe stłumienie robotniczego protestu. Jerzy i Ryszard Kowalczykowie działali w osamotnieniu. Do wybuchu doszło kilkadziesiąt minut po północy, kiedy istniała stuprocentowa pewność, że nie zostanie okaleczona choćby jedna postronna osoba.

Po brutalnym śledztwie, z użyciem m.in. środków psychotropowych, ultradźwięków – i to był „postęp" w stosunku do śledztw przeprowadzanych przez ubeków w latach 40. i 50. – bracia Kowalczykowie zostali oskarżeni z art. 126 par. 1 Kodeksu karnego o dokonanie zamachu na funkcjonariuszy państwowych. Jerzego skazano na karę śmierci, a Ryszarda na 25 lat więzienia. Trafili do tego samego więzienia, przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie, w którym 20 lat wcześniej przebywali ich stryj, Stanisław Kowalczyk „Baśka", „Odwet", i dowódca jego oddziału Jan Kmiołek „Fala", „Wir". Przemierzali te same korytarze, zamykani byli w tych samych karcerach, być może nawet ci sami bandyci znęcali się nad nimi. Jan Kmiołek „Wir" został skazany na 29-krotną karę śmierci, a Stanisław Kowalczyk „Odwet" na 14-krotną karę śmierci. 7 sierpnia 1952 r. obaj partyzanci zostali zamordowani. Ciał rodzinom nie wydano, do dzisiaj nie wiadomo, gdzie znajdują się ich groby. Ryszard miał wówczas 15 lat, był świadkiem pokazowego procesu w Pułtusku stryja Stanisława i Jana Kmiołka. Jerzy miał 10 lat.

Jak w 1830 i 1863 roku

Puszczę Białą, lasy ciągnące się od Pułtuska po Ostrów Mazowiecką, porosłe wokół Bugu i Narwi, z Wyszkowem, Brokiem, Brańszczykiem, Długosiodłem, zamieszkiwali Kurpie Biali. Podobnie jak ich pobratymcy, Kurpie Zieloni, z Puszczy Zielonej, okolic Myszyńca, Kadzidła, Łysych, zajmowali się w przeszłości bartnictwem, smolarstwem, myślistwem, rybołówstwem. I jedni, i drudzy Kurpie nie odrabiali pańszczyzny, uważali się za ludzi wolnych. Kurpie Zieloni byli czynszownikami królewskimi, a Kurpie Biali biskupimi, biskupów płockich. Kiedy Rzeczpospolita znajdowała się w potrzebie, nie szczędzili dla niej sił i życia. Patriotyzm Kurpiów miał silne zakorzenienie w głębokiej wierze katolickiej.

Rodzina Kowalczyków mieszkała w miejscowości Rząśnik pod Wyszkowem. Ojciec był kowalem, znanym „na całą okolicę" rzemieślnikiem, który w wolnych chwilach potrafił z żelaza wykuwać piękne rzeczy do gospodarstw. Jerzy przyszedł na świat w grudniu 1941 r., Ryszard miał wówczas 5 lat. Wkrótce potem matka chłopców została wywieziona do Prus Wschodnich na roboty. Ojciec, poszukiwany przez gestapo, musiał się ukrywać, nie mógł kontaktować się z najbliższymi. Na jakiś czas braci przygarnęła do siebie obca rodzina. W 1945 r. z Niemiec wróciła matka. Ponownie cała rodzina była razem.

W Puszczy Białej po wybuchu II wojny światowej, podobnie jak w powstaniu listopadowym w 1830 r. czy zrywie styczniowym w 1863 r., szybko narodziła się konspiracja, zawiązały się partyzanckie oddziały. Tutaj, w ostatnich dniach sierpnia 1944 r., w pobliżu wsi Pecynka, kilka kilometrów od miejscowości Długosiodło, doszło do jednej z największych bitew partyzanckich AK podczas okupacji niemieckiej. Niemcy po bitwie

eprasa.pl 12975ab158

w sposób bestialski zemścili się na ludności cywilnej – zamordowali ponad 400 osób – w tym dzieci, kobiety, starców. Kiedy ledwo ucichły strzały niemieckich karabinów, wozów pancernych, 4 września tereny puszczańskich wsi okolic Wyszkowa zajęła Armia Czerwona. Rozpoczęła się nowa okupacja, instalowanie komunistycznej władzy, a wraz z nią aresztowania, wywózki na Syberię ujawnionych w czasie Akcji „Burza" żołnierzy podziemia niepodległościowego.

Stanisław Kowalczyk „Baśka", rocznik 1925, był młodszym bratem ojca Jerzego i Ryszarda. Po wejściu Sowietów początkowo ukrywał się, a w 1946 r. wstąpił do nowej organizacji podziemnej po rozwiązaniu AK, do Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, którego placówka mieściła się w Rząśniku. Partyzanci WiN z obwodu Pułtusk i Ostrów Mazowiecka zasłynęli akcją rozbicia więzienia w Pułtusku 25 listopada 1946 r. Akcją dowodził ppor. Stanisław Łanecki „Przelotny", uwolnionych zostało wówczas 45 więźniów. W kwietniu 1947 r. na rozkaz obwodowych władz WiN partyzanci z ziemi wyszkowskiej ujawnili się. Jednak już miesiąc później, po przejrzeniu gry komunistów, poszli do lasu. Na czele sformowanego oddziału stanął pochodzący z Rząśnika 28-letni Jan Kmiołek „Mazurek", „Wir". Okazał się niezwykle utalentowanym, charyzmatycznym dowódcą. Stworzył oddział, którego legenda trwa jeszcze do dzisiaj w puszczańskich wioskach. Formacja funkcjonowała samodzielnie, jedynie od października 1948 do lipca 1949 r. podporządkowana była Komendzie Powiatu Narodowego Zjednoczenia Wojskowego krypt. „Noc", „Tatry". Oddział nie przekraczał zazwyczaj 10 walecznych żołnierzy, do których należał Stanisław Kowalczyk „Baśka", „Odwet". Chłopcy pochodzili z gmin Obryte, Długosiodło i Wyszków. Przez formację „Wira" przewinęło się w latach 1947–1952 20 młodych ludzi. Niemal wszyscy zginęli w potyczkach z grupami operacyjnymi UB, KBW, MO lub zostali zamordowani w ubeckich katowniach.

Tej denuncjacji nikt się nie spodziewał

Oddział „Wira" operował na terenach powiatów pułtuskiego, ostrowskiego oraz w południowych częściach powiatów ostrołęckiego i makowskiego. Zdarzały się też dalsze rajdy. Partyzanci nosili mundury wojskowe z ryngrafami Matki Boskiej Częstochowskiej, do niektórych akcji zakładali mundury milicyjne lub ubrania cywilne. Byli dobrze uzbrojeni, posiadali automaty, broń krótką, granaty. W leśnych magazynach przechowywali większe zapasy broni, aby w razie konieczności zmobilizować do akcji ludzi z siatki terenowej. Zaplecze organizacyjne stanowiło ponad pół tysiąca ludzi w 11 gminach. Gospodarze dzielili się z partyzantami „Wira" ostatnim kawałkiem chleba – nie chcieli znać na swojej ziemi bolszewickiego antychrysta. Chociaż w oddziale obowiązywał wojskowy dryl – za niesubordynację stosowane były surowe kary, zdarzyły się nawet dwa przypadki kary śmierci – to panowała koleżeńska atmosfera.

Uroczystość odsłonięcia tablicy poświęconej braciom Kowalczykom przy Pomniku Poległych Stoczniowców, Gdańsk 18 grudnia 2010 rok. Obok Jerzego i Ryszarda Kowalczyków Andrzej i Joanna Gwiazdowie

W prowadzonej przez Jana Kmiołka „Wira" „Książce raportów oddziału" możemy znaleźć notatki, zapisy na temat setki różnych działań, zbrojnych akcji skierowanych przeciwko komunistycznej władzy. Zwalczani byli agenci UB, komunistyczni aktywiści, przeprowadzane były akcje ekspropriacyjne, rozbijane posterunki MO, placówki ORMO. Grupa partyzantów „Wira" stała się symbolem oporu przeciwko komunistycznej władzy w Puszczy Białej. Od 1949 r. nasiliły się obławy grup operacyjnych KBW, UB, MO na oddział „Wira". Choć sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna, to jednak żołnierze nie zaszyli się na melinach i nie zaprzestali walki. W marcu 1951 r. „Wir" samodzielnie zlikwidował kilkuosobowy patrol milicji, który nękał gospodarzy w gminie Brańszczyk, w tym samym miesiącu wydostał się z obławy w gminie Wyszków, w której wzięło udział 350 żołnierzy KBW. Jesienią 1951 r. oddział liczył ośmiu żołnierzy, oprócz dowódcy, „Wira", byli to Franciszek Kmiołek „Bogdan", brat „Wira", Stanisław Kowalczyk „Baśka", „Odwet", Franciszek Ampulski „Tęcza", Jan Wróblewski „Roman", Julian Nasiadko „Ostry", Antoni Struniawski „Nil" oraz z siatki terenowej Marian Czajkowski „Dym".

Do rozbicia oddziału, wydania ubekom partyzantów przyczynił się walnie ksiądz wikary Aleksander Policewicz z Długosiodła, agent o pseudonimach „Popławski", „Andrzej". Ksiądz zdrajca, pochodził z Wileńszczyzny, w przeszłości był żołnierzem AK, był w bardzo dobrych relacjach z braćmi Kmiołkami, cieszył się wśród

eprasa.pl 12975ab158

miejscowej społeczności dużym zaufaniem. To zaufanie wykorzystali umiejętnie funkcjonariusze MBP, zakładając operację o kryptonimie „Lancet". Jan Kmiołek został aresztowany 27 sierpnia 1951 r., a Stanisław Kowalczyk „Odwet" 15 września 1951 r. Jesienią tego roku komuniści przeprowadzili ogromną operację przeciwko antykomunistycznie, patriotycznie nastawionym mieszkańcom Puszczy Białej, w której użyli około 550 żołnierzy KBW i funkcjonariuszy UB. Spacyfikowano 48 wiosek, aresztowano prawie 300 osób. Więźniów poddano brutalnym śledztwom, z wykorzystaniem najbardziej wyrafinowanych metod bolszewickich, prawie 150 osób skazano na wieloletnie kary więzienia.

Patrzyłem z oddali na tych młodych ludzi

Po latach Ryszard Kowalczyk tak wspominał tamten czas: „W roku 1952, kiedy byłem w pierwszej klasie liceum, w pułtuskim zamku odbył się sąd nad moim stryjem Stanisławem Kowalczykiem. Należał on, jak wielu mieszkańców mojego rodzinnego Rząśnika, braci Ampulskich czy Kmiołków, do tego zbrojnego odłamu Armii Krajowej, którego żołnierze nie złożyli broni po wojnie i walczyli z komunistami. Tropiono ich przez lata [...]. Rozprawa była publiczna, a największa sala zamku wypełniona po brzegi. Uciekałem z lekcji i z oddali patrzyłem na tych wtedy jeszcze młodych ludzi, poniżanych przez sędziów. Znałem obu, ponieważ często bywali w naszym domu, przynosząc broń do naprawy mojemu ojcu. Ówczesne prawodawstwo nie zezwalało na oddanie ciała straconego rodzinie. Stryj zostawił żonę i dwoje małych dzieci [...]. Moje cztery lata nauki w liceum to trudny i ciężki okres stalinizmu. Wespół z moim kolegą Januszem Jabłońskim rozlepialiśmy plakaty o treści antykomunistycznej, za co groziło nie tylko relegowanie ze szkoły, ale więzienie. W klasie maturalnej razem z kolegą naprawiliśmy stare radio lampowe i w internacie, gdzie mieszkałem, słuchaliśmy BBC i Wolnej Europy. Doniósł o tym do Urzędu Bezpieczeństwa w Pułtusku nasz rówieśnik Henryk Kurta [...], zażarty aktywista ZMP. Przez dwa tygodnie przesłuchiwano mnie w Urzędzie Bezpieczeństwa w Pułtusku, bito, poniżano i grożono śmiercią. Przez ponad miesiąc byłem zawieszony w prawach ucznia [...]. Niezależnie od owego »sądu«, tylko wcześniej, byłem wielokrotnie wzywany do gmachu Urzędu Bezpieczeństwa w Pułtusku. [...] Mnie jedynemu dyrektor liceum Jan Łopuski nie podał ręki, wręczając świadectwo maturalne. [...] Maturę zdałem z wynikiem bardzo dobrym i złożyłem papiery na Uniwersytet Warszawski, na fizykę. Egzamin zdałem, ale ze względu na opinię antykomunisty i wroga ludu pracującego miast i wsi nie zostałem przyjęty. W latach 1956–1958 ciężko pracowałem [...] W roku 1958 zdałem egzamin na moją ulubioną fizykę i zostałem przyjęty na studia do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. [...] Moja kariera naukowa przebiegała pomyślnie i przechodząc przez stopnie asystenta i starszego asystenta w roku 1971 obroniłem przed Radą Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego, z wynikiem bardzo dobrym, nagrodzoną przez ministra oświaty, pracę doktorską".

Droga życiowa brata, Jerzego Kowalczyka, była inna, zdecydowanie bardziej wyboista. Jerzy, o czym mówi sam brat, jest osobowością silną, bezkompromisową. Już w szkole podstawowej w Rząśniku zadarł z jej kierownikiem, Stanisławem Piekarskim, komunistą. Zdecydowanie i otwarcie sprzeciwiał się szerzeniu ideologii bolszewickiej. Po ukończeniu podstawówki trafił do szkoły zawodowej w Ostrołęce, ale i tutaj szybko skonfliktował się z pedagogami, a szczególnie z nauczycielem historii. W 1957 r. zniszczył mienie młodzieżowej organizacji, przybudówki PZPR, Związku Młodzieży Socjalistycznej, za co został relegowany ze szkoły. Po latach wspominał: „Nie mogłem ścierpieć aktywistów ZMS-u, którzy nawet do kościoła zabraniali nam chodzić i dlatego zniszczyłem ich dokumentację i w ich mniemaniu zbezcześciłem pomieszczenie socjalistycznej organizacji. [...] Do roku 1960 pomagałem rodzicom w ich maleńkim, bo zaledwie 1-hektarowym gospodarstwie i w tym samym 1960 roku zostałem powołany do wojska, do wojsk lotniczych w Zamościu. Po odbyciu służby wojskowej przeniosłem się do Opola, do mojego brata Ryszarda, gdzie znalazłem zatrudnienie jako technik w katedrze fizyki w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej [...]. Jednakże i tutaj, w Opolu, walka z komunizmem zaabsorbowała mnie bardziej niż perspektywa ułożenia sobie życia [...] Codziennie przechodziłem obok auli, w której odbywały się wojewódzkie konferencje partyjne, w której towarzysz Cyrankiewicz przedstawiał »jedynie słuszną linię partii« i gdzie powtarzał to, co powiedział w 1956 roku w Poznaniu, że będzie odrąbywał ręce tym, którzy ośmielą się je podnieść na władzę ludową. Gdzie także towarzysze partyjni z komitetu wojewódzkiego, wspierani przez takich współtowarzyszy z uczelni, jak Z. Wawrzynkiewicz [...] od warchołów wyzywali studentów w 1968 roku i wydalali ich z WSP. Gdzie wreszcie co roku zbrojne ramię polskiego komunizmu, »umiłowani« przede wszystkim przez polskich robotników milicjanci, czcili właśnie w tej auli swoje święto. Kiedy w 1970 roku ci właśnie milicjanci, wspierani przez oddziały wojska Jaruzelskiego, dokonali masakry robotników, moja rozpacz, że mordują rodaków, i bezsilność, pchnęły mnie do szaleńczego kroku zniszczenia tego symbolu zniewolenia, służalczości i areny do świętowania namiestników Kremla. Może nawet i tak by się nie stało, ale właśnie w tej auli miała się odbyć dekoracja bezpośrednich uczestników masakry, oddelegowanych służbowo z Opola do Gdańska. Ich komendantem mianowano Juliana Urnatówkę [...]. W nocy z 5 na 6 października 1971 roku, w przeddzień akademii z okazji święta milicji, wysadziłem to miejsce w powietrze. Zarzucano mi potem, że chciałem z ludźmi i tak dalej. Gdybym chciał,

fot. arch.

eprasa.pl 12975ab158

to bym tak zrobił, ale nie chciałem i nie zrobiłem tak; decyzja należała tylko i wyłącznie do mnie [...]".

Gruzowisko

W gruzach legły aula, uczelniane archiwum, bufet, a przede wszystkim ubeckie święto. Do miejsca wybuchu milicja nie dopuszczała mieszkańców Opola, zaś pracowników WSP zagoniono do uprzątania rumowiska. Jerzy i Ryszard Kowalczykowie również wzięli udział w tym niecodziennym czynie społecznym. Ludzie snuli przeróżne teorie, często wręcz fantastyczne, na temat wybuchu – a tajemnicę znali jedynie bracia. Jerzy długo przygotowywał się do akcji – przywoził do Opola przez wiele miesięcy w plecaku trotyl, który wydobywał z bomb lotniczych pozostawionych przez Sowietów w pobliżu rodzinnego Rząśnika. W sumie przewiózł 80 kilogramów trotylu z bomb i 40 kilogramów etylonaftalenu do zapłonu. W kwestiach technicznych pomagał mu brat Ryszard – to on wyliczał parametry eksplozji i właściwie rola Ryszarda do tego się ograniczyła. Jerzy przez wiele nocy na czworakach przemieszczał się w kanale wentylacyjnym pod aulą, by umieścić odpowiednie porcje materiałów wybuchowych – on też ostatecznie odpalił bombę, kiedy Ryszard przebywał w domu. Zanim Jerzy Kowalczyk odpalił ładunek, obszedł cały budynek, aby sprawdzić, czy nikogo w nim nie ma.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych skierowało do wykrycia sprawców wybuchu najlepszych fachowców, oficerów dochodzeniowych. Służba Bezpieczeństwa uaktywniła dziesiątki szpicli. Operacja otrzymała kryptonim „Mrowisko". Drobny, niepozorny drucik skierował uwagę śledczych w stronę Jerzego Kowalczyka. Bracia zostali objęci całodobową inwigilacją. Skuteczna okazała się agentka „Kaśka", która potrafiła zbliżyć się emocjonalnie do Jerzego Kowalczyka. Kiedy podsłuchy zamontowane w mieszkaniu Kowalczyków potwierdziły wcześniejsze przypuszczenia, pod koniec lutego 1972 r. bracia zostali zatrzymani i przewiezieni do warszawskiego więzienia przy ulicy Rakowieckiej. Formalnie sprawę prowadziła opolska prokuratura, ale nadzorowała warszawska SB. W czasie śledztwa podawano braciom środki psychotropowe, dręczono ultradźwiękami, trzymano w jednej celi z mordercami.

Trwający dwa tygodnie proces przypominał rozprawę sądową z 1952 r., kiedy sądzeni byli Jan Kmiołek „Wir" i Stanisław Kowalczyk „Baśka", „Odwet". Sąd Wojewódzki w Opolu, któremu przewodniczył sędzia Zygmunt Jaromin, 8 września 1972 r. wydał wyrok śmierci na Jerzego Kowalczyka i skazał na 25 lat więzienia Ryszarda Kowalczyka. Bracia zostali oskarżeni o dokonanie zamachu na funkcjonariuszy państwowych, chociaż, jak wiadomo, wybuch nastąpił wiele godzin przed akademią, nikt też nie został pokrzywdzony. Na nic się zdała rewizja złożona przez obrońców – 18 grudnia 1972 r. Sąd Najwyższy utrzymał w mocy wyrok. Bracia Kowalczykowie zobowiązani też zostali do pokrycia kosztów remontu auli WSP. Ryszard Kowalczyk dopiero w 1988 r. uporał się ze spłatą 537 tys. złotych.

Stalinowskie wyroki zastosowane wobec braci Kowalczyków poruszyły niektóre z polskich środowisk niezależnych, zmobilizowały do działania. Komuniści nie mogli nie reagować na apele o złagodzenie kary, listy protestacyjne. Edward Gierek musiał też się liczyć z zagraniczną opinią publiczną, a media zachodnie szeroko informowały o tym, co się wydarzyło w Opolu. W styczniu 1973 r. Rada Państwa, stosując prawo łaski, zamieniła Jerzemu Kowalczykowi karę śmierci na 25 lat więzienia.

Ryszard Kowalczyk odbywał karę więzienia w Barczewie na Warmii, a brat Jerzy w Strzelcach Opolskich. Przez kilka miesięcy Ryszard siedział w izolatce, później przeniesiono go do zbiorowej celi z mordercami i psychopatami. Represje nie ominęły rodziny – rodzice byli wzywani na przesłuchania do Warszawy, w domu przeprowadzane były rewizje. Rodzeństwo Jerzego i Ryszarda – siostra, brygadzistka w zakładach obuwniczych w Krapkowicach, a także bracia, Narcyz, nauczyciel w wiejskiej szkole na Mazowszu, i Zbigniew, kierowca, zostali zwolnieni z pracy.

W drugiej połowie lat 70. do Rady Państwa wpłynęły apele o zastosowanie prawa łaski wobec braci Kowalczyków ze strony polskich intelektualistów, Ruchu Praw Człowieka i Obywatela, uczestników głodówki KOR w Podkowie Leśnej. Po Sierpniu 1980 roku wzmogły się protesty o uwolnienie więźniów politycznych, również braci Kowalczyków. Żądania uwolnienia braci domagały się m.in. Komitet Obrony Uwięzionych za Przekonania, Krajowy Zjazd Niezależnego Zrzeszenia Studentów. 25 maja 1981 r. NZS zorganizowało w całej Polsce demonstracje w obronie więźniów politycznych – również ulicami Opola przeszła manifestacja, w czasie której domagano się uwolnienia braci Kowalczyków.

Zdjęli z nas ciężar upokorzenia

W 1983 r. Rada Państwa ugięła się – za „dobre sprawowanie" oraz „tytułem próby" z więzienia wyszedł Ryszard Kowalczyk, a dwa lata później brat Jerzy. „Gdyby nie zryw wolnościowy zainicjowany przez »Solidarność«, musielibyśmy odpokutować po całe 25 lat, toteż po opuszczeniu więzienia tak szybko, jak to było możliwe, wstąpiłem do »Solidarności«" – wspomina Ryszard Kowalczyk. Powrót do normalnego życia był właściwie niemożliwy. 23 września 1991 r. prezydent Lech Wałęsa podpisał prośbę Ryszarda Kowalczyka o zatarcie skazania, dzięki temu mógł podjąć pracę na Politechnice Opolskiej.

We wrześniu 2008 r. Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność" Uniwersytetu Opolskiego (byłej WSP) oraz

eprasa.pl 12975ab158

Opolskie Stowarzyszenie Pamięci Narodowej i Osób Represjonowanych w PRL skierowały na ręce rektora wniosek o wmurowanie tablicy upamiętniającej patriotyczny czyn braci Kowalczyków. Niestety, Senat odrzucił wniosek. Jak widać „Czerwona Sorbona", jak mówiono o Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, będąca ongiś kuźnią kadr funkcjonariuszy PZPR, SB, MO, nadal pozostaje czerwona. Problem jest też w samym Opolu, którego władze samorządowe nadal uważają, że czyn braci Kowalczyków nie jest godny upamiętnienia. Odrzucane są wnioski o wmurowanie stosownej tablicy, odrzucane są też wnioski o nadanie braciom Kowalczykom honorowego obywatelstwa miasta Opola. Według Wiesława Uklei, byłego działacza NZS, sekretarza Opolskiego Stowarzyszenia Pamięci Narodowej: „Batalia o przywrócenie braciom Kowalczykom zasłużonego miejsca w społeczeństwie i w historii polskiej walki o niepodległość trwa niezależnie od woli polityków i eksponowanych osobistości. Napotyka ona na bierność, niechęć i opór, głównie ze strony tych, którzy nie chcieliby, by zbrodnie komunistyczne nazwano po imieniu" (20 września, 2008 r.).

W „Oświadczeniu w sprawie pamięci czynu braci Kowalczyków" Anna Walentynowicz i Andrzej Gwiazda napisali m.in.: „Po masakrze dokonanej w 1970 r na Wybrzeżu, społeczeństwo poczuło się bezradne wobec masowych mordów, tortur i prześladowań. [...] Wybrzeże pogrążyło się w nastroju bezsilnej nienawiści i wściekłości. Wtedy bracia Kowalczykowie wysadzili w Opolu aulę, w której miała się odbyć feta morderców.

Kowalczykowie zdjęli z nas ciężar upokorzenia. Przywrócili nam honor, tym samym zwalniając nas z obowiązku zemsty. Bracia Kowalczykowie otworzyli drogę do negocjacji bez nienawiści i do zawarcia w 1980 roku porozumienia bez utraty godności. Wszyscy ci, którzy powołują się na rodowód »Solidarności« lub wychwalają nas za umiar i rozsądek w 1980 r., muszą pamiętać, że równoczesne zapominanie o braciach Kowalczykach jest niegodziwością.

Wszyscy Polacy, cały naród ma wobec Nich ogromny dług wdzięczności, a szczególnie społeczeństwo Wybrzeża. Przede wszystkim aktywni uczestnicy strajków i demonstracji w 1970 r., którzy przeżyli tylko dlatego, że nie znaleźli się na linii strzału. Mentalni spadkobiercy komunistycznych siepaczy chcą zagłuszyć pamięć czynu Kowalczyków. Senat Uniwersytetu Opolskiego sprzeciwił się wmurowaniu tablicy upamiętniającej to zdarzenie.

Braciom Kowalczykom winniśmy cześć, wdzięczność i pamięć. Gdańsk, 3.11.2008 r.".

Powrót do powięziennej rzeczywistości

Jerzy Kowalczyk wybrał życie samotnika. Powrócił w rodzinne strony, do Puszczy Białej. Zamieszkał na odludziu, na torfowiskach w pobliżu Rząśnika w prymitywnym barakowozie. W 2007 r. ówczesny premier Jarosław Kaczyński przyznał Jerzemu Kowalczykowi emeryturę specjalną. Jerzy Kowalczyk rzadko opuszcza swoją samotnię. 29 października 2009 r. w Wyszkowie odsłonięto pomnik poświęcony Żołnierzom Wyklętym ziemi wyszkowskiej, na tablicy wśród kilkudziesięciu nazwisk żołnierzy poległych w walce z UB, zamordowanym w więzieniach w latach 1945–1952, znajduje się nazwisko Stanisława Kowalczyka ps. „Baśka", „Odwet". Dziesięciu z nich śp. prezydent Lech Kaczyński odznaczył pośmiertnie wysokimi orderami. Obaj bracia Kowalczykowie uczestniczyli w uroczystości odsłonięcia pomnika i pośmiertnego uhonorowania ich stryja. Podobno na dłużej, bo na dwa dni, opuścił swoją samotnię Jerzy Kowalczyk, biorąc udział w 2010 r. w pogrzebie Anny Walentynowicz, która zabiegała o rehabilitację braci, o uhonorowanie ich czynu.

W niepublikowanych wspomnieniach Jerzego Kowalczyka możemy przeczytać: „Czy warto było zapłacić tak straszliwą cenę za bunt przeciwko tyranii? Dzisiaj, po latach myślę, że tak, bowiem każde ludzkie działanie składa się z małych etapów, jak świat z atomów. Wszystko co nowe rodzi się w bólach. Niestety!"

Ryszard Kowalczyk miał łatwiejszy powrót do powięziennej rzeczywistości. Trzeba jednak wyjawić, że był okres, kiedy bracia mieli trudne relacje ze sobą. Otwarcie wspomina to Ryszard: „Początkowo miał do mnie żal [Jerzy – przyp. D.J.] za to, co mówiłem w śledztwie. Wydawało mi się wtedy, że lepiej będzie eksponować jego młody wiek, niszczycielskie skłonności i niezdyscyplinowanie, bo sądziłem, że walka z ustrojem będzie surowiej ukarana niż wybryk o znamionach wandalizmu, on jednak podkreślał antysystemowy charakter swojego czynu. Napisałem do niego długi list i mam nadzieję, że to wyjaśniło wszystkie niejasności między nami. Gdyby się cofnąć do tamtych czasów, z dzisiejszą świadomością, uważam, że trzeba było podjąć taką decyzję, jaką wtedy podjęliśmy. Żałuję tylko cierpień, jakie poniosła moja rodzina. Mówię sobie: mogłeś się nie angażować, ale wiem też, że nie powstrzymałbym brata. Bardzo mi go żal, bo to wszystko zrujnowało mu życie i nigdy nie założył rodziny, stał się samotnikiem. Ja miałem szczęście, że ktoś na mnie czekał, i to pomogło mi wrócić do życia". ■

***

W październiku bieżącego roku uhonorowano braci Kowalczyków w Urzędzie Wojewódzkim w Opolu. Jednej z sal nadano ich imię, a także wmurowano tablicę upamiętniającą ich protest przeciwko zbrodniom komunistycznym w grudniu 1970 r. na Wybrzeżu.

_____

Przy pisaniu korzystałem z książki Jacka Wegnera „Bez świadków obrony. Historia Jerzego i Ryszarda Kowalczyków", Wydawnictwo ARCANA, 2008 r.

eprasa.pl 12975ab158

„Los mój od losu Polski zależy…”

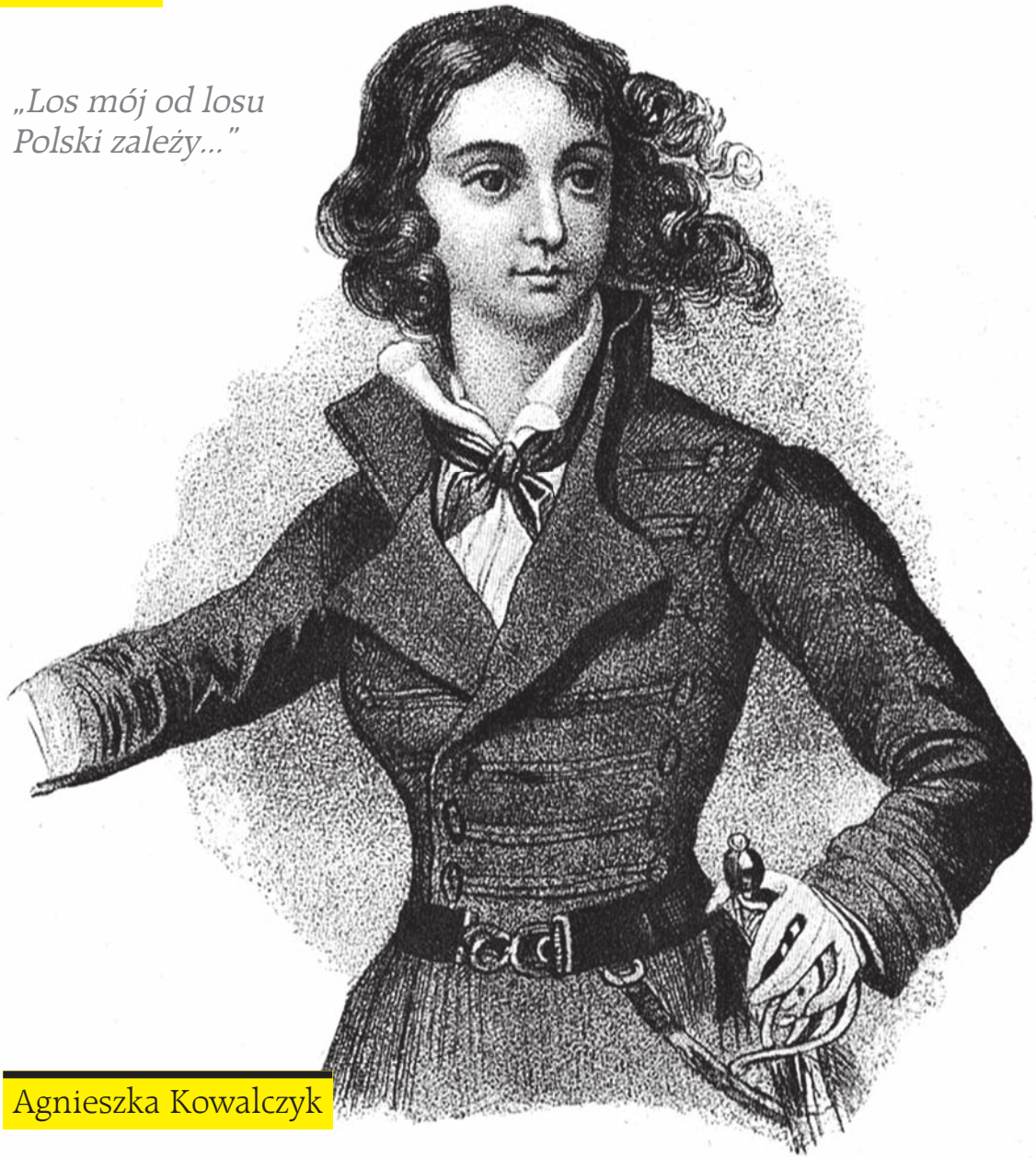

Agnieszka Kowalczyk

Polska Joanna d’Arc

eprasa.pl 12975ab158

Fascynowały ją czyny bohaterskich kobiet gotowych oddać życie za ojczyznę, toteż w swoim pokoju zawiesiła portret Joanny d'Arc. Na polu bitwy walczyła mężnie i do utraty sił. I to nie zbłąkana kula odebrała jej życie, a wiadomość o nagłej kapitulacji Warszawy i upadku powstania. Na łożu śmierci w liście do swej ciotki pisała: „Los mój od losu Polski zależy...".

Był maj 1831 r. na Litwie. W ten gorący czas powstania listopadowego ciągnęły nad Niemen regularne wojska z Królestwa Polskiego, by wesprzeć swych braci w walce z rosyjskim zaborcą. Na ich czele stanął Dezydery Chłapowski, który szczęśliwie przedzierał się między maszerującymi na Warszawę armiami Dybicza i Michała Romanowa. Sława jego imienia obiegła już całą ziemię nadniemeńską, a pod sztandary wodza garnęli się powstańcy z Litwy i Żmudzi. Cały ten pochód otwierali dostojni ułani w granatowych mundurach z amarantowymi wyłogami, tak jakby mieli wziąć udział w paradzie na placu Saskim. Dalej przesuwał się legion strzelców na chłopskich konikach – 200 starych wiarusów zaprawionych w wojaczce, tudzież mały oddziałek doświadczonych oficerów. Po nich zaś szli bohaterscy synowie tej ziemi – Litwini, a między nimi chłopi i szlachta zaściankowa, mieszczanie i służba dworska, to znów niejeden panicz na dobrym koniu i niejeden ksiądz z brewiarzem. Ten miał przy boku strzelbę, ów pałasz, inny jeszcze starą karabelę bądź pistolet u pasa. Wszyscy zdążali do siedziby generała Ogińskiego w Gabrielowie. Swą radość i wzruszenie Litwini wyrażali łzami, a „Koroniarze" – śpiewem i tańcem.

Podczas jednego z postojów na szerokiej równinie stanęło obozem 8 tys. piechoty. Wśród żarzących się ognisk i lasu bagnetów kilku oficerów polskich obstąpiło dwóch młodych wojowników litewskich. Obaj nosili „szaraczkowe ubiory", granatowe okrągłe czapki, u boku szable, a za pasem małe krócice. Jedna z postaci miała twarz bladą, pociągłą, błękitne oczy patrzące z zadumą gdzieś w dal, a druga uśmiechała się ciągle, jakby jej „dusza we wszystkim widziała tylko igraszkę wesołą". Pierwszą z nich okazała się Emilia Plater, drugą – jej przyjaciółka i towarzyszka broni Maria Raszanowiczówna.

Emilia Plater na czele kosynierów w 1831, obraz Jana Rosena

Od salonu do pułku

Skąd kobiety wzięły się w obozie i do tego w męskich przebraniach? O tym by długo mówić. Wyjaśnijmy tymczasem, że gdy korpus Chłapowskiego, idąc z Gabrielowa ku północy, stanął na odpoczynek, dołączył doń liczny, dobrze uzbrojony w piki i pałasze oddział jazdy. Dowodziła nim młodziutka Emilia Plater. Miała wówczas nie więcej niż 24 lata. Poważna, skromna, surowa w obejściu budziła powszechny szacunek. W żołnierskim stroju z małą szablą i puginałem u pasa stanęła przed generałem Chłapowskim, który, gdy ją tylko ujrzał, radził, by jak najszybciej wracała do domu. „Generale! – zaprotestowała jednak z całą mocą. – Postanowiłam być żołnierzem i walczyć o wyzwolenie ojczyzny, dopóki Polska nie odzyska zupełnej wolności". W obliczu tak niezłom-

eprasa.pl 12975ab158

nego postanowienia i na wieść o tym, że Emilia sformowała własny oddział powstańczy, Chłapowski nie zawahał się mianować jej kapitanem 2. kompanii 25. Pułku Piechoty Litewskiej!

Kobieta walcząca w szeregach powstańczych, co więcej, kobieta-wódz w randze kapitana – w zgiełku bitewnym, na koniu, w ataku na wroga, w obozie żołnierskim... to prawdziwy ewenement w naszej historii. Do tej pory Polki były strażniczkami domowego ogniska, wiernie czekającymi na powrót swych synów, mężów, braci, którzy poszli walczyć za ojczyznę. Dopiero czas powstania listopadowego zrodził fenomen polskiej Amazonki, uczynił kobietę człowiekiem czynu. Idea wyzwolenia ojczyzny porwała do działania rzesze córek i wnuczek żołnierzy kościuszkowskich i wojowników napoleońskich. Ukazała się nawet odezwa do Polek, by utworzyły zbrojny „pułk sarmatek", który miałby opiekować się rannymi żołnierzami i zaopatrywać ich w żywność, lekarstwa i odzież.

Taką XIX-wieczną sarmatką, która wybrała drogę walki zbrojnej, stała się właśnie Emilia Plater. Jak doszło do tego, że młodziutka hrabianka założyła wojskowy mundur? Aby zrozumieć fenomen tej niezwykłej drogi od salonu do pułku, przenieśmy się w czasie do 13 listopada 1806 r. W tym dniu przyszła na świat Emilia, córka Anny z von Mohlów i hrabiego Franciszka Ksawerego Platera. Oba rody od wieków związane były z Kurlandią i Polskimi Inflantami, które po pierwszym rozbiorze dostały się Rosji. Anna Platerowa, wykształcona i czarująca kobieta, uchodziła w oczach swych współczesnych za uosobienie wszelkich cnót. Jej mąż zaś i ojciec Emilii zyskał złą sławę utracjusza, który lekką ręką trwonił rodowy majątek na grę w karty, hulanki i zamiejskie eskapady. Anna, nie mogąc dłużej tego znieść, podjęła dramatyczną decyzję i wraz z córeczką opuściła męża, znajdując schronienie i wieloletnią opiekę u rodziny jego młodszego brata Michała. W domu stryjostwa w Liksnie przyszło więc spędzić Emilce 15 szczęśliwych lat, a jej nieodłącznymi towarzyszami podczas nauki i zabawy zostali liczni stryjeczni i cioteczni bracia.

Przy książkach i w siodle

Hrabianka Platerówna wychowywana była na prawdziwą damę. Grała na fortepianie, malowała, haftowała i pięknie tańczyła. Najbardziej fascynowała ją jednak ojczysta literatura i historia, którym oddawała się bez reszty, chłonąc książki z bogatych zbiorów wujostwa w Liksnie i Dusiatach. Z pasją i nie bez wpływu kuzynów zgłębiała też arkana nauk matematyczno-przyrodniczych. Ponadto znakomicie jeździła konno, uprawiała szermierkę, ćwiczyła się w strzelaniu z pistoletu, a nawet uczestniczyła w polowaniach na zające i dzikie ptactwo. Była też „niezmordowanym piechurem – jak pisze o niej Wiktor Gomulicki – lubiła zwłaszcza biegać zimą po lasach zasypanych śniegiem, a latem po polach wśród żaru słonecznego. Podczas wycieczek odpoczywała w chatach włościańskich, przynosząc ze sobą podarki i dobre słowo". Od dziecka ciągnęło ją do ludu. Zachwycała się wiejskim folklorem, zbierała ludowe pieśni, sama je śpiewała, a ich melodie przepojone smutkiem i tęsknotą wygrywała na fortepianie. Kiedyś nawet, jak wspominał towarzysz jej wiejskich eskapad, uściskami i całusami zmusiła jego matkę, by zatańczyła z nią białoruską lepietuchę, a wszyscy na czele z wioskowym skrzypkiem z zachwytem i śmiechem przyglądali się tym przedziwnym figurom i podskokom. Emilka „kochała w ogóle lud – jak pisał o niej Bolesław Limanowski – zarówno łotewski, jak i białoruski czy litewski, rozumiała go, współczuła silnie jego niedoli [...], usiłowała mu na miarę swych możliwości pomagać".

Wzorem Joanny d'Arc i Grażyny

Fascynowały ją czyny bohaterskich kobiet gotowych oddać życie za ojczyznę. W swoim pokoju zawiesiła więc portret Joanny d'Arc. Ta słynna Dziewica Orleańska w XV wieku podczas wojny stuletniej doprowadziła do zwycięstwa Francuzów nad Anglikami. Platerównie imponowała niezłomna postawa bohaterki i patronki Francji, która za swoje męstwo i wierność religijnym przekonaniom w wieku zaledwie 19 lat poniosła męczeńską śmierć na stosie. Obok portretu Joanny d'Arc widniał też drugi – przedstawiający postać Laskariny Bubuliny, zwanej u nas Boboliną. Była to waleczna Greczynka, która w czasie powstania przeciwko Turkom (1818–1822) ofiarowała cały swój majątek na rzecz walczących rodaków. Sama zaś stanęła na czele trzech okrętów, zgromadziła broń i amunicję dla powstańców na wyspie Spetses i przez dwa lata utrzymywała armię złożoną z jej mieszkańców. W 1821 r. wyruszyła na czele własnej floty na podbój twierdzy Nafplion, zdobywając ją po dwuletnim oblężeniu. Emilię pochłaniały wydarzenia, których uczestniczką była ta nieustraszona kobieta, a które z napięciem śledzili wszyscy patriotycznie usposobieni Polacy, znajdując w losie Grecji paralelę do losu swojej ojczyzny. Panteonu bohaterek walczących o narodową sprawę dopełniał literacki portret Mickiewiczowskiej Grażyny. Dla Emilii ta kobieta-rycerz była ucieleśnieniem patriotycznych ideałów, zwłaszcza gdy w tajemnicy zakładała zbroję swego męża Litawora, by walczyć z Krzyżakami i ocalić ojczyznę od hańby i niewoli. Grażyna stanowiła dla niej niedościgły wzór „niewiasty z wdzięków, bohaterki z ducha".

Emilia namiętnie rozczytywała się w pierwszych tomikach Mickiewiczowskiej poezji. „Prawdy żywe" „Ballad i romansów" przemawiały głęboko do jej duszy, uczyły, że „czucie i wiara" znaczą więcej niż „mędrca szkiełko i oko".

eprasa.pl 12975ab158

„Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;/Łam, czego rozum nie złamie" – powtarzała wersy „Ody do młodości", która stała się dla niej podnietą do czynu. „Pieśń Filaretów" utwierdzała ją w przekonaniu, że każdy cel można osiągnąć, gdy „siłę mierzy się na zamiary, nie zamiar podług sił". Porywające „książki zbójeckie" Goethego i Schillera czy też tomiki wierszy Mickiewicza przywozili Emilii wprost z Wilna jej kuzyni studiujący na tamtejszym uniwersytecie. Nie mogła doczekać się ich powrotu do domu, spragniona opowieści o życiu umysłowym litewskiej stolicy, o działaniu tajnych organizacji studenckich. Duchowo łączyła się z wileńską republiką młodych – z owymi miłośnikami nauki (Filomatami) i cnoty (Filaretami), z patriotycznie usposobioną młodzieżą uniwersytecką i gimnazjalną. Toteż wielkim wstrząsem dla Emilii okazała się wieść o aresztowaniu jej stryjecznego brata Michała, gimnazjalisty wileńskiego, który 3 maja 1823 r. zamanifestował swe patriotyczne uczucia, pisząc na tablicy szkolnej: „Niech żyje Konstytucja 3 maja!". Wówczas w Wilnie rozpętało się prawdziwe piekło. Do miasta zjechał senator Nowosilcow pragnący za wszelką cenę wyśledzić spisek młodzieży i donieść o nim carowi. I rzeczywiście, odkrył istnienie tajnych organizacji młodzieżowych. Emilia boleśnie przeżyła proces Filomatów skazanych w większości na zsyłkę w głąb Rosji. Jej stryjecznego brata Michała czekał straszny los. Wcielony został do karnego Korpusu Litewskiego i zesłany na siedem lat do Gruzji i Kirgizji. Wrócił stamtąd na pół obłąkany, by wkrótce umrzeć na ojczystej ziemi. Los Michała i innych młodych patriotów zapadł głęboko w duszę Emilii i utwierdził ją w przekonaniu, że z takim stanem rzeczy godzić się nie wolno.

Rycerz-Panna ze strzelbą przy boku

A był to już ów pamiętny rok 1830, który wstrząsnął całą Europą. Antyrosyjskie nastroje panujące w polskim społeczeństwie podsycały jeszcze bardziej wydarzenia rewolucyjne we Francji i Belgii. Teraz przyszedł czas na zniewolone Królestwo Polskie. Gdy 19 i 20 listopada prasa podała do publicznej wiadomości treść carskiego ukazu o pełnej mobilizacji armii polskiej i Korpusu Litewskiego, Polacy zrozumieli, że zostaną zmuszeni do tłumienia ruchów narodowowyzwoleńczych na Zachodzie. Czara goryczy przepełniła się... 29 listopada romantyczni patrioci-zapaleńcy ze Szkoły Podchorążych rozpoczęli powstanie... Warszawa stanęła w ogniu walki, a wieść o nocy listopadowej – jak pisze Ignacy Domeyko – „błyskawicą przyleciała znad Wisły do Niemna i Dniestru, po Dniepr oraz Dźwinę i zapaliła do boju Litwę naszą i Żmudź... Wszyscy mieli dość rządów i terroru Nowosilcowa [...]. Młodzież schadzała się nocami w Wilnie, starsi i młodsi patrioci zjeżdżali się na narady, zapaleńcy już zbierali broń, lali kule, dobierali konie na partyzantkę".

Hrabianka Platerówna, podobnie jak jej stryjeczni bracia, z niecierpliwością wyczekiwała hasła do boju. Razem ze swoimi krewnymi Platerami, uczniami dyneburskiej Szkoły Podchorążych, układała plany zdobycia tamtejszej twierdzy. Przyrzekła nawet uroczyście, że „rozkaże kilku tysiącom chłopów rzucić się na Dyneburg", jej kuzyni zaś obiecali wydać twierdzę. Konspiracyjne spotkanie trójcy Platerów zakończyła podniosła ceremonia. Oto, jak pisze Michał Pietkiewicz, „podchorążowie starożytnym obyczajem pasowali nową towarzyszkę spisku na Rycerza-Pannę [...], a że ten rycerz miał być powstańcem litewskim, zamiast przypasać miecz do boku, darowali mu małą strzelbę myśliwską".

Jak to role się odwróciły

Wreszcie powstanie na Litwie wybuchło. 25 marca 1831 r. jako pierwsze chwyciły za broń Rosienie. Emilia rwała się do walki. Obcięła swe długie włosy i nakazała uszycie męskich strojów dla siebie i swej przyjaciółki Marii Prószyńskiej, która towarzyszyła jej w trudach żołnierskiej marszruty. Emilia, uzbrojona w pistolety i sztylet, popędziła z Prószyńską i dwoma powstańcami w stronę Dusiat, do majątku ciotki Apolinary Platerowej. Tam czekali już na nią kuzyni – Władysław i Cezary – zagrzani do boju, pewni zwycięstwa. Równie wielki entuzjazm ogarniał włościan z ich majątku. Na wieść o wybuchu powstania zgromadzili strzelby, wyostrzyli kosy i czekali na znak... A gdy w niedzielę tłumy ściągnęły do kościoła, po odprawionej mszy świętej stanęła przed nimi Emilia Plater w powstańczym stroju. Lud, z którym mocno związana była od dzieciństwa, kochał swoją panienkę i witał ją radosnymi okrzykami. Ona zaś poważna, blada, z błyskiem w oku wzywała wszystkich do walki za ojczyznę. Mówiła, że „w Polsce i na Litwie już się bracia biją, by zostać wolnymi, trzeba więc poprzeć bratnie usiłowania i wypędzić wroga ze swego kraju". Jej słowa poruszyły zebranych. Wielu płakało. Młodzi chwycili za broń, którą poświęconą wyniesiono z kościoła, a już w kwadrans zebrał się cały zastęp uzbrojonych ludzi. Był to oddział Emilii Plater porwany przez nią do walki i posłuszny jej rozkazom. Liczył około 280 strzelców, 60 jeźdźców i kilkuset kosynierów – jak wylicza Bolesław Limanowski. Już nazajutrz „hufiec hrabianki Platerówny" ruszył ku Dyneburgowi i w drodze zaskoczył mały oddział rosyjski, zajmując stację pocztową w Dangielach. Po tym zwycięstwie nastąpiło kolejne – pod Ucianami, gdzie Platerówna zmusiła oddział wroga do ucieczki. W czwartym dniu marszu dotarła w końcu do Jeziorasów, skąd kuzyn Cezary dopiero co przepędził Rosjan. Jako dowódca przybyłego właśnie oddziału, zgodnie ze zwyczajem praktykowanym jeszcze w dawnej Rzeczypospolitej, Emilia wpisała do ksiąg ziemskich i sądowych akt powstania.

eprasa.pl 12975ab158

Razem z Cezarym pomaszerowali na Dyneburg, zamierzając zdobyć tamtejszą twierdzę. Sytuacja jednak skomplikowała się, bo stamtąd właśnie ku południowi zmierzał rosyjski generał Szyrman na czele dwóch batalionów, eskortując transport amunicji do Królestwa Polskiego. Jego to właśnie podjazd spotkał na swej drodze oddział Platerówny. Szyrman postanowił więc działać. Powiadomił o zagrożeniu Dyneburg, sam okopał się w Ucianach i czekał... Tymczasem nadeszły oddziały powstańcze – dowodzone przez Plater, Grotowskiego i Lisieckiego. Przebiegły Szyrman chciał wziąć Litwinów w dwa ognie – z jednej strony miał uderzyć na nich sam, a z drugiej wysłać do ataku oddział z Dyneburga. Tak się jednak nie stało, gdyż o zamiarach Rosjan donieśli Platerównie okoliczni chłopi. To pozwoliło jej na podjęcie szybkiego manewru. Zanim jeszcze siły wroga zdołały się zbliżyć, powstańcy oczekiwali już w gotowości na uderzenie. Teraz role odwróciły się. „Rosjanie – jak pisze Gomulicki – zamiast napadać i bić, sami zostali napadnięci i pobici". Uciekających w popłochu gnano w stronę Dyneburga". W tej właśnie drugiej bitwie pod Ucianami, jak przypomina Straszewicz, „Emilia wykazała nie tylko dzielność żołnierską i dowódczą, ale nawet brawurę". Przegrany Szyrman, spaliwszy za sobą most, pomaszerował ku Żmudzi.

Wyczerpujący bój walecznej hrabianki

Emilia walczyła dalej niestrudzenie. Brała udział w potyczkach pod Imbrodami i Kaletami, to znów w bitwie pod Oniksztami. Powstańcy prowadzili działania partyzanckie. Znienacka atakowali wroga, potem kryli się w lasach, szybko przemieszczali się i znów uderzali z zaskoczenia. Ich małe sukcesy nabierały jednak znaczenia. Ta strategia wojny szarpanej osłabia wroga i utrudnia dostawy amunicji, broni i żywności. W walczących zaś narastała wiara we własne siły. Wola zwycięstwa była ogromna. Wkrótce zrodził się plan odbicia Wilna. Oddziały litewskie miały się połączyć i zdobyć miasto pod wodzą hrabiego Karola Załuskiego. Do jego obozu stacjonującego w lasach poniewierskich 30 kwietnia dołączyła ze swym oddziałem Emilia Plater. Jej przybycie, jak pisał jeden z naocznych świadków, „wywołało [...] ogromny zapał wśród powstańców, zdawało się im, że nowa moc wstąpiła w ich szeregi". Ostatecznie trafiła jednak do wolnych strzelców wiłkomierskich, pośród których znalazła swoich krewnych – podchorążych Ferdynanda i Lucjana.

Gdy właśnie zamierzano uczcić obiadem przybycie nowej towarzyszki broni, nastąpił niespodziewany atak ze strony Rosjan. Mimo przeważającej siły wroga powstańcy okazali nadzwyczajne męstwo. Bastionem obronnym stała się dla nich położona niedaleko obozu góra porosła lasem, z której to przez cztery godziny dawali bohaterski odpór nieprzyjacielowi. Moskalom nie udało się od razu wziąć ich szturmem. Dopiero gdy powstańcom zabrakło amunicji, zaczęli ustępować pola, wycofując się i kryjąc w zaroślach, narażeni na siarczysty deszcz rosyjskich pocisków. Jak podaje Feliks Wrotnowski: „Powstańcy zagrzani męstwem Platerówny, która z zimną krwią i pogardą śmierci biła do wdzierających się nieprzyjaciół... mimo rzęsistego ognia – rzucili się naprzód. Dzielnie wsparci przez strzelców pod dowództwem Kossowskiego, przerwali oskrzydlający manewr wroga... Musieli jednak uchodzić do Bejsagoły. Platerówna zmęczona długim przedzieraniem się do oddziału Załuskiego, potem wyczerpującą fizycznie i szarpiącą nerwy bitwą, pod przykrym wrażeniem przewagi nieprzyjaciół, zasłabła w chwili wycofywania się i nieprzytomna spadła z konia. Gdyby nie błyskawiczna pomoc Pietkiewicza oraz kilku jeszcze »frejszyców« – wpadłaby niezawodnie w ręce Rosjan". Towarzysze walki zanieśli ją do włościańskiej chaty, ale gdy tylko odzyskała siły, pognała konno za powstańcami. Po drodze zebrała jeszcze garstkę zbłąkanych żołnierzy i dotarła wraz z nimi do obozu Załuskiego, a następnie przedzierając się długo przez lasy, stanęła 17 maja w Wiłkomierzu. Tam waleczna hrabianka poznała bohaterską Litwinkę – Marię Raszanowiczównę, młodą nauczycielkę z Inflant, która nie znała wprawdzie elementarnych zasad strategii wojskowej, ale dobrze jeździła konno i radziła sobie z bronią myśliwską. Bycia żołnierzem uczyła się dopiero teraz, w partyzantce, a do swojego oddziału wnosiła młodość, animusz i wesołość. Emilię i Marię połączyła więc ta szczególna więź przyjaźni, jaka powstaje na placu boju, w ogniu walki i jaka połączyć może dwie samotne kobiety wśród tysięcy mężczyzn.

„Dolina najpiękniejsza w świecie"

Gdy strzelcy wiłkomierscy wraz z Platerówną dołączyli do oddziału Konstantego Parczewskiego, dotarła do nich wieść o stacjonującej w Mejszagole piechocie rosyjskiej. Dowódcy litewscy – Horodyński, Parczewski, Potocki i Giedroyć – postanowili zaatakować Moskali, by zdobyć broń. Krwawa bitwa przyniosła ciężkie straty. W morderczym ogniu dział artyleryjskich Platerówna zachowała jednak zimną krew i część rozbitego oddziału Horodyńskiego bezpiecznie doprowadziła do Olan. Wycieńczeni walką żołnierze czuli się przegrani i zrezygnowani. Niebawem jednak miał wstąpić w nich nowy duch. Bo właśnie w maju 1831 r. na Litwę nadciągały wojska polskie pod wodzą generała Chłapowskiego, do którego miała dołączyć Emilia. I tu właśnie wracamy do początku naszej opowieści o dzielnej Platerównie, która teraz znalazła się w oddziałach skierowanych do Kowna. Emilia była już tak znana w tych stronach, że pani Kowalska, dawna znajoma Mickiewicza, wydała nawet na jej cześć bal. Wielkim przeżyciem dla naszej bohaterki stała się chwila zadumy w „dolinie kowieńskiej", o której czytała w Mickiewiczowskiej „Grażynie", że położona wśród gór, ubarwiona kwieciem,

eprasa.pl 12975ab158

przerżnięta strumieniami jest najpiękniejszym miejscem na świecie. Wreszcie mogła osobiście doświadczyć poetycznej aury tego urzekającego zakątka w towarzystwie Franciszka Mickiewicza, brata naszego romantycznego wieszcza. Gdy poeta Antoni Edward Odyniec, przyjaciel Adama, usłyszał o tym niezwykłym spotkaniu, stworzył piękny wiersz o niezłomnej Emilii, oddając jej samej głos:

Tyś jest przyjaciel, brat Mickiewicza...
Jeśli go kiedy jeszcze zobaczysz,
Gdy sobie o mnie przypomnieć raczysz,
Powiedz, że jedna dziewczyna młoda,
Gdy przeczytała pieśń Wallenroda,
Wzięła broń w rękę, nie żeby słynąć,
Lecz, by za Polskę walczyć i zginąć!
Może, gdy umrę pod tą potwarzą,
Jak Orleanki pamięć znieważą,
Lecz żadna z Polek, żaden z Litwinów,
Wiem, że z mych szydzić nie będą czynów!

Niedługo już ta cicha romantyczna dolina kowieńska wypełnić się miała chrzęstem oręża i odgłosami bitwy. „Atak nieprzyjaciela był tak prędki i silny – zdaje relację z bitwy pod Kownem Ignacy Domeyko – że [...] część padła, część poszła w niewolę, reszta ledwo zdołała przejść przez most nad Wilią, gdy zaczęły za nami polatywać kule i pękać granaty, a okrążać sotnie kozaków [...].Tu się zdarzyło, że panna Plater, którą przed chwilą widziałem nieustraszoną, pełną odwagi pod kartaczowym ogniem, nagle spadła z konia i w tym momencie dopędza ją Macewicz, sam zsiada, wsadza ją na koń i uprowadza ją razem z jej przyjaciółką do lasu przed nadbiegającymi kozakami...".

Ostatnia bitwa

Sytuacja powstańców z dnia na dzień stawała się coraz trudniejsza. Z początkiem lipca oddziały walczące o Szawle poniosły dotkliwą klęskę. Odwrót naszych wojsk był przerażający. „Straszna była to noc – wyznaje jeden z jej uczestników – bo na taborze rannych sparło się całe wojsko, a z rozkazem przyjechać na czoło kolumny ani złamać tej zapory nie było sposobu: bagniste fosy, bagna i lasy ciągnęły się wzdłuż gościńca [...]; jęk rannych, huk komendy, która nagliła do marszu [...], rozkazy adiutantów i posyłek, które się przedzierały co chwila na czoło kolumny, do tego noc ciemna i deszcz słotny [...] to wszystko razem wprawiało cały korpus w jakąś rozpacz...

– Dobij! dobij! – krzyczał ciężko ranny, gdy się pod nim złamał wózek [...]. Inny wołał znowu straszliwym głosem:

– Wody! wody! Bo konam!

Wiarus, co się ulitował nad nim, nie miał w czym podać wody, więc mu podał manierkę z wódką; napił się i skonał, a zmarłego wraz z wózkiem, koniem i woźnicą zrzucono z grobli do rowu, aby nie zajmowali drogi...".

Była to ostatnia bitwa powstańcza, w której uczestniczyła Emilia Plater. Zdołała szczęśliwie wyrwać się z zasadzki rosyjskiej i doprowadzić w bezpieczne miejsce część ocalałego taboru z kasą, rannymi i bagażami korpusu. Toteż w raporcie złożonym po bitwie podano, że „szczególnym męstwem i odwagą odznaczyła się kapitan Emilia Plater". Po krwawej bitwie pod Szawlami stało się jasne, że dalsza walka na Litwie jest bezskuteczna. Coraz bardziej odczuwalny był brak amunicji, rosnąca przewaga nieprzyjaciela, siła jego artyleryjskiego rażenia. Platerówna ciągle jednak nie traciła nadziei. Nie wierzyła w ostateczną klęskę powstania. Gdy więc Chłapowski doprowadził wojsko do granicy z Prusami, nakazując kapitulację, wówczas, rozgniewana tym rozkazem, rzuciła w jego stronę słowa pogardy: „Szczęśliwej drogi, jenerale! Jedź sam. Co do mnie – dopóki iskrę życia czuć będę w piersiach – bić się będę za Ojczyznę".

W tej sytuacji Platerówna wraz z Cezarym i Marią postanowili przedzierać się w wieśniaczym stroju wprost do Królestwa Polskiego. Jadąc konno prawie 10 dni przez leśne ostępy, Emilia czuła się już bardzo wyczerpana, niewiele mówiła, traciła siły... i w pewnym momencie spadła z konia. Ciężko chorą Maria i Cezary zanieśli do chaty leśnika, po czym przewieźli do sąsiedniego dworku rodziny Abłamowiczów w Ustianowie. Ten biały dwór, gdzie znalazła schronienie i troskliwą opiekę, okazał się miejscem, w którym dokonała swego żywota. Stąd też wysłała ostatni list do swej ciotki Marii Mohlówny, w którym padły znamienne słowa: „Los mój od losu Polski zależy...". Ów list pisała w chwili, gdy wydawać się mogło, że powoli dochodzi do zdrowia. I byłoby może tak się stało, gdyby nie nagła wieść o kapitulacji Warszawy, o upadku powstania. Był to dla Emilii cios śmiertelny. „Ugodzona nim w samo serce – jak pisał Gomulicki – męczyła się jeszcze kilka tygodni, ale było to już tylko powolne konanie. Zakończyła swój młody, piękny, czci powszechnej godny żywot 23 grudnia 1831 r. – opatrzona Świętymi Sakramentami i ściskająca stygnącą dłonią rękojeść szabli...". Jej romantyczną legendę stworzył nasz największy poeta w wierszu „Śmierć pułkownika":

W głuchej puszczy, przed chatką leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona;
A u wrót stoi straż Pułkownika,
Tam w izdebce pułkownik ich kona. [...]
Na pastuszym tapczanie on leży –
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas, dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne dziewicze ma lica?
Jaką pierś? – Ach, to była dziewica,
To Litwinka, dziewica-bohater!
Wódz Powstańców – Emilia Plater. ■

eprasa.pl 12975ab158

Piotr Lisiewicz

W numerze „Nowego Państwa" ukazującym w się okolicach Święta Niepodległości zamieszczamy dziś krótki, ale ważny tekst Stanisława Cata-Mackiewicza poświęcony Józefowi Piłsudskiemu i Romanowi Dmowskiemu, dwóm polskim mężom stanu, którzy w odmienny sposób przyczynili się do odzyskania przez Polskę niepodległości. Artykuł ten Cat napisał tuż po śmierci Dmowskiego 2 stycznia 1939 r.

W ciekawy sposób ujmuje on różnice między dwoma politykami, odrzucając powierzchowne interpretacje na temat „romantyzmu" i „realizmu". Wskazuje on, w jaki sposób te dwie koncepcje mogły i mogą wzajemnie się uzupełniać, a nie w wyniku wzajemnych waśni osłabiać Polskę. Te słowa mają swoją wartość także z punktu widzenia dzisiejszych sporów po niepodległościowej stronie barykady.

Rzecz jasna, nie należy ich odnosić do głośnego także przy okazji 11 Listopada sporu pomiędzy obozem niepodległościowym a współczesną targowicą, która miała także w II RP swój odpowiednik w postaci Komunistycznej Partii Polski, ale jej rola sprowadzona została wówczas do odpowiednich proporcji.

I jeszcze jedno: niestety, powojenne wybory wybitnego polskiego publicysty politycznego, jakim był Cat, były zdecydowanie mniej trafne niż jego brata Józefa, ale to już temat na zupełnie inną opowieść.

Stanisław Cat-Mackiewicz

Józef Piłsudski i Roman Dmowski. Ofensywa i obrona

Porównanie Józefa Piłsudskiego do działania ofensywnego, a Romana Dmowskiego do defensywnego wydaje mi się być o wiele głębsze i bardziej trafne niż oklepane mówienie o jednym romantyk, a o drugim realista. Obaj byli romantykami w swej miłości do Polski, obaj byli realistami w wyborze metod działania.

Józef Piłsudski i Roman Dmowski!

Józef Piłsudski była to ofensywa naszego narodu. Odwracał koło polskiej historji w tył aż do XVII wieku, do Polski mocarstwowej. Szedł na Kijów. Nie bał się sojuszów Polski z innemi narodowościami w tem przekonaniu, że indywidualność polska, jako silniejsza, i tak zwycięży.

Roman Dmowski była to defensywa. Umacniał, betonował nasze linje obronne. Przepajał masy patryjotyzmem i nacjonalizmem polskim. Wyrzucał z wnętrza narodu wszystko co obce, co szkodliwe, co niepolskie. Propagandował polskość wśród małomieszczaństwa, wśród chłopa, a jak te warstwy tej propagandy potrzebowały, to z tego nie zdaje sobie sprawy młodzież niepamiętająca lat z przed wielkiej wojny.

Józef Piłsudski to czynnik dynamiczny w polityce polskiej, Roman Dmowski to czynnik statyczny, obronny, umacniający.

To porównanie Józefa Piłsudskiego do działania ofensywnego, a Romana Dmowskiego do defensywnego wydaje mi się być o wiele głębsze i bardziej trafne niż oklepane mówienie o jednym ro-

eprasa.pl 12975ab158

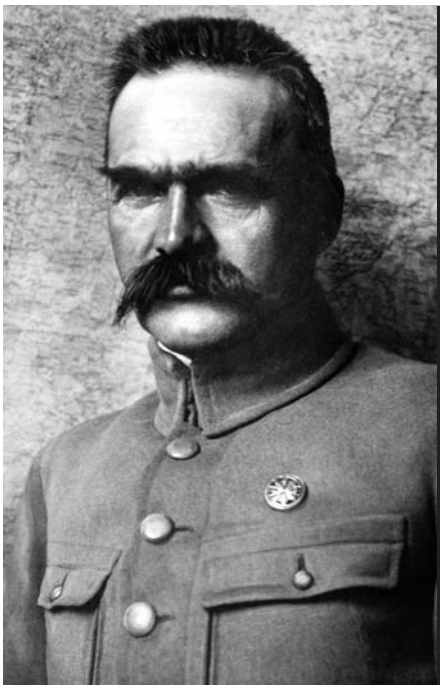

Józef Piłsudski i Roman Dmowski byli przeciwnikami. Po roku 1905 zwyciężył politycznie Dmowski, w roku 1919 i 1926 – Piłsudski. Ale Piłsudski i Dmowski byli przeciwnikami, antagonistami, ludźmi, którzy się nawzajem zwalczali. Nie byli wrogami. Mieli innych wrogów: zaborców i bolszewików.

mantyk, a o drugim realista. Obaj byli romantykami w swej miłości do Polski, obaj byli realistami w wyborze metod działania. Natomiast ofensywa i obrona, to przemawia daleko bardziej do przekonania. Piłsudskiego widzimy zawsze na dalekich kresach, Piłsudski mówi o bramie smoleńskiej, jest razem z Chodkiewiczami, Batorym, Jagiellonami, Dmowskiego widzimy zawsze w Poznańskiem z chłopem polskim, tam gdzie ludność polska jest najbardziej zwarta, gdzie nie ma Żydów, ale też gdzie nacisk z zewnątrz jest najsilniejszy.

Ale ofensywa się nie udaje, jeśli nie ma bazy solidnej. Można powiedzieć, że Piłsudski zwyciężał swoim orężem na wschodzie, ale gdy propaganda bolszewicka odbijała się od chłopa podlaskiego, od szlachty mazurskiej, to już było zwycięstwo Dmowskiego.

Józef Piłsudski i Roman Dmowski byli wielkimi przeciwnikami. Piłsudski wyciągnął zresztą serdeczną dłoń do „drogiego Pana Romana" po uzyskaniu przez Polskę Niepodległości. Nie dziś jest czas rozważać, dlaczego do zgody nie doszło.

Wyobraźmy sobie sztab i wyobraźmy sobie dwóch oficerów, z których jeden przygotowuje operację ofensywną, drugiego zadaniem jest obrona. Nic dziwnego, jeśli między tymi oficerami wybuchają różnice poglądów. Jednemu może zależeć na rozciągnięciu skrzydeł, drugiemu na zwężeniu linji obronnej.

Józef Piłsudski i Roman Dmowski byli przeciwnikami. Po roku 1905 zwyciężył politycznie Dmowski, w roku 1919 i 1926 – Piłsudski. Ale Piłsudski i Dmowski byli przeciwnikami, antagonistami, ludźmi, którzy się nawzajem zwalczali. Nie byli wrogami. Mieli innych wrogów: zaborców i bolszewików.

Niestety po śmierci Józefa Piłsudskiego, największego z Polaków na całej przestrzeni naszych dziejów – jak słusznie stwierdził Pan Prezydent – mieliśmy do czynienia z aktem małości w obozie jego przeciwników, w redakcji gazety należącej do obozu Romana Dmowskiego.

Niestety dziś słyszymy również o aktach małości.

Policja w Poznaniu każe zdjąć chorągwie narodowe z krepą. Dlaczego? Wystarczy zjazd oddziału „Strzelca" lub oddziału Loppu, aby można było wywieszać chorągwie narodowe. Czyż nie można ich wywiesić wtedy, gdy umiera ten, kto imieniem tej Rzeczypospolitej podpisał Traktat Wersalski, był jej ministrem spraw zagranicznych?

I kiedyż to się dzieje? Oto zamieszczamy telefon o planach Ozonu w sprawach narodowościowych. Czyjaż to ideologja unosi się nad temi projektami? Czy raczej Wielkiego Marszałka, czy raczej Dmowskiego? Raczej to drugie. Rzecz inna, że śp. Roman Dmowski zaprojektowałby te plany o wiele inteligentniej. ■

_____

Przedruk za: „Słowo", Wilno, 4 stycznia 1939, nr 3.

eprasa.pl 12975ab158

Brawurowe kino zrobione oszczędnymi środkami wyrazu. „Jestem mordercą" to film dedykowany fanom thrillerów, policjantom źle wykonującym swoją pracę, ale przede wszystkim... sceptykom polskiego kina. A Srebrnego Lwa dla Macieja Pieprzycy na Festiwalu Filmowym w Gdyni traktować należy w kategorii absolutnego minimum. Film od 4 listopada w kinach.

Sylwia Krasnodębska
Polskie Radio

Czy ja mordowałem te kobiety?

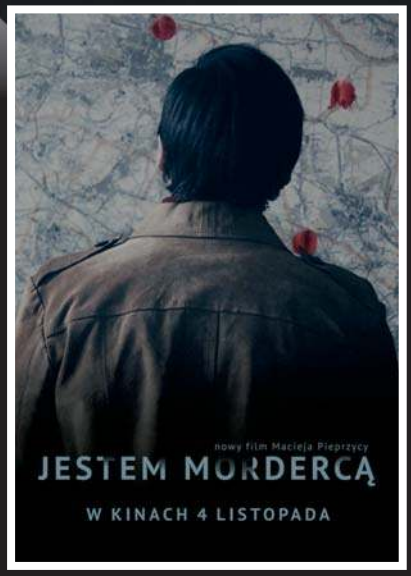

fot. mat. pras.

eprasa.pl 12975ab158

Mój bohater boleśnie przekonuje się, jak banalne jest zło i jak łatwo przenika do naszego życia" – mówił podczas konferencji prasowej w Warszawie 10 października, Mirosław Haniszewski, odtwórca milicjanta, który szuka seryjnego mordercy o pseudonimie „Wampir".

Socjalizm czerwony jak krew

Koniec lat 70. Kraj zalany jest, jak słychać w filmie, „socjalizmem czerwonym jak krew". Na Śląsku grasuje seryjny morderca, którego ofiarą padają kobiety. Giną one zawsze od uderzenia w tył głowy lub kolejnych zadawanych ciosów. Ofiary są w różnym wieku. W czasie, gdy milicjanci, tonąc w opasłych tomach akt i gęstym dymie papierosowym, głowią się nad znalezieniem wyjątkowo brutalnego zabójcy, w kolejnym ponurym miejscu znajdowane są zwłoki następnej kobiety. W końcu śledztwo przejmuje młody milicjant Janusz Jasiński (Mirosław Haniszewski). Mężczyzna dość krótko zdaje się przerażony odpowiedzialnością i przygnieciony ciężarem sprawy, którą żyje nie tylko Śląsk, lecz także cały kraj. Jego słabości powoli przekuwają się w sukcesy, a młodość i odwaga – w niekonwencjonalność metod działania. Jasiński, wzorując się na pracy śledczych zza oceanu, podejmuje próby stworzenia profilu psychologicznego mordercy. Jest to niemal tak rewolucyjne jak użycie komputera do weryfikacji danych potencjalnych podejrzanych. Pamiętajmy, że jesteśmy w czasach, w których nie dziwiło, gdy śledczy dotykał nagimi dłońmi narzędzia zbrodni. W działaniu młodego oficera widać więcej szaleństwa niż kierowania się rutynowymi procedurami.

Pieprzyca – Srebrny Lew

Reżyser „Chce się żyć" podniósł wysoko poprzeczkę i z nonszalancją oraz pewnością siebie przez nią przeskoczył. Bardzo prostymi zabiegami i skromną formą zafundował widzowi festiwal emocji. Sukces jest zawsze, gdy działa to właśnie w tę stronę. Gdy forma nie przerasta treści. Gdy pewien ascetyzm i naturalność hipnotyzują widza i każą mu wierzyć w każdy obrazek i każdą scenę. Autor scenariusza i reżyser jest też bardzo oszczędny w tłumaczeniu meandrów opowiadanej historii. Poważnie traktuje widza, dając mu niejednokrotnie zagadkę do rozwikłania. Nie podaje gotowych rozwiązań. Ale też nie wprowadza w zakłopotanie niedopowiedzeniami. Maciej Pieprzyca rezygnuje też z powtarzającego się często w filmach kryminalnych motywu, by pokazywać widzowi choćby sylwetkę złoczyńcy w akcji. Nie ukazując twarzy mordercy, zaznacza jego obecność, „sprzedając" odbiorcy pewne charakterystyczne cechy bandyty. W ten sposób rzuca rękawicę widzowi, który zaczyna zabawę w detektywa. W „Jestem mordercą" w czasie, gdy trwa nieskuteczne śledztwo, morderca nie istnieje na ekranie. Tak jak niewiele wiedzą o nim oficerowie, tak mało wie widz. Prosty zabieg, ale niezwykle skuteczny. Twórcom udaje się też najtrudniejsza bodaj sztuka. Wzbudzenie sympatii dla zbrodniarza i niechęci do reprezentanta „jasnej strony mocy". Takie odwrócenie emocji dzieje się bardzo nienachalnie. Pytanie tylko, na jakim etapie widz zorientuje się, że wpadł w zasadzkę pieczołowicie zastawioną przez Macieja Pieprzycę? Z ekranu bije dojrzałość tego filmowca. Serwuje nam on kino inteligentne i mocne. Opowieść spójną i dobrze zakotwiczoną w PRL-owskiej rzeczywistości. Korelacja wątku głównego z pobocznymi jest absolutnie wzorcowa. Pieprzyca wykorzystuje potencjał opowieści do stworzenia również filmu psychologicznego. Warto tu wspomnieć scenę, w której oskarżony o morderstwa mężczyzna pyta oficera na moment przed wykonaniem kary śmierci, czy to on naprawdę zabił te kobiety, bo sam nie jest już pewien...

Ale reżyser puszcza też oko do widza, gdy np. korzysta z motywu „żony porucznika Columbo", która dzieląc się z mężem pozornie nieznaczącą refleksją, naprowadza go na trop prawdziwego zabójcy. Pieprzyca zadbał też o to, by kluczowe sceny w filmie miały taką moc oddziaływania na widza, że można je jedynie porównać do nokautu na ringu bokserskim.

Gdzie jest wampir

Film inspirowany jest prawdziwymi wydarzeniami. Faktycznie sprawa „Wampira z Zagłębia" nie została wyjaśniona. Jego ofiarami śmiertelnymi było 14 kobiet. Śledztwo w sprawie trwało ponad dwa lata. Jedną z ofiar mordercy była bratanica Edwarda Gierka. 18 września 1974 r. rozpoczął się pokazowy proces. W jego wyniku skazano trzech braci Marchwickich. Zdzisława i Jana na karę śmierci, Henryka na karę 25 lat pozbawienia wolności. Ustalono, że sprawcą wszystkich morderstw był Zdzisław Marchwicki. Jana oskarżono o kierowanie jednym zabójstwem. W latach 90. zaczęto podważać decyzję sądu. Pojawiły się zeznania oficerów milicji i nowe ustalenia sprzeczne z wyrokiem. Do dziś nie ma jasnej odpowiedzi, kto faktycznie był „Wampirem z Zagłębia". ■

eprasa.pl 12975ab158

Krzysztof Karnkowski

Pociąg do Pusan

Plakat „Pociągu do Pusan" na pierwszym planie przedstawia uciekających pośród płonącego dworca bohaterów. Dopiero po chwili zauważyć można, że prawdziwym zagrożeniem nie jest ogień, lecz dziwne postaci, kryjące się kilkanaście kroków za nimi...

eprasa.pl 12975ab158

Kilka miesięcy temu w koreańskich kinach zaskakującą karierę zrobił nawiązujący do tradycji „Egzorcysty" horror „Kapłani" („The priests"), o którym pisałem już na łamach „Nowego Państwa". Wkrótce okazało się, że to niejedyny film tego gatunku, który przebił w 2016 r. barierę 10 mln widzów w kinach i nieźle zamieszał w koreańskim box-office. „Pociąg do Pusan" („Train to Busan", znany również jako „Ostatni pociąg") Yeon Sang-Ho porwał w niezwykłą i krwawą podróż najpierw widzów krajowych, później również zagranicznych, by doprowadzić do amerykańsko-francuskiego wyścigu o prawo do realizacji zachodniej wersji tego niesamowitego obrazu.

Walka z żywiołem na Diamentowym Moście

Pusan (międzynarodowa transkrypcja z koreańskiego – Busan) to druga co do wielkości koreańska metropolia, licząca ponad 3,5 mln mieszkańców. Miasto jest głównym portem Korei Południowej, centrum wymiany handlowej z Japonią i atrakcją turystyczną. Pusan odegrało swoją rolę w historii Półwyspu Koreańskiego i całego świata, gdy w 1950 r. stało się ostatnim skrawkiem kraju niezajętym przez wojska komunistyczne, następnie zaś punktem, z którego Koreańczycy wraz z Amerykanami i siłami ONZ prowadzili odzyskiwanie gruntu. Położenie miasta naraża je na klęski żywiołowe. Ostatni tajfun nawiedził Pusan na początku października. Co znaczące, gdy na Twitterze pojawiły się wpisy, opatrzone hasłem #PrayForBusan („Modlitwa za Pusan"), bardzo wiele osób nawiązywało do głośnego już wówczas filmu. „Jak szybko »Pociąg do Pusan« zmienił się w »Modlitwę za Pusan«" – brzmiał chyba najbardziej poruszający dla mnie tweet. Na co dzień, przynajmniej dla turystów, Pusan to złote, w nocy zaś podświetlane na wiele kolorów plaże, zdające się wyrastać prosto z oceanu, jarzące się tysiącami świateł nowoczesne wieżowce i wyjątkowej urody Diamentowy Most. Teza, że koreański port jest najpiękniejszym miastem na świecie, znajduje wielu oddanych zwolenników. Oglądając wielobarwne zdjęcia, nietrudno nie odmówić im pewnych racji. Tytułowy pociąg nigdy jednak do Pusan nie dojedzie...

Nim jednak do niego wrócimy, warto przypomnieć inny film, „Haeundae", poza granicami Korei znany jako „Tsunami", w reżyserii Yoon Je-kyoona. Niszczycielska fala dociera tu do tytułowej Haeundae, nadmorskiej dzielnicy Pusan. Potężne fale przewalają się przez miasto, by spaść na ulice razem z powodzią szkła i odłamków. Dla samej sceny ataku żywiołu warto obejrzeć film z 2009 r., w którym główną rolę gra Ha Ji-won, polskim widzom znana przede wszystkim z roli cesarzowej Ki. Gdy kreowana przez nią Gang Yeon-heui walczy, by nie utonąć w płynącej portową ulicą rzece błota, inny z bohaterów toczy bój o przetrwanie na wspomnianym Diamentowym Moście, i choć akurat ten fragment wyróżnia się dużym potencjałem komicznym (tak łączyć te dwa odległe elementy potrafią chyba tylko Azjaci), scena zagłady wspaniałej perły architektury robi piorunujące wrażenie.

Krwawe łowy na torach

Siłą koreańskiego kina jest swoista międzygatunkowość. „Pociąg do Pusan" na swój sposób jest filmem katastroficznym. Oglądamy bohaterów, którzy uwięzieni na niewielkiej, choć ruchomej przestrzeni, muszą stawić czoła niebezpieczeństwu. Widzimy zderzenia różnych typów charakterów i obserwujemy przemianę bohaterów. Egoizm zmienia się w przyjaźń lub eksploduje w sposób przerażający, niemniej od rozgrywającej się w koło rzezi, powstają więzi między obcymi sobie dotąd ludźmi. Gardzący specjalistą od funduszy prosty, lecz poczciwy osiłek powierzy mu pod opiekę swoją ciężarną żonę, sam opiekując się przez spory fragment filmu jego małą córeczką. Chłopak ze szkolnej drużyny baseballowej w obliczu narastającej grozy z pełnym poświęceniem pokocha obojętną mu dotąd namolną cheerleaderkę. Ale akurat elementów szkolnego czy jakiegokolwiek innego romansu tu nie znajdziemy.

Plakat „Pociągu do Pusan" na pierwszym planie przedstawia uciekających pośród płonącego dworca bohaterów. Dopiero po chwili zauważyć można, że prawdziwym zagrożeniem nie jest ogień, lecz dziwne postaci, kryjące się kilkanaście kroków za nimi. Tu dochodzimy do sprawy najważniejszej – „Train to Busan" to film o zombie. Siłacz (grany przez jednego z bardziej charakterystycznych koreańskich aktorów, Ma Dong-seoka) z pyskatą żoną w ciąży, biały kołnierzyk świeżo po rozwodzie, w przeddzień urodzin córeczki wiozący ją na spotkanie z matką, szkolna drużyna z jedną fanką i cała galeria innych postaci, z których ważną rolę odegrają jeszcze tajemniczy mężczyzna o wyglądzie bezdomnego i dwie siostry na emeryturze, spotkają się na pokładzie supernowoczesnego, eleganckiego pociągu przemierzającego Koreę. Gdy tylko bohaterowie znajdują się w przedziałach, a pociąg rusza, dziewczynka zauważa, że na peronie ktoś rzuca się na człowieka i przegryza mu gardło, jednak nikt poza nią tego nie widzi. Obrazy za oknem zmieniają się przecież tak szybko...

Pierwsza zarażona postać przedostaje się do składu jeszcze na dworcu, tuż przed gwizdkiem konduktora, by gdzieś w przejściu między wagonami stracić resztę człowieczeństwa i zabić przerażoną jej stanem stewardesę. Później zagłada rozpędza się niczym sam pociąg, obejmując kolejne wagony. Pierwszy dworzec na trasie, mający być wybawieniem, okazuje się jedynie przypieczętowaniem koszmaru – na zewnątrz zainfekowani są już wszyscy. Wściekli, pokrwawieni, agresywni i przeraźliwie bezmyślni polują na nielicznych ocalałych, którzy po ugryzieniu dołączają do tej upiornej armii. Wszystko rozgrywa się w znanym schemacie, jednak siła filmu tkwi we wszystkim, co zostało do niego dobudowane – w dużym rozmachu, ciekawym i wiarygodnym tle psycho-

fot. nat. pras.

eprasa.pl 12975ab158

logicznym bohaterów, grze na emocjach widza, która, mimo uciekania się do ogranych chwytów (kto nie będzie kibicować małej dziewczynce otoczonej przez monstra?), wciąga i każe wybaczyć to, co w filmie wtórne. Niektórzy bohaterowie będą skłonni do poświęceń, nawet tych największych. Kilku z nich, jak biały kołnierzyk, dopiero w trakcie szaleńczej jazdy w sobie tę skłonność wyrobi. Ważną, choć rzadko pokazywaną figurą będzie konduktor, jak możemy się domyślać, chrześcijanin (w jednej z końcowych scen polecający ocalałych podróżnych Bożej opiece), do końca odpowiedzialny za swoich pasażerów. Nie zabraknie też czarnego charakteru, pewnego siebie szefa firmy transportowej, który dla zyskaniu kilku minut przewagi nad żywymi trupami, gotów jest poświęcić życie każdego, kto znajdzie się w zasięgu ręki.

Zdecydowany rekordzista kinowej frekwencji

Krytycy (trzeba przyznać, że nieliczni) nazywają „Pociąg..." „»Snowpiercerem« z zombie". Faktycznie, nie sposób uciec od pewnych skojarzeń z międzynarodowym przebojem z 2013 r. w reżyserii Koreańczyka Joon-ho Bonga. Jego film, zrealizowany na podstawie komiksu, opowiadał o pociągu, w którym jedyni ocaleni ludzie podróżowali przez świat skuty lodem, zaś ich pociąg stał się odrębnym światem-miniaturą, podzielonym na kasty, z własnym aparatem terroru, autorytarną władzą, quasi-religijnym kultem jednostki i podskórną rebelią. U Yeon Sang-Ho tego wszystkiego nie ma, mamy jednak kojarzące się ze „Snowpiercerem" sceny przedzierania się przez kolejne wagony, pełne tym razem nie zbrojnych sił władzy, lecz krwiożerczych zombie. „Train to Busan" zbiera zresztą lepsze recenzje, może dlatego, że nie jest tak nachalnie promowany poprzez porównanie do światowych arcydzieł, takich jak „Łowca androidów" i „Matrix".

Chyba bardziej doceniony został u nas inny film Joon-ho Bonga – „Potwór", często przypominany przez telewizję monster movie, który ze „Snowpiercerem" łączy istotny element obsady – w obu obrazach para Kang Ho-song i Ko Ah-sung występuje jako ojciec i córka, tyle że w drugim, międzynarodowym filmie są oni jedynymi widocznymi dłużej na ekranie aktorami z Korei. „Potwór" był również, w przeciwieństwie do „Snowpiercera", dziełem autentycznie przełomowym, bardzo popularnym w swoim regionie świata i zdecydowanym rekordzistą kinowej frekwencji w swojej ojczyźnie. Być może swą popularność zawdzięczał połączeniu horroru z poruszającą opowieścią o więziach rodzinnych, lecz także krytyką przemian społecznych w Korei i politycznej oraz militarnej zależności od Amerykanów.

Odrobina propagandy nie zaszkodzi

Ten ostatni wątek mocno eksploatuje inny koreański przebój, mniej u nas znana „Grypa" (tytuł koreański „Gam-gi", tytuł międzynarodowy „Flu") Kima Sung-su. W tym filmie, noszącym zresztą pewne cechy propagandy, przystojny i mądry prezydent musi ochronić swój naród nie tylko przed zbierającą śmiertelne żniwo chorobą, lecz także przed Amerykanami, wysyłającymi na chorych bombowce, by uniemożliwić rozprzestrzenianie się wirusa. „Grypa" robi wrażenie, czasami wychodzi w niej swoista azjatycka bezkompromisowość, nie wydaje mi się, by zachodni twórcy zdecydowali się na niektóre, co bardziej nieprzyjemne sceny, jest to jednak inna liga niż „Tsunami" czy „Pociąg do Pusan". Bliżej jej do innego koreańskiego dramatu katastroficznego, „Yeongasi" (na Zachodzie pod tytułem „Deranged", czyli „Obłąkani") Parka Yeong-woo. Park kreśli obraz kraju pustoszonego przez zmutowanego zwierzęcego pasożyta atakującego i zabijającego ludzi, wyhodowanego przez grupę chciwych naukowców z zamkniętego ośrodka badawczego korporacji farmaceutycznej.

Jeśli jednak szukać odniesień kolejowych, „Pociąg do Pusan" budzi skojarzenia z jeszcze jednym, poza „Snowpiercerem", filmem. To wydany wiele lat temu również w Polsce, na fali chwilowego zainteresowania azjatyckim horrorem wywołanego przez „Ring", horror „Redeye" (2005, reż. Kim Dong-bin). Ten trochę zapomniany obraz przywodził na myśl kolejowe opowiadania naszego własnego przedwojennego prekursora horroru, Stefana Grabińskiego. Pociąg, którego jeden z wagonów przed laty brał udział w katastrofie kolejowej, wyrusza w swój ostatni kurs. Jako stewardesa zaczyna w nim pracę dziewczyna, której ojciec zginął w tamtym wypadku. Nowoczesne wagony stopniowo zmieniają się w czarne, wypalone blaszane pudła, a żywi pasażerowie mieszają się z duchami ofiar. Historia sprzed lat nie znalazła bowiem dotąd jeszcze swojego zakończenia.

Koreańczykom przytrafiły się też wcześniej dwie bardzo dobre etiudy na temat zombie – znakomita satyra społeczna „Brave new world" Yim Il-sunga, współtworząca film „Księga zagłady" („Doomsday Book", 2012), będąca zresztą czymś w rodzaju koreańskiego kina w pigułce, i rasowy horror „Ambulans w strefie śmierci" braci Kim ze zbioru nowel filmowych „Horror stories". Wróćmy jednak do naszego pociągu pełnego zombie.

„Pociąg do Pusan" to fabularny debiut Yeon Sang-ho, reżysera wcześniej specjalizującego się w ponurych krótko- i pełnometrażowych animacjach, z których warto wyróżnić „The Fake" z 2013 r., opowieść o mieszkańcach małej wsi, oszukanych przez fałszywą wspólnotę religijną. Z pierwszego zmierzenia się z pracą za kamerą i z żywymi aktorami Yeon wyszedł zwycięsko, jednak uzupełnił główny film animowanym prequelem „Seul Station", który w kinach pojawił się już miesiąc po premierze „Pociągu". Wielka popularność tego ostatniego pozwala mieć nadzieję, że zobaczymy kiedyś ten film również w Polsce, zanim jeszcze wezmą się za niego zachodnie kinematografie. Czy są Państwo gotowi na tę podróż? ■

eprasa.pl 12975ab158

Sylwia Krasnodębska
Polskie Radio

Komedie romantyczne są dla mężczyzn

Czy trzeba być kobietą, by napisać dobry romans? Nie, choć czasem warto się za nią przebrać. Na deskach polskich teatrów w kilku miastach w kraju wystawiany jest spektakl „Nikt nie jest doskonały" w reżyserii Piotra Dąbrowskiego. Tekst Simona Williamsa interpretowało wielu reżyserów w Polsce i na świecie. Adaptacji może być wiele, ale prawda o miłości jest jedna.

W tej komedii romantycznej wszystko jest jasne. Od pierwszej sceny wiemy, kto się w kim zakocha. W ciemno odgadnąć też można, czy historia będzie miała szczęśliwe zakończenie. I bardzo dobrze, że tak jest. Premiera spektaklu odbyła się 16 października w warszawskim Teatrze Buffo.

Leonard (Wojciech Błach lub Jacek Rozenek) to nieco zakompleksiony, podstarzały duchem i jeszcze nie najgorszy ciałem ojciec dorastającej Dee Dee (Michalina Sosna lub Marta Chodorowska). Jest samotny i wrażliwy. Nie wiadomo, czy to te cechy sprawiają, że zaczyna pisać pod pseudonimem powieść miłosną. Tekstem zainteresuje się niebawem Harriet (Magdalena Waligórska lub Marta Chodorowska), przebojowa singielka z wydawnictwa „Miłość jest wszędzie". Kobieta jest pewna, że książka z takim tekstem szybko zamieni się w bestseller. Jest też pewna, że autor takiego tekstu musi być kobietą. Przecież faceci nie znają się na miłości, a już na pewno nie potrafią jej wyrażać. Leonardowi nie pozostanie nic innego, jak założyć sukienkę i nie wyprowadzać Harriet z błędu. W grę wchodzi bowiem spora kwota honorarium za tekst. Na szczęście okaże się, że nie tylko o pieniądze tu chodzi.

Wielu recenzentów skupia się na komediowym wątku męskiej przebieranki. Publiczność śmieje się na widok Leonarda w sukience i kobiecym makijażu. Spektakl porównywany jest do polskiej komedii z 1972 r. „Poszukiwany, poszukiwana", filmu z Dustinem Hoffmanem pt. „Tootsie" czy „Pół żartem, pół serio". Ale ograniczanie odbioru opowieści do motywu przebieranki jest krzywdzące dla oceny przedstawienia. Bo choć to zabawna, podana lekko opowieść, to jednak dotyka fundamentalnych prawd na temat damsko-męskich relacji. Oczywiście na potrzeby tej formy teatralnej postawy są przejaskrawione i podane z dużą dawką satyry. Ale nie przeszkadza to w tym, by przedstawić realne cechy wojny płci i pułapek starych jak świat damsko-męskich gier. Przejaskrawienie postaw nie musi być karykaturą. W adaptacji Piotra Dąbrowskiego wcale nie jest.

fot. Jan Nai/Gazeta Polska

Nie ma wątpliwości, że pasjonat ambitnych tekstów czy psychologicznych dramatów będzie czuł niedosyt. Tekst „Nikt nie jest doskonały" ma wszystkie cechy klasycznej komedii romantycznej. I nie ma co się obrażać. Ważne jest, by temat miłości nie został zbanalizowany formą. To zabieg wysokiego ryzyka bez względu na to, czy mówimy o melodramacie, czy komedii. Ale w komediach owo niezbagatelizowanie jest sztuką bodaj najtrudniejszą. Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o to, jak sprawić, by z fabuły płynęły szczerość i prostota. Ale może tak jak w przypadku tej opowieści lepiej jest, gdy o miłości piszą mężczyźni? ■

eprasa.pl 12975ab158

Olga Doleśniak-Harczuk

Brunatne duchy ROSENBURG

O tym, że denazyfikacja jurystów w obu powojennych połówkach Niemiec poniosła klęskę, wiadomo od dziesięcioleci. W Republice Bońskiej uwikłani w narodowosocjalistyczne zbrodnie płynnie przeskoczyli od Führera do Adenauera, w NRD znaleźli koło ratunkowe w strukturach partyjnych SED. A jednak dopiero teraz, niemal trzy dekady od zjednoczenia Niemiec i 70 lat od zakończenia II wojny światowej, Berlin oficjalnie przyznaje, że budowa wolnego od złogów III Rzeszy aparatu sprawiedliwości po 1945 r. była zwykłą mrzonką, a w RFN po 1949 r. kontrolę nad reformą prawa, sądami i prokuraturami obrali nazistowscy juryści pokroju Eduarda Drehera czy Hansa Gawlika. To oni byli ojcami założycielami zachodnioniemieckiego porządku prawnego, sami sobie udzielili amnestii i nigdy nie ponieśli odpowiedzialności za zaprzedanie duszy Mefistofelesowi III Rzeszy. To tylko jeden z wniosków opublikowanego 10 października raportu Niezależnej Komisji Ministerstwa Sprawiedliwości ds. tzw. Akt Rosenburg, poświęconego badaniom ścieżek karier nazistowskich prawników w resorcie sprawiedliwości RFN.

fot. Michael_Melnyk/PAP/EPA

eprasa.pl 12975ab158

Franz Massfeller (1902–1966), prawnik w Ministerstwie Sprawiedliwości III Rzeszy, współautor komentarza do ustawy norymberskiej „O ochronie krwi niemieckiej", po wojnie pomyślnie przeszedł przez procedurę denazyfikacyjną i kontynuował karierę na posadzie doradcy ministerialnego w resorcie sprawiedliwości RFN.

Eduard Dreher (1907–1996), autorytet prawniczy, najważniejszy reformator prawa karnego RFN, wysoki urzędnik w Ministerstwie Sprawiedliwości powojennych Niemiec, a w latach 1940–1945 prokurator nazistowskiego Sądu Specjalnego w Innsbrucku, gdzie zasłynął m.in. tym, że zażądał kary śmierci dla kobiety oskarżanej o kradzież materiału na sukienkę i ogrodnika, który z głodu przywłaszczył sobie chleb i słoninę. Śmierci za drobne wykroczenia żądał w tamtym okresie 17 razy, wykonano 9 wyroków.

Hans Gawlik (1904–1968), w latach 1942–1945 prokurator sądu specjalnego w Breslau, członek NSDAP, następnie obrońca SS-manów w procesach norymberskich, a w demokratycznych Niemczech ważna persona w MSZ-cie i Ministerstwie Sprawiedliwości. To on, stojąc na czele specjalnej komórki (Zentrale Rechtschutzstelle – ZRS), troszczył się o zbrodniarzy wojennych pozostających poza granicami RFN, organizując im opiekę prawną lub ostrzegając na czas przed grożącym im aresztowaniem.

Ernst Kanter (1895–1979), do 1945 r. czynny sędzia Wojennego Sądu Rzeszy (RKG), brał udział w wydaniu ponad 100 wyroków śmierci. Po wojnie znalazł posadę doradcy w Ministerstwie Sprawiedliwości, a następnie awansowano go na sędziego Federalnego Trybunału Sprawiedliwości, najwyższej instancji sądownictwa karnego i cywilnego w RFN.

Ludzie tacy jak Gawlik, Dreher, Massfeller kształtowali fundamenty prawne Niemiec Zachodnich. Nad ścieżką ich kariery i wynikających z tego implikacji pochylili się prof. Manfred Görtemaker i prof. Christoph Safferling, autorzy raportu Niezależnej Komisji Ministerstwa Sprawiedliwości i wydanej równolegle książki „Akta Rosenburg. Federalne Ministerstwo Sprawiedliwości i okres narodowego socjalizmu". 43-stronicowy dokument jest streszczeniem książki, zawiera esencję i z racji skromnej objętości nie wyczerpuje tematu, a jedynie sygnalizuje kluczowe rezultaty kilkuletnich badań obu naukowców.

W raporcie znajdziemy podrozdziały poświęcone nie tylko kontynuacji nazistowskich karier w aparacie sprawiedliwości od 1949 roku, ale też prawu stanowionemu przez byłych funkcjonariuszy hitlerowskiej machiny i manipulacjom, jakich dopuszczono się chociażby w przypadku przedawnienia spraw karnych przeciwko nazistowskim zbrodniarzom.

epias: pl.12975ab158

Legenda o wpadce

W raporcie znajdziemy wiele interesujących wątków, ale jednym z najważniejszych jawi się ten Eduarda Drehera, a zwłaszcza jego roli w przeforsowaniu w niemieckim parlamencie w październiku 1968 r. z pozoru kosmetycznych zmian w ustawie o wykroczeniach (Ordnungswidrigkeitsetz). Nie wdając się w zawiłe szczegóły całego procederu – te „kosmetyczne" zmiany pociągnęły za sobą kolejne, które przyklepane w Bundestagu, a następnie zatwierdzone w Trybunale Konstytucyjnym, wstecznie przedawniły zbrodnie nazistowskie, doprowadzając do umorzenia wszystkich toczących się w tamtym czasie spraw karnych prowadzonych przeciwko byłym gestapowcom, SS-manom i ich pomocnikom. Springerowski „Die Welt" w styczniu 1969 r. pisał o fatalnych skutkach zmian w ustawie jako „wpadce prawnej", hamburski „Spiegel" określił to posunięcie mianem „zimnego przedawnienia". Tak czy inaczej tysiące nazistów znowu mogły spać spokojnie, a wśród nich byli m.in. członkowie Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), przeciwko którym toczył się w tamtym czasie proces w Berlinie Zachodnim. Proces przerwano. Jaka rolę odgrywał w całej tej hucpie Dreher?

Jako wysoki urzędnik w Ministerstwie Sprawiedliwości zdawał sobie sprawę, jak bardzo jego koledzy po fachu obawiają się pociągnięcia do odpowiedzialności za swoją działalność do 1945 r., bo i jemu ten lęk nie był obcy, a jako specjalista od prawa karnego, oddelegowany zresztą do resortu z zadaniem jego zreformowania, mógł wpływać na kształt zmian ustaw, których projekty przedkładano w Bundestagu. Już w 1969 r. podejrzewano, że amnestia dla nazistów nie była żadną „wpadką" roztargnionych jurystów i polityków, ale raczej efektem manipulacji mającej uchronić „swoich" przed karą, a pod koniec lat 60. potrzeba wymierzenia kary była, szczególnie wśród młodej generacji Niemców, paląca. Bo oto „starym nazistom" deptali już po piętach „salonowi komuniści", czyli ci, których dziś określamy terminem Pokolenia '68. Trzeba było szybkich działań, by lewacka rewolta nie zmiotła pozostałości po tej narodowosocjalistycznej.

Salonowi komuniści vs starzy naziści

Od połowy lat 60. na fali demonstracji studenckich (abstrahując od ich lewackiego odchyłu, inspiracji z Moskwy etc.) nasilała się presja społeczna, by demaskować prominentnych polityków, którym nazistowska skaza na życiorysie nie zaszkodziła w powojennej karierze. W sukurs tym żądaniom przychodziły media wspierające studenckie protesty, tj. „Spiegel" czy „Stern", całkowicie w poprzek pozycjonowały się natomiast znienawidzone przez brać uniwersytecką media springerowskie. W lutym 1968 r. tygodnik „Stern" opisał zarzuty wobec urzędującego prezydenta Heinricha Lübke w związku z jego rzekomym udziałem w projektowaniu obozów koncentracyjnych. Oskarżenia pod adresem drugiego prezydenta RFN narodziły się w biurach politycznych NRD, o uwikłaniu prezydenta-inżyniera w konstruowaniu KZ-tów jako pierwszy napisał w 1966 r. magazyn „Konkret", następnie przedruki pojawiły się w prasie zachodnioniemieckiej. W RFN politycy przedstawili sprawę jako dętą, ustawioną przez komunistów w celu zdyskredytowania prezydenta. Ostatecznie Lübke złożył rezygnację w czerwcu 1969 r., ale nie tyle ze względu na oskarżenia, co na pogarszający się stan zdrowia. Po latach badań i sporów historycy doszli do wniosku, że Lübke faktycznie jako młody inżynier, mimo iż nie należał do zagorzałych fanów Hitlera, przysłużył się swoją pracą III Rzeszy. Jak miliony innych zresztą, którzy nie widzieli w tym nic zdrożnego i weszli w nową, niemiecką rzeczywistość z tzw. mentalnością Persilsche-

„Audyty denazyfikacyjne" w niemieckich ministerstwach to stosunkowo nowy zwyczaj. Mocno zresztą spóźniony i wymuszony. Archiwa NSDAP zostały otwarte w 1994 r., czyli 27 lat po tym, jak Amerykanie uznali denazyfikację za zakończoną. Kolejnym rządom w Bonn nie było na rękę kopanie w brunatnej przeszłości, za to jak najbardziej na rękę było, że to Amerykanie przez te wszystkie lata byli w posiadaniu archiwów.

eprasa.pl 12975ab158

inu („świadectwa niewinności"). Pisał o tym m.in. w 2007 r. na łamach „Die Zeit" historyk Jens-Christian Wagner. Pod koniec lat 60. poza kampanią wymierzoną w prezydenta doszło do licznych sytuacji, w których młodzi Niemcy domagali się detronizacji tzw. starych nazistów. Skandalem zakończyła się np. konwencja CDU w zachodnim Berlinie, podczas której kanclerz Kurt Georg Kiesinger został spoliczkowany przez 29-letnią sekretarkę Beate Klarsfeld. Kobieta nawyzywała Kiesingera od „nazistów" (Kiesinger był od 1933 r. członkiem NSDAP), jeszcze tego samego dnia skazano ją na rok więzienia, później karę złagodzono do czterech miesięcy. W 2012 r. Klarsfeld już jako uznana dziennikarka i „łowczyni nazistów" przyznała, że za słynne spoliczkowanie kanclerza otrzymała pieniądze od enerdowskiej SED. Takich prowokacji nie brakowało, zimna wojna miała swoje prawa, a ta w wykonaniu NRD i RFN żywiła się dodatkowo wspólną, zbrodniczą przeszłością obu krajów, zawsze można było wyciągnąć kompromitujące kwity na wroga ideologicznego. A kwitów nie brakowało.

Spryciarz Dreher

Wracając jednak do końca lat 60. i roli Eduarda Drehera w doprowadzeniu do zimnego przedawnienia – on i jego koledzy z pewnością czuli na plecach oddech rewolty. Musieli się zabezpieczyć. Zmiany w prawie były z racji zajmowanego przez Drehera stanowiska środkiem dostępnym i realnie gwarantującym nietykalność. A mimo to że sprawa wydawała się oczywista, przez kilkadziesiąt lat od ustanowienia „zimnego przedawnienia" historycy nie mieli dowodów na bezpośrednią manipulację Drehera. Co prawda, w 2004 r. młody historyk Marc von Miquel w swojej dysertacji powoływał się na korespondencję między Dreherem a byłym sekretarzem stanu Walterem Straussem, który „dostał od frakcji CDU–CSU w Bundestagu zadanie napisania prawa o amnestii i prosił Drehera o radę w tej materii" (tajemnicą Poliszynela było, że Dreher od lat poświęcał się konstruowaniu nowego prawa o amnestii, był w tej materii specem), ale ustalenia Miquela skrytykowano za zbytnią naiwność, bowiem wpisywały się one w kampanię podjętą w latach 60. przez enerdowską SED. Autorzy raportu o Aktach Rosenburg również przyjrzeli się sprawie amnestii z 1969 r. i doszli do powściągliwego wniosku, że dokumentacja nie pozwala na całkowite obciążenie odpowiedzialnością za korzystne dla nazistów zmiany Eduarda Drehera, i to mimo że na jednym z dokumentów ministerialnych znaleziono własnoręczną notatkę Drehera, gdzie wyraźnie pisze, że celem planowanych zmian w ustawie ma być „niechcąca amnestia". Jednocześnie w raporcie czytamy, że „współpracownicy Ministerstwa Sprawiedliwości prowadzili własną grę, by chronić dawnych nazistów, i robili to w tajemnicy przed górą resortu". To „góra resortu" nie wiedziała, co się święci? Zatrudniać dziesiątki osobników pokroju Drehera, Massfelera i innych i trwać w złudnym przekonaniu, że jeden drugiego nie będzie strzegł jak oka w głowie, zakrawa na naiwność. Raport w pewnym sensie pochyla się później i nad tym problemem, ale pokrętna logika próby jego wyjaśnienia jest, mówiąc najłagodniej, mało satysfakcjonująca.

Karuzela z audytami

Same w sobie „audyty denazyfikacyjne" w niemieckich ministerstwach to stosunkowo nowy zwyczaj. Mocno zresztą spóźniony i wymuszony. Archiwa NSDAP zostały otwarte w 1994 r., czyli 27 lat po tym, jak Amerykanie uznali denazyfikację za zakończoną, o tym, że żadnych rozliczeń nie było, mówiono z różnych względów niechętnie. Kolejnym rządom w Bonn nie było na rękę kopanie w brunatnej przeszłości, za to jak najbardziej na rękę było, że to Amerykanie przez te wszystkie lata byli w posiadaniu archiwów. Wersja o nieprzejednanym Waszyngtonie, który nie chce zwrócić dokumentów Niemcom i tym samym uniemożliwia rozliczenie niemieckich elit z ich nazistowskiej przeszłości, przekonała tylko przekonanych. W rzeczywistości bowiem to sam rząd poprosił w 1989 r. Amerykanów, by odmówili wydania archiwów. I Waszyngton tę prośbę spełnił. Dopiero w 1994 r., dwa lata po odejściu z MSZ-u Hansa-Dietricha Genschera (byłego członka NSDAP), na skutek coraz silniejszej presji ze strony opozycji parlamentarnej, dokumenty trafiły do Archiwum Federalnego. Chętni historycy mogli przystąpić do dzieła, część z nich skorzystała z tej okazji. Do ich dyspozycji oddano m.in. katalogi członków NSDAP (około 12 mln fiszek), akta osobowe członków SS (350 tys.) i SA (550 tys.) i prawie 2 mln innych dokumentów. Od tego czasu w Niemczech zaczęto wydawać mniej lub bardziej udane publikacje odwołujące się do powojennych karier byłych współpracowników aparatu wojskowego, biurokratycznego, dyplomatycznego, naukowego i politycznego III Rzeszy.

Ministerstwo Sprawiedliwości pierwsze próby zlustrowania wybranych pracowników podjęło już w latach 80, ale bez spektakularnych rezultatów. Biorąc pod uwagę niechęć, zwłaszcza ówczesnych elit politycznych do kwestii rozliczenia z przeszłością, fakt ten nie zdumiewa. Na pierwszy ogień poszedł

eprasa.pl 12975ab158

w 2005 r. niemiecki MSZ, który audyt obejmujący lata III Rzeszy i powojenne zlecił jeszcze za Joschki Fischera*, swoją drogą szkoda, że ten prominentny przedstawiciel Generacji '68 z równym zaangażowaniem co do klęski denazyfikacji nie podszedł do prześwietlenia własnej aktywności na przełomie lat 60. i 70., ale do tego zadania zapewne nowe już Niemcy w jakimś zupełnie innym wcieleniu oddelegują swoich badaczy za kolejne 70 lat.

Samoprześwietlenia dokonano również w Federalnym Urzędzie Kryminalnym** (2011 r.), a w ubiegłym roku opublikowano rezultaty audytu przeprowadzonego w Federalnym Urzędzie Ochrony Konstytucji***. Wciąż natomiast trwają prace nad sporządzeniem analogicznych raportów w resorcie gospodarki, polityki społecznej, finansów i – co z pewnością wzbudzi największe zainteresowanie – w Federalnej Służbie Wywiadowczej będącej kontynuacją Organizacji Gehlena.

Kolega kolegi nie skrzywdzi

W przypadku resortu sprawiedliwości powołana w 2012 r. przez ówczesną szefową ministerstwa, Sabine Leutheusser-Schnarrenberger (FDP), Niezależna Komisja skoncentrowała się w pierwszej kolejności na aktach personalnych kadry kierowniczej pracowników bońskiego zamku Rosenburg (pierwszej siedziby Ministerstwa Sprawiedliwości). Teczki nie zostały przemielone, archiwum w nienaruszonym ponoć stanie odnaleziono w piwnicach ministerstwa przy Mohrenstrasse 37 w Berlinie.

Przejrzano 258 teczek pracowników ministerstwa urodzonych do 1927 r., zlustrowano ich na okoliczność przynależności do młodzieżówek nazistowskich, do NSDAP, SA, wzięto pod lupę zeznania denazyfikacyjne. Wyniki mówią same za siebie: spośród 170 jurystów, którzy w latach 1949–1973 zajmowali kierownicze stanowiska w Federalnym Ministerstwie Sprawiedliwości, 90 należało do NSDAP, 34 do SA, a ponad 15 proc. z nich było pracownikami Ministerstwa Sprawiedliwości III Rzeszy. Trudno oczekiwać, by w takim towarzystwie znalazł się jeden sprawiedliwy, który zapragnie oczyszczenia szeregów z „byłych nazistów". O tym, że sprawa była z gruntu skazana na niepowodzenie, najmocniej świadczy przypadek (znowu!) Eduarda Drehera, który w resorcie sprawiedliwości w różnych latach zajmował wiele kluczowych stanowisk, i Josefa Schafheutla, jednego z ministerialnych dyrektorów. Kiedy pod koniec lat 50. inspirowane z NRD wydawnictwo wypuściło na Zachodzie książkę z serii „Brunatna Księga", gdzie podano personalia byłych nazistów zatrudnionych na ciepłych, ministerialnych posadkach w RFN, nie mogło tam zabraknąć Drehera. Zupełnie pro forma jego prześwietleniem, w ramach wewnętrznego dochodzenia, zajął się dyrektor Schafheutle. Tylko że on również figurował w spisie „Brunatnej Księgi"**** jako osobnik odpowiedzialny w aparacie III Rzeszy za prawo karne, co w normalnych warunkach nie tylko pozbawiałoby go mandatu do lustrowania kolegi z resortu, lecz także przede wszystkim wyznaczałoby kres zawodowych karier obu urzędników. Ale warunki były dalekie od normy. Schafheutle zamiast bicia się w piersi, doszedł do wniosku, że na dobrą sprawę Dreher nie uczynił nic złego, gdyż „działał zgodnie z prawnymi wytycznymi swoich czasów". Sprawę zamknięto, bez żadnych konsekwencji dla obu stron groteskowego dochodzenia. I takich sytu-

*900-stronicowy raport autorstwa E. Conze, N. Freia, P. Hayesa i M. Zimmermanna dotyczący nazistowskiej przeszłości niemieckiego MSZ-u i stosunków kadrowych po 1945 r. został sporządzony w 2010 r. i wydany w formie książki zatytułowanej „Urząd" („Das Amt"). E. Conze nazwał wtedy niemiecki MSZ „zbrodniczą organizacją". Przy okazji tej publikacji wypłynęły na wierzch nazwiska osób, które obarczone zbrodniami wojennymi i tak znalazły sposób, by kontynuować karierę w dyplomacji.

**Już w 2007 r., gdy Federalny Urząd Kryminalny (BKA) zlecał audyt, tajemnicą Poliszynela było, że w fazie założycielskiej wiele osób na stanowiskach kierowniczych w BKA przed 1945 r. należało do SS, a po II wojnie światowej w brytyjskiej strefie okupacyjnej to właśnie byli funkcjonariusze Urzędu Kryminalnego Rzeszy w liczbie 48 tworzyli zalążek nowego resortu. Z opublikowanego w 2011 r. raportu BKA wynika m.in., że jeszcze w 1958 r. na 47 stanowisk kierowniczych w BKA, 33 było obsadzonych byłymi członkami SS.

***W przypadku Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji (BfV) sprawa jest nieco bardziej skomplikowana z uwagi na „nietypową strukturę zatrudnienia. Jak wynika z raportu tej instytucji, wielu byłych SS-manów współpracowało z Urzędem na zasadzie „wolnych strzelców". Po 1955 r. w szeregach BfV było jednak wielu ludzi poprzedniego reżimu, w tym zbrodniarz wojenny z gestapo, Gustav Barschdorf.

****Od połowy lat 50. między sowieckim satelitą NRD a RFN trwała wojna na „nazistów". Towarzysze z biura propagandy SED kierowali akcją na terenie wroga, wydając kompromitujące Republikę Federalną publikacje o hołubionych przez struktury państwa nazistach na posadach sędziów i prokuratorów. RFN, nie pozostając dłużna, rozpowszechniała książki ujawniające nazistowskie korzenie partyjnych bonzów ze Wschodu. Kulminacja nastąpiła w 1981 r., gdy w Berlinie Zachodnim wydano „Brunatną Księgę NRD". Publikacja zawierała 876 nazwisk prominentnych NRD-owców z brunatną przeszłością. W SED wyrywano sobie włosy ze wściekłości.

eprasa.pl 12975ab158

acji było mnóstwo. Jak zauważa we wstępie do raportu minister sprawiedliwości Heiko Maas, w takich okolicznościach nie sposób było kogokolwiek rozliczać. Szkoda tylko, że na takie konkluzje trzeba było czekać do 2016 r.

Bo najlepsi fachowcy pracowali dla Führera...

Autorzy ministerialnego raportu zastanawiali się, dlaczego w resorcie stery przejęli głównie ludzie zasłużeni w służbie dla hitlerowskiej machiny. Odpowiedź, jakiej udzielali lata wcześniej sami zainteresowani, brzmiała niezmiennie: ponieważ potrzebowaliśmy fachowców z prawdziwego zdarzenia, by zbudować silne, nowoczesne państwo, a fachowców bez brunatnej przeszłości najzwyczajniej w Niemczech nie było. Jeszcze w 2013 r. Manfred Görtemaker i Christoph Safferling nie mieli wystarczających danych dotyczących skali zatrudnienia byłych nazistów w Ministerstwie Sprawiedliwości i rozważano dwa warianty: albo są to odosobnione przypadki, albo czubek góry lodowej. Według stanu wiedzy na rok 2016, zwyciężył wariant drugi. Założyciele resortu mogli spokojnie zacząć od opcji zero i sięgnąć chociażby po znawców prawa przebywających na emigracji, o czystych rękach. Jednak tego nie uczyniono. Görtemaker i Safferling najbardziej byli jednak wstrząśnięci tym, dlaczego ktoś taki jak Thomas Dehler (1897–1967), pierwszy minister sprawiedliwości RFN urzędujący w latach 1949–1953, uciekł się do skompletowania kadry Rosenburgu z brunatnych jurystów. On, który miał żonę Żydówkę i widział, jak w 1941 r. deportowano jej rodzinę, a na łamach „Stürmera" za to, że jako adwokat nie odwrócił się w warunkach hitlerowskiego terroru od swoich żydowskich klientów, doczekał się przydomku „prawdziwy żydowski towarzysz". Z równym zdumieniem patrzono na postawę Waltera Straussa (1900–1976), sekretarza stanu w resorcie sprawiedliwości w latach 1949–1963, syna żydowskich rodziców – znanego i cenionego w Berlinie lekarza Hermana Straussa i jego żony Elzy. Oboje zostali w 1942 r. deportowani do obozu koncentracyjnego Theresienstadt, gdzie zginęli. Autorzy raportu dochodzą do wniosku, że Dehler i Strauss, mimo traumatycznych doświadczeń w III Rzeszy, postanowili, kompletując kadry resortu, „postawić na fachowców" i brunatna przeszłość większości nowych podwładnych, mimo iż stanowiła pewien temat do rozmów, nie przesłoniła im wizji stworzenia ministerstwa z ludzi „doświadczonych", jakkolwiek brutalnie by to w tym kontekście zabrzmiało. Strauss obstawał ponadto przy koncepcji „apolitycznego urzędnika", czyli – jak zresztą słusznie zauważają autorzy raportu – abstrakcyjnego tworu, który zwłaszcza w warunkach III Rzeszy, gdzie urzędnik miał być jak najbardziej upolityczniony, nie miał racji bytu. Prawnicy jako tacy jawili się natomiast w tej koncepcji jako „rzemieślnicy" gwarantujący jedynie każdej władzy względną stabilność opartą o tworzone normy prawne. „Można by cynicznie zauważyć, że rzemieślnikom tym było obojętne, czy formułuje się prawo o zakazie małżeństw mieszanych czy o równym prawie spadkowym dla dzieci poczętych w małżeństwie i poza nim" – stwierdzają w pewnym momencie autorzy raportu. Wyniki ich badań zdają się dowodzić słuszności tej tezy. A z kolei analiza dyplomów uniwersyteckich byłych nazistowskich prawników zatrudnianych w pierwszych latach Rosenburgu zdają się potwierdzać słuszność zamysłu Hermana Straussa, by zaprzęgać do budowy resortu „najlepszych fachowców". Większość z nich ukończyła studia z wyróżnieniem. Triumf *summa cum laude* nad „nie zabijaj". Nie pierwszy i nie ostatni. Poczekajmy na kolejne raporty. ■

AUTORZY MINISTERIALNEGO RAPORTU ZASTANAWIALI SIĘ, DLACZEGO W RESORCIE SPRAWIEDLIWOŚCI STERY PRZEJĘLI GŁÓWNIE LUDZIE ZASŁUŻENI W SŁUŻBIE DLA HITLEROWSKIEJ MACHINY. ODPOWIEDŹ, JAKIEJ UDZIELALI LATA WCZEŚNIEJ SAMI ZAINTERESOWANI, BRZMIAŁA NIEZMIENNIE: PONIEWAŻ POTRZEBOWALIŚMY FACHOWCÓW Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA, BY ZBUDOWAĆ SILNE, NOWOCZESNE PAŃSTWO, A FACHOWCÓW BEZ BRUNATNEJ PRZESZŁOŚCI NAJZWYCZAJNIEJ W NIEMCZECH NIE BYŁO.

eprasa.pl 12975ab158

Hanna Shen

Gry i gierki Xi Jinpinga

Chiński prezydent Xi Jinping obawia się niepokojów społecznych spowodowanych m.in. spowalniającą chińską gospodarką. Ale nie jest to jedyne jego zmartwienie. Kolejnym wyzwaniem może się okazać przyszłoroczny zjazd partii, na którym zapadną decyzje, ile władzy będzie miał w swoich rękach Xi, a może nawet – na jak długo. Prezydent toczy właśnie bój o pełną kontrolę nad najważniejszymi organami w państwie i o przedłużenie swojej kadencji.

eprasa.pl 12975ab158

fot. NG HAN GUAN/POOL/PAP/EPA

David M. Lampton, kierujący sinologią na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa SAIS, zauważa w artykule pt. „Chiny – rywal czy strona prowokowana" (w kwartalniku „The Washington Quarterly", 2016 r.), że kiedy Xi Jinping obejmował władzę na przełomie 2012 i 2013 r., Chiny były krajem, którego produkt krajowy brutto był już sześć razy większy od PKB Włoch.

By nie skończyć jak Sowiety

Ale jednocześnie Xi przejmował kontrolę nad państwem przeżartym korupcją, w którym nadal istnieje wiele zacofanych technologicznie i przynoszących straty dużych państwowych zakładów i wreszcie w którym różnego rodzaju kręgi i frakcje toczą walkę o wpływy. Co więcej, od 2010 r. Państwo Środka doświadcza spowolnienia gospodarczego. Prezydent Xi zaczyna się więc obawiać, że ChRL skończy tak jak imperium sowieckie. A protesty w 2014 r. na Tajwanie i w Hongkongu, a także wybuchające od czasu do czasu niepokoje w Tybecie i Xinjiangu tylko te obawy pogłębiają.

Według Xi Jinpinga, zapobiec buntom i demonstracjom można tylko poprzez zwiększenie represji i kontroli. Stąd wprowadzenie przez Xi jeszcze bardziej – jak pisze Lampton – scentralizowanego procesu politycznego, w którym „najwyższy przywódca jest głównym rozgrywającym we wszystkich kluczowych obszarach", jeszcze większe „wzmocnienie roli aparatu propagandowego w kształtowaniu mediów i treści edukacyjnych", zwiększenie roli aparatu bezpieczeństwa publicznego, „dalsza centralizacja kontroli nad organami wojskowymi, policyjnymi i wywiadowczymi oraz stosowanie na większą skalę wymuszonych zeznań i postępowań sądowych w celu zastraszenia". Xi Jinping mówi także o konieczności odbudowy dyscypliny partyjnej za pomocą regulacji i w duchu socjalizmu. 1 lipca 2016 r. podczas inauguracji 95. rocznicy powstania Komunistycznej Partii Chin jej przywódca, a zarazem prezydent Chin, Xi Jinping mówił o potrzebie „powrotu partii do swoich marksistowskich korzeni".

David Shambaugh, ekspert ds. Chin z Uniwersytetu George'a Washingtona w Baltimore, w artykule pt. „Rozważając przyszłość Chin" (we wspomnianym kwartalniku) określa Xi Jinpinga jako „bardzo antyliberalnego przywódcę", a drogę, jaką Chiny kroczą pod jego przywództwem, jako „twardy autorytaryzm". Poza wspomnianą już przez Lamptona „centralizacją procesu politycznego" Shambaugh wskazuje na intensyfikację represji i prześladowań za rządów obecnego prezydenta.

„Mamy do czynienia z nieustannym dławieniem wszelkich form sprzeciwu społecznego i działalności dysydentów; internet i media społeczne zostały poddane bardzo ścisłej kontroli; krzyże i kościoły są niszczone; Ujgurzy i Tybetańczycy są przedmiotem coraz większego

975ab158

prześladowania; setki prawników zajmujących się prawami człowieka zostały zatrzymane i skazane; prawa do zgromadzeń publicznych są ograniczane; szeroka gama publikacji podlega cenzurze; podręczniki zagraniczne zostały oficjalnie zakazane na uniwersytetach; intelektualiści są pod ścisłą kontrolą; zagraniczne i krajowe organizacje pozarządowe zostały poddane bezprecedensowym naciskom ze strony instytucji rządowych, a wiele zostało zmuszonych do opuszczenia Chin; do ataków na tzw. obce siły wroga dochodzi z coraz większą częstotliwością" – pisze Shambaugh.

Jak nie wzrost gospodarczy to nacjonalizm

Na arenie międzynarodowej Xi, z jednej strony, dąży do zwiększenia roli Chin w kwestii polityki gospodarczej, stąd na przykład takie inicjatywy, jak Azjatycki Bank Inwestycji Infrastrukturalnych (AIIB). Z drugiej, prowadzi ekspansywną politykę m.in. na morzach Południowochińskim i Wschodniochińskim. Na tym pierwszym ChRL buduje sztuczne wyspy, które mają stać się ważnym ogniwem służącym chińskiej dominacji w tym regionie, kontroli kluczowych szlaków żeglugowych i podmorskich złóż surowców. Te działania wzbudzają zaniepokojenie m.in. Wietnamu, Filipin, Tajwanu oraz Japonii, z którą Chiny toczą spory także na Morzu Wschodniochińskim.

Pekin uważa, że za wrogą atmosferę wytwarzaną wokół działań Chin odpowiedzialne są głównie Stany Zjednoczone pragnące ograniczyć wpływy ChRL w regionie Azji i Pacyfiku. Ale tę rzekomą wrogość Xi Jining wykorzystuje w polityce wewnętrznej do podgrzewania nastrojów nacjonalistycznych. Wraz ze spowalniającą gospodarką Państwa Środka, pogarszającą się jakością środowiska naturalnego Chińczycy zaczynają zastanawiać się, czy KPCh u steru władzy rzeczywiście jest gwarantem dalszego rozwoju i stabilności. Po zeszłorocznym kryzysie na giełdzie w wypowiedzi dla Radio Free Asia (RFA) chiński dziennikarz Zhu Xinxin mówił, że mimo ogromnej propagandy optymizmu prowadzonej przez media, ludzie nie mają już jakichkolwiek złudzeń co do Komunistycznej Partii Chin Ludowych. „To nie jest już tak jak kilka lat temu" – twierdził Zhu.

Jeśli wiara w to, że partia i Xi Jinping są w stanie kontrolować rozwój i radzić sobie z pojawiającymi się w gospodarce problemami, jest zachwiana, to KPCh musi znaleźć coś innego, wokół czego może zjednoczyć Chińczyków. I tu zagrożenie z zewnątrz – wróg poza granicami, który szkodzi „chińskiemu marzeniu" (chinese dream) – i uderzanie w struny nacjonalizmu pasują jak ulał.

Ale aby radzić sobie z wyzwaniami wewnątrz i na zewnątrz kraju, Xi Jinping musi kontrolować sytuację w partii i wojsku. Test tego, jak bardzo jego głos przez najbliższe lata będzie dominujący, odbędzie się już na przyszłorocznym zjeździe partii. To wtedy dojdzie do wymiany prawdopodobnie aż pięciu z siedmiu członków Stałego Komitetu Biura Politycznego KC, czyli najważniejszego gremium w Państwie Środka, sześciu z osiemnastu członków Politbiura i przynajmniej czterech z jedenastu członków Centralnej Komisji Wojskowej, organu sprawującego zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi.

Xi Jinping będzie dążył do tego, aby wszystkie stanowiska były obsadzone przez ludzi mu lojalnych. Stąd już teraz rozpoczął starania o większe poparcie w partii i armii.

Władza wyrasta z luf karabinów

Od końca sierpnia Xi Jinping prowadzi inspekcje w różnych jednostkach Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ChALW). Prezydent rozpoczął wizytacje od Sił Wsparcia Strategicznego, czyli nowej struktury działającej w ramach ChALW i zajmującej się atakami cybernetycznymi, operacjami w przestrzeni kosmicznej i walką elektroniczną. Uważa się, że jest to jednostka, która będzie odgrywała coraz ważniejszą rolę w konfrontacji Chin z USA na Morzu Południowochińskim i przy ewentualnych konfliktach na obszarach otaczających Chiny. W połowie września Xi Jinping odwiedził Jednostkę Wsparcia Logistycznego (JWL), która została ustanowiona w miejsce Generalnego Departamentu Logistycznego uważanego za kolebkę korupcji w chińskiej armii. Szef tej rozwiązanej jednostki otrzymał niedawno wyrok śmierci m.in. za przyjmowanie łapówek. Nowy organ, JWL, odpowiedzialny jest za dostarczanie żywności i rozmieszczanie wojsk, ale ma także być zaangażowany przy eksploatacji Beidou, czyli chińskiego satelitarnego systemu nawigacyjnego, który na razie obejmuje swoim zasięgiem tylko obszar Azji, a w 2020 r. ma być systemem globalnym. Pod koniec września Xi Jinping dokonał inspekcji Sił Rakietowych, jednostki powołanej pod koniec 2015 r. w miejsce utworzonego w 1966 r. 2. Korpusu Artyleryjskiego. Do działań Sił Rakietowych należy ochrona Chin przed atakiem rakietowym oraz planowanie ofensywnych działań, związanych z przeprowadzeniem ataku nuklearnego. Obok Sił Wsparcia Strategicznego stanowią one istotny element w nowoczesnych działaniach wojennych.

W artykule pt. „Osaczony Xi szuka pomocy u mundurowych" („The Nikkei Asian Review", 14.10.2016 r.) Katsuji Nakazawa stwierdza, że ostatnie wizytacje w jednostkach wojskowych i spotkania z członkami Centralnej Komisji Wojskowej to właśnie szukanie wsparcia przed zbliżającym się zjazdem w amii. Jest to działanie w myśl zasady Mao Zedonga: „władza wyrasta z luf karabinów".

Intensyfikacja spotkań z wojskowymi pokazuje, że Xi Jinping zdaje sobie sprawę, iż wsparcie ze strony armii nie jest czymś oczywistym. W ramach tzw. kampanii antykorupcyjnej Xi pozbył się kilku od lat związanych z wojskiem i aparatem bezpieczeństwa wpływowych aparatczyków, m.in. Zhou Yongkanga, byłego ministra bezpie-

eprasa.pl 12975ab158

czeństwa publicznego, i gen. Guo Boxionga, byłego wiceprzewodniczącego Centralnej Komisji Wojskowej. Obaj odsiadują wyroki dożywocia za korupcję, ale ich zwolennicy pozostali w armii i policji. Xi wie, że choć na razie siedzą cicho, to mogą wystąpić przeciwko niemu i do tego na zjeździe nie może dopuścić. Stąd już teraz rozmowy z mundurowymi.

Partia to nie monolit

Przed zjazdem rośnie także podział frakcyjny w KPCh. Od momentu przejęcia władzy w marcu 2013 r. prezydent Xi Jinping musiał stawić czoła tzw. frakcji szanghajskiej w KPChL. Na czele tej grupy stoi 89-letni Jiang Zemin. Xi, przedstawiciel frakcji tzw. książątek (Taizidang), czyli dzieci dawnej nomenklatury. Xi Jinping zdawał sobie sprawę, że mimo iż Jiang przeszedł na emeryturę w 2003 r., to nadal stara się mieć kontrolę nad państwem poprzez zaufane osoby w ministerstwach i aparacie partyjnym. To przecież szanghajska frakcja, zwana też „kliką Jianga" (Jiangpai), utrudniała, jak mogła, prowadzenie własnej polityki rządzącym Chinami w latach 2003–2013 prezydentowi Hu Jintao i premierowi Wen Jiabao.

Trudno dokładnie scharakteryzować, na czym polegają podziały pomiędzy poszczególnymi frakcjami w KPChL. Nie chodzi tu o jakieś głębokie różnice ideologiczne. Generalizując, można powiedzieć, że książątka opowiadają się za silnym państwem i stoją na straży interesów biznesu z bogatych i wielkich miast na południowo-wschodnim wybrzeżu Chin.

Wielu z członków tej kliki, w tym także prezydent Xi, chce powrotu tzw. czerwonego kultu, czyli socjalizmu w stylu maoistycznym, przystosowanego oczywiście do współczesnych realiów chińskich. Stąd m.in. prowadzone przez prezydenta Xi kampanie kontroli ideologicznej mediów i Internetu. Dziennikarze muszą na przykład brać udział w kursach marksizmu, ponieważ wielu z nich, zwłaszcza ludzi młodych, wykazuje „zdecydowany brak odpowiedniej postawy ideologicznej". Frakcja szanghajska to po prostu osoby skupione wokół Jiang Zemina, który zanim zaczął pełnić ważne funkcje we władzach centralnych, był burmistrzem Szanghaju.

Frakcje w chińskiej partii komunistycznej oparte są przede wszystkim na relacji patron–petenci. Tym drugim chodzi o to, aby poprawić własny status. Muszą więc wkupywać się w łaski patrona. Czasem walka frakcyjna jest naprawdę ostra. W artykule na łamach wydawanej m.in. w USA i na Tajwanie chińskiej gazety „Epoch Times" dysydent Chen Pokong stwierdził, że Jiang wyznaczył Zhou Yongkanga do przygotowania zamachu stanu w połowie 2014 r. i obalenia Xi Jinpinga. Nie byłby to pierwszy zamach, za jaki byłby odpowiedzialny Zhou. Na polecenie Jiang Zeminga w 2012 r. próbował on odsunąć od władzy ówczesnego prezydenta Hu Jintao i premiera Wen Jiabao. Oba zamachy nie powiodły się, a pod koniec lipca 2014 r. Xi oskarżył Zhou Yongkanga o korupcję, a kilka miesięcy temu miał osadzić Jianga w areszcie domowym. Ale nawet stąd Jiang i jego klika może jeszcze wiele namieszać przed zjazdem i w jego trakcie.

Wieczny wódz

Podczas zjazdu Xi będzie chciał, aby to ludzie z jego frakcji zajęli zwalniające się stanowiska w Stałym Komitecie Biura Politycznego KC, w Politbiurze i w Centralnej Komisji Wojskowej. To gwarantuje Xi Jinpingowi pełną kontrolę nad aparatem władzy do 2022 r., a może i dłużej.

Na przyszłorocznym zjeździe powinny zostać wskazane osoby, które w 2022 r. przejmą władzę po Xi Jinpingu i premierze Li Keqiangu. Pojawia się jednak coraz więcej opinii, że Xi Jinping bardzo poważnie rozważa opcję zerwania z tradycją 10-letniej kadencji prezydenta (przewodniczącego ChRL) i zamierza przedłużyć swoje rządy o następne pięć lat, czyli do 2027 r.

W Chinach stery w Komunistycznej Partii Chin (KPCh) są co 10 lat przekazane nowemu pokoleniu przywódców. Rozmowy co do wyboru sukcesorów toczą się za zamkniętymi drzwiami, a następcy znani są już ponad pięć lat przed przejęciem władzy. W Pekinie mówi się jednak, że Xi Jinping wcale nie spieszy się z wyznaczeniem swojego następcy, bo skupia swoje wysiłki na przekonaniu aparatu partyjnego i wojskowego, że to jego kadencja powinna być przedłużona. Nie byłoby to niezgodne z chińskim prawem. Podczas gdy chińska konstytucja zabrania ministrom rządu, w tym premierowi, sprawowania urzędu dłużej niż 10 lat, to konstytucja KPCh nie zawiera żadnych takich zastrzeżeń co do stażu kadr partyjnych na stanowiskach równoważnych ministrom lub wyżej. Jest tylko nieoficjalna zasada ustanowiona przez Deng Xiaopinga (przywódcę Chin przez większość lat 80. i 90.), że członkowie Stałego Komitetu Biura Politycznego KC (a do niego wchodzą i prezydent, i premier) nie powinni służyć więcej niż 10 lat.

Willy Lam w artykule pt. „Xi Jinping na zawsze" („Foreign Affairs, 1.04.2015 r.) pisze, że Xi może ustąpić ze stanowiska prezydenta i nadal być czołowym politykiem w kraju. „Choć funkcje partyjne i rządowe wydają się często równowartościowe wobec siebie, to w rzeczywistości ranga partyjna przewyższa rządową. Na przykład jeśli urzędnik w prowincji Hubei jest sekretarzem partii na szczeblu prowincjonalnym, to osoba stojąca na stanowisku szefa prowincji pełni wobec niego podległą funkcję. Tak samo jest na poziomie krajowym". Spośród trzech tytułów, jakie dzierży Xi Jinping – prezydenta, sekretarza generalnego KPCh i przewodniczącego Centralnej Komisji Wojskowej (CMC) – wystarczyłoby więc zachowanie funkcji kierowniczej w partii. W ten sposób Xi nadal miałby w swoim ręku władzę w państwie. ■

eprasa.pl 12975ab158

Antoni Rybczyński

Putin i jego bezpieka

W tej wojnie nie bierze się jeńców. Dymisja goni dymisję, a telewizja bombarduje obrazkami dygnitarzy w kajdankach, prowadzonych przez zamaskowanych funkcjonariuszy. W pół roku zniknęło kilka potężnych służb, nowe prezydent powołuje dekretami. Na rosyjskie elity padł blady strach, wróciło widmo stalinowskiego terroru. Półtora roku przed wyborami prezydenckimi Władimir Putin reformuje model swych rządów – i to bynajmniej nie w liberalnym duchu. Wciąż nie jest przesądzone, jaki ostatecznie nowy kształt przyjmie gigantyczny aparat bezpieczeństwa.

eprasa.pl 12975ab158

8 sierpnia 1999 r. dotychczasowy dyrektor FSB Władimir Putin został premierem. Niedługo potem, przyjmując grupę wysokich oficerów wywiadu, zażartował: „Melduję, że grupa szpiegów pod przykryciem, mająca za zadanie zinfiltrować rząd, z powodzeniem wykonała zadanie". Kilka miesięcy później przejął rządy na Kremlu, a wywodzący się z KGB ludzie zaczęli przejmować jedno stanowisko za drugim, jedną instytucję za drugą, resorty, służby oraz banki i koncerny energetyczne. Po 16 latach Giennadij Gudkow, sam były kagiebista, ale ostatnio opozycyjny deputowany, pisze tak: „Nie mogę sobie przypomnieć, by kiedykolwiek tak wielu ludzi ze służb znalazło się u władzy w tym samym czasie".

ALEXEI DRUZHININ/SPUTNIK/KREMLIN POOL/PAP/EPA

Jedna partia, jedna bezpieka, jeden wódz

Do tej pory Putin wolał dzielić i rządzić w aparacie bezpieczeństwa, utrzymując równowagę sił w sieci kilkunastu służb specjalnych, grając rolę ostatecznego arbitra i uniemożliwiając którejś z nich stać się zbyt potężną. Był to o tyle skuteczny sposób zarządzania, że rywalizacja nie groziła wymknięciem się spod kontroli. I to nie dzięki sile samego Putina, a dlatego, że wszystkie te służby łączył jeden etos. Etos czekisty. A ich szefowie i wyżsi oficerowie albo mają za sobą służbę w KGB, albo są wiernymi wychowankami Łubianki. W Rosji sprawy bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego, a także wywiadu zagranicznego nie mogą istnieć w oderwaniu od siebie. Dlatego rozwiązanie KGB tylko formalnie rozbiło jedność aparatu bezpieczeństwa. Faktycznie ta jedność cały czas istniała. Wspomniane trzy obszary bezpieczeństwa państwowego zawsze były ze sobą mocno powiązane i współdziałały, zaś podział miał fasadowy charakter. Nieformalne, niejawne przywództwo zawsze pozostawało w murach Łubianki (FSB).

Jak mówi prof. Marc Galeotti, znawca rosyjskich służb specjalnych, „wcześniej Putin wierzył w formę biurokratycznego pluralizmu. Różne agencje nakładały się na siebie uprawnieniami, co mogły wykorzystywać przeciwko sobie, ale też można je było przeciwko sobie rozgrywać". Fakt, wizja jednej supersłużby w stylu KGB bywała kusząca, nawet dla Borysa Jelcyna (nieudana próba w grudniu 1991 r.), a i potem, w 2004 i 2012 r. pojawiała się w publicznej przestrzeni. W obu tych wypadkach to jednak Putin zablokował te pomysły. Właśnie dlatego, że wolał mieć kilka konkurujących ze sobą służb specjalnych niż jedną, która mogłaby się potencjalnie stać nawet dla niego zagrożeniem. Cóż więc się stało, że miałby zmienić zdanie – co ma sugerować głośny artykuł o powołaniu Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, łączącego FSB, wywiad (SWR) oraz ochronę (FSO)?

Odpowiedź może kryć się w personalnej polityce prezydenta ostatnich miesięcy. Trwa rzeź starych towarzyszy Putina: Jakunin, Iwanow, drugi Iwanow, Bieljaninow, Murow, Fradkow i wielu innych. Wszyscy tracą wysokie stanowiska, które zajmują reprezentanci młodszego pokolenia, głównie biurokraci wychowani w putinowskim systemie oraz najbardziej zaufani – byli oficerowie ochrony Putina. Prezydent pozbywa się balastu i wymienia ekipę, z którą wejdzie w nową kadencję. Celem jest nie tylko podniesienie skuteczności zarządzania, lecz także wyeliminowanie wszelkiej niejednomyślności. Putin buduje monolit w trzech obszarach: ekipy rządzącej (czystki personalne), parlamentu (większość konstytucyjna Jednej Rosji) i wreszcie służb specjalnych. Nie jest przypadkiem, że przeciek o budowie superresortu pojawił się parę godzin po tym, jak ukazały się wyniki wyborów do Dumy. Zamiast ochrony interesów grupy stojącej na wierzchołku piramidy stworzonego przez Putina reżimu, system ma teraz mieć na celu ochronę samego Putina. A ten zamierza panować dożywotnio. Za każdą cenę. Czy nie boi się, że jeden potężny ośrodek czekistów mógłby mu w przyszłości zagrozić? Na pewno nie tak bardzo jak jeszcze rok, dwa lata temu. Po to odsuwa wpływowych byłych kagiebistów i obsadza kierownicze stanowiska zaufanymi, wiernymi pretorianami. Po to wreszcie buduje drugi filar bezpieczeństwa, lojalny osobiście wobec niego: armię bezwzględnych kadyrowców i Gwardię Narodową. 4 października wydał dekret, na mocy którego utworzona w kwietniu Rosgwardia, licząca prawie 400 tys. zbrojnych, bezpośrednio prezydentowi podporządkowana i dowodzona przez wiernego ochroniarza Wiktora Zołotowa, będzie mogła prowadzić „wojnę informacyjną", pobierać odciski palców, wydawać pozwolenia na handel bronią i koncesje dla prywatnych agencji ochrony. Łącznie 100 różnych uprawnień. Wśród zadań zaś m.in. zabezpieczenie granic państwa, zwalczanie terroryzmu i zorganizowanej przestępczości, zapewnianie porządku publicznego oraz ochrona kluczowych obiektów i infrastruktury państwa. Czyli niemal to wszystko, co przysługuje FSB...

Cień Berii i Abakumowa

„W nocy z 18 na 19 września kraj z autorytarnego stał się totalitarnym" – tak nazajutrz po wyborach do Dumy napisał cytowany wcześniej Gudkow. Ale miał na myśli także koncepcję, która pojawiła się w formie kontrolowanego przecieku w jednej z gazet. Koncepcję zjednoczenia FSB, SWR i FSO, jak też fuzji w innych segmentach bloku siłowego. Koncepcję, która – jeśli wejdzie w życie – będzie zwieńczeniem reform, jakie ruszyły kilka miesięcy wcześniej. Którym towarzyszą też bezprecedensowe zmiany personalne. Raszid Nurgalijew i Borys Gryzłow już kilka lat temu zeszli z pierwszej linii. Od tamtej pory byli z wolna odsuwani coraz dalej od centrum władzy. Ostatnio Gryzłow odgrywał jakąś rolę w rozmowach w Mińsku, zaś Nurgalijew ostatecznie wypadł z Rady Bezpieczeństwa. Prologiem nowej fali czystek była nieoczekiwana, dla wielu szokująca, dymisja Władimira Jakunina ze stanowiska

eprasa.pl 12975ab158

szefa Kolei w sierpniu 2015 r. Jewgienij Murow z FSO – którą kierował aż 16 lat! – poszedł na emeryturę w maju tego roku. Igor Siergun z GRU zmarł „z przepracowania" w styczniu. Putin zwolnił Jewgienija Doda, szefa RusHydro (aresztowany pod zarzutem defraudacji) i Władimira Dmitrijewa, szefa banku VEB. Wiosną tego roku wypadł z obiegu Wiktor Iwanow, ostatnio szef agencji antynarkotykowej, a kiedyś potężny „kadrowiec" na Kremlu. Andriej Bieljaninow, szef Federalnej Służby Celnej od 2006 r. (!), zrezygnował latem tego roku po skandalu korupcyjnym. A w sierpniu szok wywołała dymisja szefa administracji prezydenckiej, od wielu lat jednego z kluczowych ludzi systemu putinowskiego, Siergieja Iwanowa. Lada moment poleci głowa Aleksandra Bastrykina, szefa Komitetu Śledczego, jeszcze jakiś czas temu mającego ambicję bycia głównym „opryczniknikiem" Putina. W kwietniu powołano Gwardię Narodową, która przejęła wojska wewnętrzne MSW, formację OMON oraz policyjne siły specjalne SOBR. Zlikwidowane w tym samym czasie Federalną Służbę Kontroli Obrotu Narkotykami (FSKN) oraz Federalną Służbę Migracyjną (FMS) wchłonęło MSW.

Ale prawdziwą burzę wywołał 19 września artykuł w „Kommiersancie", gazecie znanej z tego, że pojawiają się tam przecieki kontrolowane z FSB. Gdyby ujawniony plan wszedł w życie, oznaczałby największą rewolucję w służbach od 1991 r. Zapewne dlatego z jego ogłoszeniem czekano do pojawienia się wyniku wyborów. Miażdżące zwycięstwo Jednej Rosji oznaczające, że nowa Duma sprawnie i bez poprawek (o co zadba na stanowisku spikera jeden z najlepszych politycznych menedżerów Putina, Wiaczesław Wołodin) będzie wprowadzała wszystkie pomysły Kremla, upewniły autorów planu, że można pójść krok dalej. Głównym punktem projektu reform jest powstanie Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego (MGB) – natychmiast przypomniano, że taki superresort działał już na przełomie lat 40. i 50. XX wieku, pod kierownictwem tak ponurych postaci, jak były szef Smierszu Wiktor Abakumow i Ławrentij Beria. W skład nowego MGB wejdą Federalna Służba Bezpieczeństwa (to na bazie FSB ma być zbudowany resort), Służba Wywiadu Zagranicznego (SWR) i Federalna Służba Ochrony (FSO). Z tej ostatniej ma być wyłączona Służba Bezpieczeństwa Prezydenta (SBP), która już jako w pełni samodzielna instytucja ma dbać o Putina. Uwzględniając proces umacniania się FSB jako służby odpowiadającej za stabilność systemu politycznego, nie jest wykluczone przejęcie przez nią Federalnej Służby Łączności Specjalnej (obecnie w składzie FSO). Oprócz strukturalnych zmian MGB otrzymać ma nowe uprawnienia. Jego pracownicy będą nie tylko asystować i wspierać prowadzenie śledztw uruchomionych na podstawie materiałów Komitetu Śledczego i MSW, ale też sprawować nad nimi nadzór proceduralny. MGB ma też zajmować się „zapewnieniem wewnętrznego bezpieczeństwa we wszystkich organach ścigania i strukturach siłowych". Tym zapewne zajmą się struktury z FSO. Wywiad (obecnie SWR) też zyska większe uprawnienia. Powstanie MGB pozwoli bardziej intensywnie i agresywnie działać za granicą. Dziś SWR i FSB mają swoje własne siatki szpiegowskie, swoje własne rezydentury. A z kolei FSO kontroluje wszelkie operacje w obszarze wywiadu radioelektronicznego (SIGINT) i w cyberprzestrzeni. Połączenie tego wszystkiego pod jednym kierownictwem ma zwiększyć efektywność. Nowy resort ma uczynić pracę służb bardziej efektywną i ekonomiczną (zmniejszyć liczebność).

Ale powrót KGB, jak często określa się pomysł budowy MGB, to niejedyna poważna zmiana – jeśli wierzyć „Kommiersantowi" – planowana przez władzę. Komitet Śledczy FR zostanie ponownie włączony do Prokuratury Generalnej. Ta zaś może być połączona z Ministerstwem Sprawiedliwości, poprzez likwidację tego ostatniego (Prokuraturę Generalną byłoby trudniej formalnie zlikwidować, bo wspomina o niej konstytucja). Likwidacji ma ulec Ministerstwo ds. Nadzwyczajnych. Pracownicy służb ratunkowych i strażacy pójdą do Ministerstwa Obrony i MSW. Federalna Służba Penitencjarna pozostanie zapewne autonomiczna, możliwe, że w ramach połączonych Prokuratury Generalnej i Ministerstwa Sprawiedliwości. W skrócie likwidacja pięciu wielkich instytucji (SWR, FSO, Komitet Śledczy, Ministerstwo ds. Sytuacji Nadzwyczajnych, Prokuratura Generalna), plus wcześniejsza likwidacja FSKN i FMS, po czym krajobraz sektora siłowego w Rosji wyglądałby następująco: MGB, SBP, MSW, Ministerstwo Sprawiedliwości, Gwardia Narodowa, Ministerstwo Obrony i GRU. Reorganizację poprzedzić mają zmiany na stanowiskach szefów obecnie istniejących służb. I to faktycznie zaczęło następować już kilka dni po publikacji. 22 września Putin ogłosił, że zmienia szefa SWR. Michaiła Fradkowa zastąpił dotychczasowy spiker Dumy, Siergiej Naryszkin. Jako główne zadanie prezydent postawił przed nim „neutralizowanie zagrożeń (dla Rosji) na wczesnym etapie". Formalnie Naryszkin przejął wywiad 5 października. Także w październiku stanowisko stracił wpływowy rzecznik Komitetu Śledczego Władimir Markin. Media prorokują rychłe odejście Bastrykina. Cały proces reform ma się zakończyć jeszcze przed wyborami prezydenckimi w marcu 2018 r.

Intryga FSB?

Ostatnie starcia wewnątrz siłowego obozu, głośne korupcyjne sprawy, nagłe dymisje i awanse, rajdy na biura i widowiskowe aresztowania potwierdzają, że już od dobrych paru miesięcy środowisko to szykowało się na nadchodzące zmiany. Stąd nerwowość i próby wzmocnienia własnej pozycji zanim zaczną zapadać kluczowe decyzje. I jeszcze jedno: to FSB właśnie, czyli służba, która ma rzekomo być trzonem MGB, gra pierwsze skrzypce w kampanii

eprasa.pl 12975ab158

antykorupcyjnej, uderzając boleśnie w inne siłowe struktury. Przede wszystkim w Komitet Śledczy i MSW.

Głośne sprawy zatrzymania pułkownika MSW Dmitrija Zacharczenki, śledztwa w sprawie znanego „wora w zakonie" Zacharija Kałaszowa (ps. „Młody Szakro"), aresztowania byłego gubernatora Komi Wiaczesława Gajzera, zatrzymanie, rzekomo na gorącym uczynku, podczas przyjmowania łapówki, gubernatora obwodu kirowskiego Nikity Biełycha i wiele innych To, co początkowo uważano za przejaw walki klanów, może być wstępem do tego, czym się zajmować będzie MGB. A dokładniej, czym w ramach nowego resortu chciałaby się zajmować Łubianka. To kampania osłabiania i dyscyplinowania innych siłowików. FSB aresztowała w lipcu wysokich funkcjonariuszy Komitetu Śledczego tak naprawdę za ich sabotowanie śledztwa przeciwko Młodemu Szakro. Z kolei Zacharczenkę FSB zgarnęła za pomaganie ludziom zamieszanym w korupcję w sprawie byłego gubernatora Komi Wiaczesława Gajzera. W obu wypadkach funkcjonariuszy państwowych zatrzymywano nie za korupcję, ale za to, że mieli coś przeciwko monopolowi FSB na śledztwa. Kompromat jest na każdego, bo w putinowskiej Rosji każdy przedstawiciel władzy „bierze" mniej lub więcej. To wygodne narzędzie do wewnętrznych porachunków. Rzecznik Komitetu Śledczego Władimir Markin też poleciał głównie za to, że wskazywał na słabość FSB do prowadzenia śledztw korupcyjnych, mówił, że SKR jest w tym nieporównanie lepszy. Chodzą plotki, że na Łubiance istnieje bogate archiwum nagrań z podsłuchów znacznej liczby najwyższych urzędników państwowych i biznesmenów, prowadzonych od długiego czasu bez jakichkolwiek sądowych pozwoleń. I to nie dlatego, że sędziowie się nie zgadzali, tylko dlatego, że FSB w ogóle o taką zgodę nie występowała.

Eksperci zwracają uwagę, że sam fakt wszczęcia śledztwa przeciwko „królowi worów w zakonie" „Młodemu Szakro" było możliwe tylko dzięki temu, że inicjatorem była FSB, a nie Komitet Śledczy (SKR). Charakterystyczne, że właśnie śledczy Komitetu pospieszyli z raportami o dymisję, gdy tylko dowiedzieli się, że „Szakrem" zajęła się Łubianka. Do dymisji podali się szef zarządu śledczego SKR Aleksiej Kramarenko, jego zastępca Aleksandr Churciława oraz śledczy do szczególnie ważnych spraw Andriej Byczkow. Wiadomo, że w sprawie „Młodego Szakro" w charakterze podejrzanych występuje duża grupa wysoko postawionych pracowników Komitetu Śledczego. 13 lipca 2016 r. sąd wydał sankcję na areszt „Młodego Szakro". W tej sprawie w nocy z 18 na 19 lipca zatrzymano zastępcę naczelnika Głównego Zarządu Śledczego Komitetu Śledczego w Moskwie gen. Denisa Nikandrowa oraz dwóch innych wysoko postawionych funkcjonariuszy. Jednym z nich był niezmiernie wpływowy naczelnik Zarządu Bezpieczeństwa Wewnętrznego Głównego Zarządu Śledczego Komitetu Śledczego w Moskwie płk Michaił Maksimienko. Były specnazowiec był wcześniej szefem ochrony Aleksandra Bastrykina i uważano go za prawą rękę szefa KSR. FSB oczywiście nie uprzedziła Bastrykina, że zatrzyma jego ludzi... We wrześniu z kolei FSB uderzyła w MSW. W mieszkaniu płk. Dmitrija Zacharczenki, który zajmował się walką z korupcją, znaleziono gotówkę. 120 mln dolarów. Zresztą struktury MSW odpowiedzialne za walkę z przestępczością gospodarczą od dawna są na celowniku Łubianki. Jeszcze w 2015 r. zatrzymany został generał-lejtnant policji Denis Sugrobow, do lutego 2014 r. stojący na czele Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Ekonomicznego i Przeciwdziałania Korupcji MSW. Został aresztowany z zarzutami zorganizowania grupy przestępczej, prowokacji łapówki i przekroczenia służbowych uprawnień.

Bezpośrednio przed tym, jak MSW i Komitet Śledczy zostały osłabione aresztowaniami ich pracowników, Putin usunął dwa inne ośrodki będące potencjalną konkurencją dla FSB: rozwiązano Federalną Służbę Kontroli Obrotu Narkotykami (FSKN) i Federalną Służbę Migracyjną (FMS). Faktem jest, że szef FSKN Wiktor Iwanow już od roku był spisany na straty. Decyzja o likwidacji jego agencji zapadła podobno już na początku 2015 r., ale Iwanowowi udało się odwlec wykonanie wyroku. Na Łubiance pamiętano o wojnie z FSKN w 2007 r. Kierowana przez byłego kagiebistę Wiktora Czerkiesowa, uważanego za bliskiego Putinowi, służba antynarkotykowa działała dalece poza swymi głównymi zadaniami. Uderzyła w samą FSB, prowadząc działania operacyjne przeciwko grupie oficerów zamieszanych w wielkie korupcyjne i przemytnicze operacje. Tamto starcie FSKN przegrała, co stało się jasne w momencie, gdy w „Kommiersancie" pojawił się artykuł Czerkiesowa, w którym prosił członków wspólnoty bezpieczeństwa, środowisko czekistów, by się nawzajem nie atakowało. Potem z roku na roku znaczenie FSKN malało, choć w świetle prawa wciąż pozostawała jedną z trzech państwowych agencji, które mogą prowadzić dochodzenia, zakładać podsłuchy i używać innych metod do zbierania informacji w sposób niejawny.

Charakterystyczne dla działania czekistów z FSB jest to, że starają się przejmować kadrowo zaatakowane struktury. Przykładem jest sprawa szefa Federalnej Służby Celnej (FTS) Andrieja Bieljaninowa. Pod koniec lipca FSB przeszukała jego mieszkanie. Znaleziono około 10 mln rubli (równowartość 160 tys. dolarów), 400 tys. dolarów i 300 tys. euro. Bieljaninow, który ma w śledztwie status świadka, powiedział, że są to oszczędności rodziny. Do aresztu nie trafił pewnie tylko dlatego, że służył w KGB w NRD w tym samym czasie co Putin. Musiał jednak podać się do dymisji. Zastąpił go Władimir Buławin. Od końca lat 70. XX wieku pracował w służbach bezpieczeństwa; w 2006 r. był wicedyrektorem FSB, w 2008 r. pierwszym zastępcą sekretarza Rady Bezpieczeństwa Rosji Patruszewa. Krótko mówiąc, człowiek Łubianki.

eprasa.pl 12975ab158

Trzecia kadencja prezydencka Putina dała nowy impuls wzrostowi ambicji FSB. Po pierwsze, sprzyja temu generalny konserwatywny trend, antyamerykańska retoryka, rosnący izolacjonizm Rosji. Po drugie, wzrosła rola specsłużb w związku z zaangażowaniem Rosji w wojny na Ukrainie i w Syrii. W warunkach militaryzacji polityki państwa, realnym ośrodkiem rządzenia stała się Rada Bezpieczeństwa z silną reprezentacją siłowików (z byłym szefem FSB Patruszewem jako sekretarzem na czele), a nie rząd. Teraz Łubianka wyraźnie ma ambicję zdominowania niemal całego sektora bezpieczeństwa – a niewykluczone, że artykuł w „Kommiersancie" był inspirowany właśnie przez ludzi z FSB. Ale to by oznaczało, że zaostrza się walka w Moskwie, Putin wcale o wszystkim nie decyduje, a powstanie MGB nie jest przesądzone. I to nie tylko dlatego, że taka perspektywa nie uśmiecha się rywalom FSB.

Strachy Putina

Jedna z teorii mówi, że pomysł powstania MGB świadczy o strachu Putina przed protestami społecznymi w 2018 r., kiedy zaplanowano wybory prezydenckie. To dlatego zmianom w służbach towarzyszy zaostrzanie prawa – wzmacniające głównie FSB. 24 czerwca Duma przyjęła nowe tzw. ustawy antyterrorystyczne, które zaostrzają kary za większość przestępstw związanych z ekstremizmem. Obniżają próg odpowiedzialności karnej za te czyny z 16 do 14 lat, wprowadzają m.in. nowy rodzaj przestępstwa – „akt terroryzmu międzynarodowego", popełniony poza granicami Rosji, a zagrażający jej obywatelom (15–20 lat więzienia lub dożywocie). Za finansowanie aktów terroryzmu międzynarodowego i werbowanie wspólników kara wyniesie 5–10 lat więzienia. Za publiczne wezwania do terroryzmu w internecie, a także jego publiczne usprawiedliwianie 5–7 lat (dotychczasowe przepisy nie określały dolnego progu). Nowe prawo przewiduje dla operatorów sieci komórkowej i portali społecznościowych obowiązek przechowywania informacji o rozmowach i korespondencji użytkowników. Informację o połączeniach, SMS-ach, zdjęciach oraz plikach dźwiękowych i wideo operatorzy będą musieli przechowywać przez trzy lata, natomiast treść rozmów i korespondencji – przez pół roku. Dotyczy to też komunikatorów internetowych i portali społecznościowych, choć z krótszymi okresami przechowywania. Ten, kto dodatkowo koduje informacje, będzie musiał przekazać FSB klucze do kodów.

Ale na przykład Andriej Sołdatow, rosyjski specjalista od służb specjalnych, współautor książki o FSB pt. „Nowa arystokracja", uważa, że to nie obawy przed protestami społecznymi stoją za konsolidacją aparatu bezpieczeństwa. Takie reformy bowiem muszą wywołać okresowy chaos i osłabić struktury siłowe. „Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego mieliby wywołać chaos przed takim wydarzeniem jak wybory 2018 roku, które jest kluczowe dla Kremla. Mam przeczucie, że to raczej chęć pokazania trendu wzmacniania służb specjalnych, co ma uspokoić Pierwszego [tak mówi się o Putinie – red.] – i to wszystko" – mówi Sołdatow. Ale skoro nie chodzi o protesty społeczne, to o jakie uspokajanie chodzi? Wątpliwości nie ma tu politolog Stanisław Biełkowskij, który tak ocenia pomysły koncentracji zasobów bezpieki: „W pewnym sensie jest to oznaka siły Putina, bo czuje się pewny wystarczająco do sprawowania pełnej, osobistej, autorytarnej władzy. Ale to jest też oznaka słabości, bo motywem za tym stojącym jest zapobieżenie pałacowym przewrotom".

18 grudnia 2014 r. na koniec dorocznej konferencji Putin usłyszał pytanie, czy możliwy jest wymierzony w niego pałacowy przewrót. – Nie mamy tutaj pałaców, tylko oficjalne rezydencje – żartem odpowiedział prezydent. Kwestia nazewnictwa. Ale Putin na pewno pamięta, że pałacowe przewroty doprowadziły do upadku Ławrentija Berię, Nikitę Chruszczowa i Michaiła Gorbaczowa. Sądząc po nastrojach społecznych, jemu uliczny bunt nie grozi. Przeciwnie, obecnie widzimy integrację mas wokół przywódcy. Inna rzecz to elity. Dlatego kluczem do utrzymania władzy będzie panowanie nad strukturami siłowymi. Putin zdaje sobie sprawę, że nigdy nie uzyska pełnej lojalności wszystkich służb i gdy dojdzie do sytuacji kryzysowej, to może się to skończyć tak, jak z Janukowyczem. W pierwszej kolejności siłowicy będą ratować siebie, ratować system, a nie samego Putina. Prezydent powinien też pamiętać, że zbyt wielka zależność od „twardogłowych" może okazać się niebezpieczna. – Rosja jest zakładnikiem reżimu, reżim jest zakładnikiem Putina, a Putin jest zakładnikiem własnych decyzji, które pozostawiły go bez strategii wyjścia – te słowa analityka Nikołaja Pietrowa chyba najlepiej oddają położenie, w jakim znajduje się dziś prezydent Rosji.

Stworzenie MGB jest częścią „projektu mającego na celu wymianę starych sojuszników na nowych" – uważa Biełkowskij. Dlaczego? Putin „nie lubi być otoczony przez ludzi, którzy czują się nietykalni z racji ich personalnej bliskości z nim. Nie chce mieć nic do czynienia z jego starymi przyjaciółmi, on chce ludzi, którzy mogą wykonywać jego wolę". „Należy pamiętać, że KGB nie był tradycyjną służbą bezpieczeństwa w zachodnim tego terminu sensie, czyli agencją mającą chronić interesy kraju i jego obywateli. Głównym jego zadaniem była ochrona reżimu" – mówi Sołdatow. „Głównym zadaniem zawsze była ochrona interesów tego, kto rezyduje na Kremlu. Wraz z nową agencją widzimy powrót do tej formy". Putin wyraźnie jest zaniepokojony możliwością konspirowania wewnątrz elity przeciwko niemu. MGB i Gwardia Narodowa mają być gwarantami jego władzy. Na kogo może liczyć Putin w razie próby puczu? Na przedmieściach Moskwy stacjonują dwie elitarne dywizje wojska: 2. Gwardyjska Tamańska Zmotoryzowana i 4. Gwardyjska Kantemirowska Pancerna. W sumie 20 tys. żołnierzy. Sam Kreml jest chroniony przez Pułk Kremlowski FSO (5,5 tys. ludzi). Plus kolejne

eprasa.pl 12975ab158

5 tys. uzbrojonych ludzi. Gwardia Narodowa to kolejne 20 tys. żołnierzy w Moskwie (w tym elitarna 1. Samodzielna Dywizja Specjalnego Przeznaczenia im. Dzierżyńskiego), 35 tys. byłych Wojsk Wewnętrznych (m.in. 21 Samodzielna Brygada Specnazu i 604. Centrum Specnazu), 3 tys. z jednostek OMON. Jest FSB ze specnazem Alfa oraz 50 tys. policjantów.

„Jak wygląda spisek urzędników? To zawsze sabotaż, który, nawiasem mówiąc, gubił ZSRS. Żeby taki sabotaż przełamać, trzeba zacząć czystki. Jeśli Putin zacznie czystki, to zrodzi w odpowiedzi sprzeciw. Czy ma on środki do przeprowadzenia czystki biurokracji? Czy jest gotów na nowy 1937 rok? Czy FSB będzie tak skuteczna w charakterze aparatu represji, jak był NKWD? Nie jestem przekonany" – pisał wiosną 2015 r. były wicepremier Alfred Koch.

Jednak czekistowski pluralizm?

Konsolidacja bloku siłowego jest faktem i nie ma też żadnych wątpliwości co do motywacji Putina. Ale już projekt MGB budzić może poważne wątpliwości, choćby już dlatego, że nikt na Kremlu tego nie potwierdza. Ale nie tylko to pozwala postawić przy rzekomym planie spory znak zapytania. Przede wszystkim, znając ostrożność w postępowaniu Putina wobec FSB, trudno uwierzyć, że zgodziłby się poddać Łubiance akurat tę służbę, na której dotychczas mógł polegać najbardziej: FSO. Czy wymieniałby niedawno starego Murowa na swojego byłego ochroniarza, zaufanego Dmitrija Koczniewa, by zaraz potem kazać mu podporządkować się FSB? Podobnie sytuacja wygląda z wywiadem. Dopiero co Fradkowa zastąpił Naryszkin, także lojalny i skuteczny wykonawca poleceń z Kremla. Jeśli nawet nie chodzi tu o zachowanie samodzielności, to na pewno co najmniej można zakładać, że chodzi tu o umocnienie FSO i SWR tak, by nie dały się zdominować w ramach superresortu Łubiance. Borys Wołodarski, były oficer GRU, dziś ceniony ekspert ds. rosyjskich służb, idzie jeszcze dalej, twierdząc, że to FSO, a nie FSB, będzie dominowała w MGB, a dokładniej „ludzie ze Służby Bezpieczeństwa Prezydenta, którzy zdominują wszystkie inne organy bezpieczeństwa". Są i inne możliwości. Na przykład taka, że MGB faktycznie powstanie, ale wcale nie będzie miała tak dużych uprawnień, jak chcieliby to widzieć autorzy artykułu w „Kommiersancie" – ci prawdziwi, z FSB.

Z powstaniem MGB wiąże się też inne ryzyko. Gudkow uważa, że taka reforma doprowadzi do usunięcia wzajemnej kontroli między agencjami – i to jest najbardziej niebezpieczna część propozycji: „Mieliśmy to tutaj już wcześniej, w latach 30. podczas wielkiego terroru, po wojnie za czasów Berii czy podczas rządów Breżniewa, gdy KGB było monstrum". Budowa superresortu to ryzyko superkorupcji. Choć tym akurat Putin zapewne by się nie przejmował. Przejmować powinien się czym innym. Galeotti zwraca uwagę, że stworzenie superresortu bezpieczeństwa może stanowić zagrożenie dla Putina. W czasach sowieckich partia dbała o zachowanie kontroli nad KGB. „Dziś nie ma takiej instytucji. Nie będzie nic naprawdę znaczącego poza tym ministerstwem, czego Putin może użyć, nie licząc armii, aby naprawdę kontrolować resort". No tu akurat Galeotti się myli, bo taką funkcję będzie miała Rosgwardia. Zdaje też sobie z tego sprawę Łubianka. I blokuje nowy twór jak się tylko da. Pouczająca jest tu historia ze statusem Zołotowa w Radzie Bezpieczeństwa. Przypomnijmy, w kwietniu 2016 r. Putin powołał Gwardię Narodową (Rosgwardię) z byłym szefem SBP Wiktorem Zołotowem na czele. 6 kwietnia 2016 r. dekretem Putin wyznaczył nowo mianowanego szefa Gwardii Narodowej na stałego członka Rady Bezpieczeństwa. Ale 11 kwietnia 2016 r. pojawiła się korekta dekretu: Zołotow został „zdegradowany" do pozycji zwyczajnego członka Rady. Wpływy FSB w Radzie okazały się wystarczająco mocne także w sierpniu, kilka miesięcy później, gdy doszło do zmian związanych z zastąpieniem Siergieja Iwanowa przez Antona Wajno. Pierwszy pozostał w Radzie Bezpieczeństwa, drugi do niej wszedł. Ale znów nie udało się awansować na członka stałego Rady gen. Zołotowa. Jego status ustępuje więc statusowi dyrektora FSB i ministra obrony, wchodzących w skład tzw. małej Rady Bezpieczeństwa (stali członkowie).

Być może Putin szuka innego sposobu na zneutralizowanie – potencjalnego – problemu w postaci zbytniej niezależności FSB. Najlepiej, gdyby udało mu się na głównych stanowiskach postawić swoich ludzi. W tym kontekście warto szczególnie uwagę zwrócić na Siergieja Koroliewa. W 2004 r. ten major petersburskiego zarządu FSB poprosił o przejście do rezerwy Federalnej Służby Podatkowej (FNS). Potem okazało się, że jest doradcą ministra obrony Anatolija Sierdiukowa. Nieoficjalnie wiadomo, że nadzorował dla ministra GRU. Potem nieoczekiwanie Koroliew został naczelnikiem Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (GUSB) FSB. Jeśli w policyjnym środowisku czekistów nazywa się „stróżami", to można powiedzieć, że Koroliew został „stróżem pilnującym stróżów". To ludzie Koroliewa stoją za niemal wszystkimi ostatnimi głośnymi akcjami FSB przeciwko innym siłowikom i gubernatorom. A dokładniej, robi to elitarna 6 Służba GUSB FSB, nazywana „opryczniki". Komórka powstała w 2008 r. Liczy tylko 35 osób. Podobno są nieprzekupni. Za to wiedzą, że po odejściu z „szóstki" czeka ich lukratywna posada. Niektórzy na Łubiance po cichu mówią o nich „gestapo". Pojawiają się plotki, że „szóstka" znajduje się pod protekcją Zołotowa. Koroliew wykorzystał ich do zniszczenia dotychczasowego kierownictwa potężnej Służby Bezpieczeństwa Ekonomicznego FSB, a następnie sam dostał w lipcu od Putina nominację na szefa SEB FSB. Historia pokazuje, że to idealny fotel do wykonania kolejnego skoku: na fotel dyrektora FSB, a może i dalej. ■

eprasa.pl 12975ab158

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, ale są ważne.

Hongkong

Wrześniowe wybory do Rady Legislacyjnej (LEGCO) w Hongkongu przyniosły nie tylko rekordową frekwencję (wzięło w nich 58 proc. upoważnionych do głosowania). Oto wśród zwycięzców znaleźli się kandydaci popierający większą autonomię Hongkongu, a nawet jego niepodległość. Nadzieje Pekinu, że deputowani LEGCO będą przegłosowywać tylko ustawy zaakceptowane przez władze ChRL i że nie będzie żadnego sprzeciwu wobec polityki komunistów, legły w gruzach. Potwierdziło to pierwsze posiedzenie Rady Legislacyjnej z 12 października tego roku. Podczas ceremonii zaprzysiężenia kilku nowo wybranych deputowanych zmieniło treść przysięgi. Zamiast zadeklarować lojalność wobec „Specjalnego Regionu Administracyjnego Chińskiej Republiki Ludowej, Hongkong", przysięgali wierność narodowi Hongkongu. Jedna z deputowanych, Yau Wai-ching, składając ślubowanie, rozwinęła baner „Hongkong to nie Chiny". Niektórzy politycy w tekście przysięgi przekręcali także wymowę słowa „Chiny" na „Shina", co w chińskich uszach brzmi obelżywie. Tak mówili Japończycy w czasie II wojny.

Jeden z proniepodległościowych polityków wybranych do LEGCO, Nathan Law, przed ślubowaniem przywołał słowa Gandhiego: „Możecie mnie zakuć w kajdany; możecie torturować; możecie zniszczyć moje ciało; ale nigdy nie uwięzicie mojego umysłu". Law dodał, że przeczyta wymagany tekst przysięgi, ale to nie znaczy, że kłania się władzy absolutnej. „To Hongkończycy będą zawsze celem naszej służby" , powiedział 23-letni Nathan Law, organizator „rewolucji parasoli" w 2014 r., czyli 80-dniowego protestu polegającego na okupacji ulic Hongkongu. Wówczas domagano się wolnych wyborów i protestowano przeciwko ograniczaniu podstawowych wolności przez Pekin. Partia Nathana Law, Demosisto, domaga się referendum, które ma zdecydować o przyszłości Hongkongu, w tym o kwestii niepodległości.

Protesty deputowanych w czasie uroczystości zaprzysiężenia pokazały, że Chiny muszą stawić czoła młodemu pokoleniu Hongkończyków nastawionemu antykomunistycznie, prezentującemu lokalny patriotyzm i postulującemu większą niezależność od Pekinu.

Tajwan–Chiny

Po dojściu do władzy na Tajwanie proniepodległościowej Demokratycznej Partii Postępu (DPP) relacje na linii Tajpej–Pekin oziębły. Komunistyczne władze Chin niezadowolone z wyboru Tajwańczyków zerwały rozmowy z Tajpej. Po zmianie prezydenta na wyspie z prochińskiego Ma Ying-jeou na zapowiadającą bronić suwerenności Tajwanu Tsai Ing-wen, Pekin niemal całkowicie zakazał obywatelom ChRL wyjazdów w tamten region. W połowie września władze zgodziły się na wycieczki chińskich grup, ale tylko do ośmiu tajwańskich miast, w których lokalną władzę sprawuje partia Kuomintang.

Akcje wymierzone w Tajwańczyków przybierają nieraz komiczne formy. W państwowej księgarni w Szanghaju można kupić słownik języka angielskiego wydany przez Merriam Webster, z którego wyrwano kartki z hasłem „Tajwan". Internauci donoszą, że w innych miastach Państwa Środka sytuacja wygląda podobnie. Gdy jeden z nich zapytał pracownika szanghajskiej księgarni, dlaczego słowniki nie są w oryginalnym opakowaniu i nie mają wszystkich stron, usłyszał, że sklep „musiał zająć się problemem, który publikacja zawierała". W słowniku Merriam Webster pod hasłem „Tajwan" widnieje informacja, że wyspa jest siedzibą władz Republiki Chińskiej (Tajwan).

Jednak okazuje się, że nie wszyscy są tak czujni w ChRL, jak księgarnie czy biblioteki. 9 października w jednym z programów chińskiej stacji Hunan ukazała się mapa ChRL, na której Tajwan nie został zaznaczony jako terytorium należące do Państwa Środka. Stacja nie zauważyła tego, ale wyłapali to interne-

eprasa.pl 12975ab158

towi trolle i donieśli o tym m.in. na Weibo, chińskim odpowiedniku Twittera. „Tajwan jest niedoszłą częścią Chin [...] Nie chodzi tylko o to, co ukazało się w programie telewizyjnym, ale o dużo ważniejszą kwestię – polityczną ideologię, jaka powinna towarzyszyć programom i jaką powinni się wykazywać ich twórcy" – pisał jeden z „zaniepokojonych internautów". „Błędny" materiał został usunięty ze strony internetowej stacji.

Wietnam–USA

18 października na spotkaniu z Carą Abercrombie, przedstawicielską amerykańskiego Departamentu Obrony, wiceminister obrony Wietnamu Nguyen Chi Vinh stwierdził, że jego kraj poparłby amerykańską interwencję w regionie Azji i Pacyfiku, jeśli będzie ona służyć utrzymaniu pokoju i stabilności. Uważa się, że tak daleko idące zapewnienie o wsparciu dla amerykańskiej polityki w regionie ze strony wietnamskiego ministerstwa obrony, znanego ze swojej powściągliwości, jest wyrazem coraz większego zaniepokojenia Wietnamu polityką prowadzoną zwłaszcza na wodach Morza Południowochińskiego przez Chiny. Prawa do strategicznych terenów na Morzu Południowochińskim rości sobie wiele okolicznych państw. Poza Chinami Ludowymi i Wietnamem są to także Filipiny, Malezja i Tajwan (Republika Chińska).

Pekin jednak działa bardzo zdecydowanie i buduje na wodach morza sztuczne wyspy pod bazy wojskowe, a także prowadzi ćwiczenia militarne. Na przełomie września i października takie manewry ChRL zorganizował wspólnie z Rosją. Wyspy budowane przez ChRL to ważne ogniwo w chińskiej dominacji na Morzu Południowochińskim. Dzięki obecności w tym regionie Pekin będzie mógł kontrolować kluczowe szlaki żeglugowe i podmorskie złoża surowców.

Wietnamskie wsparcie dla amerykańskiej polityki w regionie Azji i Pacyfiku przyszło w momencie, gdy relacje USA z kilkoma innymi sojusznikami w tym obszarze, np. z Tajlandią i Filipinami, nie są najlepsze i gdy państwa w regionie obawiają się, że po wyborach nowe władze w Białym Domu mogą, jak pisze agencja Reuters, „przywiązywać mniejszą uwagę do utrzymania Chin w ryzach", przez co działania Pekinu w tym regionie mogą być jeszcze śmielsze.

Relacje USA z Wietnamem rozwijają się jednak bardzo dobrze. W maju Wietnam odwiedził Barack Obama. W czasie tej wizyty amerykański przywódca ogłosił, że zniesione zostaje embargo na sprzedaż broni, nałożone przez USA na Wietnam jeszcze w czasie wojny z tym krajem. Na początku października baza okrętów podwodnych USS Frank Cable i niszczyciel rakietowy USS John S. McCain zawinęły do wietnamskiej bazy Cam Ranh Bay. Zapowiadane są także wspólne manewry oddziałów piechoty morskiej USA i Wietnamu.

Japonia–Rosja

W połowie października japońskie media donosiły, że rząd Kraju Kwitnącej Wiśni gotowy jest zawrzeć traktat pokojowy z Rosją bez naciskania na Moskwę, by ta uznała japońskie zwierzchnictwo nad czterema wyspami: Kunashir, Iturup, Habomai i Shikotan położonymi na północ od japońskiej wyspy Hokkaido. Rosja nazywa te wyspy Kurylami Południowymi. Z powodu sporu o te tereny Moskwa i Tokio nie podpisały traktatu pokojowego po II wojnie światowej.

Odnosząc się do możliwości zawarcia traktatu japońsko-rosyjskiego, dziennik „Nikkei" napisał nawet, że japoński premier Shinzo Abe rozważa zgodę na wspólne administrowanie wyspami i takie rozwiązanie miałoby być negocjowane na spotkaniu japońskiego przywódcy z Władimirem Putinem 15 grudnia tego roku. Rzecznik japońskiego MSZ zaprzeczył informacjom japońskich gazet i stwierdził, że „nie ma rozmów na temat wspólnego administrowania wyspami z Rosją".

Przemawiając w japońskim parlamencie na początku października, Shnizo Abe stwierdził, że doprowadzi do rozwiązania kwestii dotyczących wysp i do zawarcia traktatu pokojowego. Nie podał jednak żadnych innych szczegółów.

Uważa się, że Abe zależy na poprawie relacji z Moskwą, ponieważ japońska administracja obawia się zmian w azjatyckiej polityce USA po wyborach. Tokio szczególnie zaniepokojone jest wypowiedziami Trumpa. Kandydat republikanów oskarża Japończyków, że z rozmysłem obniżyli wartość jena, co przekłada się na niższą konkurencyjność amerykańskich produktów oraz pogarsza stan zatrudnienia w USA, a także że kupują zbyt mało amerykańskich towarów, co ma wpływ na ogromny deficyt handlowy. Trump twierdzi również, że traktat z 1960 r., regulujący zasady sojuszu amerykańsko-japońskiego, jest niesprawiedliwy, bo obliguje tylko stronę amerykańską do obrony Japonii. Według kandydata republikanów, USA nie ma takiej gwarancji ze strony Tokio.

Kraj Kwitnącej Wiśni obawia się, że wygrana Trumpa będzie oznaczać też, iż nie wejdzie w życie umowa TPP (Partnerstwo Transpacyfistyczne), którą administracja Abe traktuje jako kluczowe narzędzie w polityce gospodarczej, a także jako element przeciwwagi dla chińskiej potęgi. ■

eprasa.pl 12975ab158

Olga Doleśniak-Harczuk

Czyści jak łza

Swoje pięć groszy do ostatniej debaty denazyfikacyjnej wywołanej w Niemczech po opublikowaniu raportu Ministerstwa Sprawiedliwości dotyczącego Akt Rosenburg dołożył w październiku syn „rzeźnika Polski" Hansa Franka – Niklas. To trudny autor. Z jednej strony, bezkompromisowo, jako pierwszy potomek prominentnej, wiernej Hitlerowi rodziny w Niemczech, rozprawił się z przeszłością swoją i rodziców, otwierając tym samym nowy, nieznany wcześniej rozdział w literaturze rozliczeniowej związanej z II wojną światową. Z drugiej zaś, w rozmowie z dziennikarzem pewnej znanej gazety absurdalnie odniósł się do nowej sytuacji politycznej w Polsce, zarzucając nam „zmierzanie w kierunku autokracji".

Niklas Frank nie rozumie Polski, to jasne. Jest nie tylko dzieckiem Hansa Franka, lecz także Pokolenia '68. Czytając jego publikacje i słuchając wygłaszanych opinii, warto o tym pamiętać. To specyficzna mieszanka. Nie to mnie jednak zajmuje, kiedy mam przed sobą jego najnowszą książkę.

O ile Akta Rosenburg dotyczą nazistowskich elit na wysokich rządowych posadach i ich macek w kształtowaniu prawodawstwa w powojennych Niemczech Zachodnich (więcej na ten temat w artykule na s. 70), o tyle najnowsza publikacja Niklasa Franka „Ciemna dusza, tchórzliwa gęba" („Dunkle Seele, Feiges Maul. Wie skandalös und komisch sich die Deutschen beim Entnazifizieren reinwaschen", Dietz, 2016) schodzi kilka poziomów niżej, do zwykłych Niemców, których na chybił trafił sprawdza pod kątem złożonych przez nich zeznań w procesie denazyfikacji. Autor już na wstępie sygnalizuje, że nie

eprasa.pl 12975ab158

będzie to publikacja dla Niemców przyjemna. Dosadnie określa współczesne Niemcy jako „wielką, czarno-brunatną kulę gnoju pozlepianą z milionów bezrozumnych ludzi, po której pełzają demokraci pilnujący, by ta kula toczyła się we właściwym kierunku i nie pękła".

▶ 3,6 milionów akt

Z jednej więc strony mamy rządowy raport podliczający winy i świadome manipulacje powojennych elit, a z drugiej bardzo emocjonalną książkę o niemieckiej hańbie i zaprogramowanej amnezji historycznej. Warto zajrzeć do obu publikacji, ponieważ i jedna, i druga stanowi pewnego rodzaju świadectwo jakości debaty o denazyfikacji w dzisiejszych Niemczech. Naukowy raport na zimno mierzy się ze spuścizną III Rzeszy rozgrzeszonej na demokratycznych salonach powojennych Niemiec Zachodnich, nieprzebierająca w słowach książka Niklasa Franka daje zaś wgląd w zapomniane dziś już akta denazyfikacyjne tzw. zwykłych Niemców. Takich akt jest w niemieckich archiwach 3,6 mln, jedne ograniczają się do jednej strony notatek, inne zajmują po kilka kartonów. Pojawił się w pewnym momencie nawet pomysł, by te archiwa zniszczyć, ale jednak do tego nie doszło. Sam Frank na prace nad tymi dokumentami poświęcił wiele lat, jeździł od landu do landu, odwiedzał nawet najmniejsze archiwa, przejrzał 3 tys. akt denazyfikacyjnych z lat 1946–1951, z tego ogromu materiału wybrał 175, które opublikował w swojej książce.

▶ Sami wrogowie systemu

Autor przypomina, że do NSDAP należało ponad 8,5 mln Niemców i ludzie ci mieli rodziny, a mimo to zainteresowanie tym, „co robił tata lub dziadek za Hitlera", wśród zwykłych obywateli jest zjawiskiem marginalnym. Miliony zakurzonych, nikomu niepotrzebnych dokumentów leżą w archiwach i sami ich pracownicy ze zdumieniem patrzą na osobnika, który chciałby w nich nieco poszperać – twierdzi autor. Frank nie zabrał się do archiwów z pozycji historyka, ale opowiadacza historii, a wyszła z tego książka obnażająca kłamstwa Niemców, którzy, spełniając amerykańskie życzenie, spisywali swoje życiorysy, ale nie po to, by dać świadectwo prawdzie, ale by ją zatuszować, a z pewnością upiększyć. „Gdyby człowiek zabrał się do czytania tych zeznań, nie mając żadnej wiedzy na temat przeszłości, to mógłby pomyśleć, że w NSDAP byli sami przeciwnicy reżimu" – ironizuje autor. Siłą tej książki są autentyczne zapisy z akt denazyfikacyjnych 175 osób i protokoły izb orzekających, organów sądowniczych powołanych do kwalifikowania postawionych przed nimi Niemców według stopnia ich winy: od Hauptschuldige, czyli głównego winnego, do Entlastet – nieobciążonego. Słabością tej książki są jednak liczne wtręty autora, który nie może sobie odmówić komentowania zeznań i protokołów, ta konwencja utrudnia przebrnięcie przez naprawdę ciekawe źródła i historie. Znajdziemy tam m.in. historię Maksa Pfahlera, właściciela sklepiku z artykułami piśmienniczymi, który fotografował swoich rodaków robiących zakupy w żydowskich sklepach, by następnie te zdjęcia ustawiać w witrynie swojego sklepu, zadbał też o to, by jego zdjęcia pokazywano przed kinowymi seansami. Jako członek NSDAP i SA Pfahler często wychodził na piwo z kompanami z partii, raz tak się upili, że wywiązała się kłótnia, Pfahler dźgnął nożem swoich kompanów, w swoim oświadczeniu denazyfikacyjnym napisze później, że „zaatakował fanatyków", a później przytoczy historię z Włoch, gdzie puścił wolno dwóch włoskich policjantów, „bo przejrzał system i zrobił mu na złość". W mowie obrońcy innego „wroga systemu", członka NSDAP, Ortsgruppenleitera Maksa Fürholzera, czytamy, że „jego żona była wcześniej w związku małżeńskim z Żydem, ale to go wcale nie skłoniło do zażądania rozwodu". Poza tym Fürholzer był „zdolnym śpiewakiem i dyrygentem chóru Elfy, którego członkowie nie przepadali za reżimem". Rozśpiewanego nazistę oczyszczono z win i puszczono wolno. To tylko czubek góry lodowej. Frank opisuje wiele przypadków, w których zbrodniarze niemieccy zdołali tanimi chwytami uniknąć kary. Generalnie izby orzekające nie ferowały ostrych wyroków – jak wynika z danych z 1969 r., spośród 3 660 648 Niemców, którzy stanęli przed Izbą, jako głównych winnych zaklasyfikowano zaledwie 1667. Łącząc tę wiedzę z raportem Rosenburg, jeszcze lepiej widać, jak przebiegała denazyfikacja. Czyli jak nie przebiegała. A w kwestii Niklasa Franka jest pewna ciekawostka, która jego książkę stawia w jeszcze innym świetle niż sama dbałość o rozliczenie Niemców za zbrodnie II wojny światowej. Autor bowiem jest przekonany, że brak denazyfikacji zaowocował m.in. tym, że Niemcy są dziś niechętni uchodźcom i podpalają schroniska dla azylantów. Wiele można Niemcom zarzucić, ale mieszanie porażki rozliczenia z kryzysem migracyjnym ma posmak absurdu. ■

eprasa.pl 12975ab158

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Wyścig inny niż wszystkie

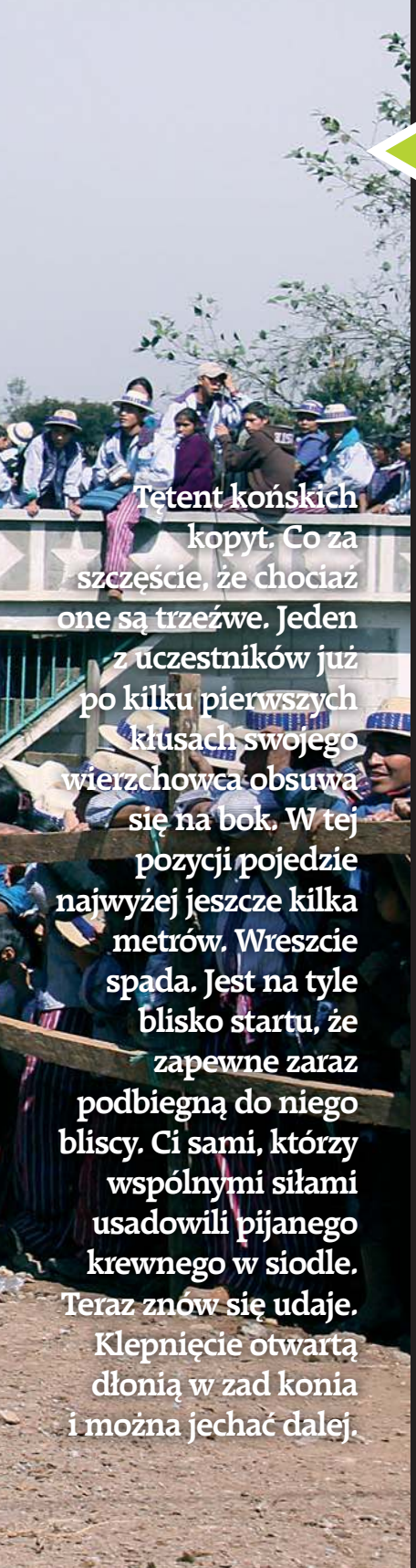

Tętent końskich kopyt. Co za szczęście, że chociaż one są trzeźwe. Jeden z uczestników już po kilku pierwszych kłusach swojego wierzchowca obsuwa się na bok. W tej pozycji pojedzie najwyżej jeszcze kilka metrów. Wreszcie spada. Jest na tyle blisko startu, że zapewne zaraz podbiegną do niego bliscy. Ci sami, którzy wspólnymi siłami usadowili pijanego krewnego w siodle. Teraz znów się udaje. Klepnięcie otwartą dłonią w zad konia i można jechać dalej.

fot. Wikipedia

– Deeees... despertarse! – odgłos jego gardłowego barytonu przenika przestrzeń wąskiej szutrowej uliczki.

Na próżno. Leżący na ziemi mężczyzna najwyraźniej i tak nic nie słyszy. O tym, że żyje, świadczy jedynie wydobywający się spod niego pochrapujący pomruk.

– Despertarse! – ponownie wydziera się starszy człowiek, opierając się jednocześnie o ścianę pobliskiego kamiennego domu. On też powoli nie ma siły.

– Silencio, por fa!!! – tym razem słychać w odpowiedzi przytłumiony kobiecy głos. Zza ściany którejś z okolicznych chat. Ktoś widocznie nie wytrzymał. Żąda ciszy. Trudno się dziwić. Jest grubo przed piątą.

– Ej... – tym razem mężczyzna próbuje szeptem. – Despertarse... Obudź się. Wstawaj. Ej... Już pora.

Pobudka nadal okazuje się bezskuteczna.

Nie ma więc wyjścia. Starszy mężczyzna zarzuca śpiocha na ramię. Dopiero teraz widzi wytaczającą się spod jego brzucha butelkę quezalteca. Jest pusta. Dźwięk odbijającego się o kamienie szkła znów sprawia, że na uliczce robi się głośno.

– Silencio, por fa!!! – słychać znajomy kobiecy głos.

Najwyższa pora stąd uciekać. Jeszcze kilka takich hałasów i ktoś będzie gotów wyjść pogonić winowajców. Mężczyzna z zarzuconym na ramieniu pijanym i na wpółprzytomnym kolegą rusza dalej. Choć słońca jeszcze nie widać, jest już na tyle jasno, że droga nie powinna stanowić trudności. Tylko ten 80-kilogramowy ciężar. Idący mężczyzna aż sapie z wysiłku. Dobrze jednak wie, że musi dokończyć misję, jakiej się podjął. Musi doprowadzić tego człowieka do stanu używalności. Ma na to jeszcze kilka godzin. Enrico musi być gotowy do startu. Od jego postawy zależy dobre imię całej rodziny. Wszyscy na niego liczą. A teraz także na jego wuja, którego wypuścili na zwiady, aby odnalazł zagubionego. Gdy będą już w komplecie, będą mogli zająć się przygotowaniami. Koń już czeka. Pora doprowadzić do ładu także jeźdźca.

fot. Wikipedia

Przygotowania do wielkiego wyścigu w Todos Santos

eprasa.pl 12975ab158

Todos Santos, czyli Wszyscy Święci

Inna, przeciwległa część miasteczka. Niebo jaśnieje coraz odważniej. Poranny brzask nieśmiało wkrada się w kolejne zaułki wsi. Podobnie jak w pozostałej części wioski, tak i tutaj nocną ciszę co pewien czas przeszywa jakiś szmer, szelest, dźwięk tłuczonego szkła. I tutaj też ktoś kogoś ucisza. Często uciekając się do wyzwisk. Cóż... To była wyjątkowa noc dla Todos Santos. I najwidoczniej nie wszyscy jeszcze zasnęli. Łuna leniwego światła stopniowo odkrywa przed widzem tego wiejskiego teatru kolejne szczegóły. Widać już na przykład czarną podeszwę buta leżącego w pobliżu któregoś z domów. Jeszcze kilka minut i zobaczymy kawałek stopy. Reszta ciała nadal jednak w cieniu. Z czasem wyłoni się z niego charakterystyczny wzór męskich spodni. To tzw. tipicos – szerokie, luźne, w kolorze czerwonym z równoległymi białymi cienkimi paskami. Spodnie wyróżniające wyłącznie tutejszych górali.

Dopiero za kilka godzin poranne słońce oświetli twarz śpiącego mężczyzny. Jest mocno „zmęczona". Dokoła silny fetor alkoholu. Nie trzeba wiele, aby domyślić się, co tak naprawdę działo się z tym śpiącym przez ostatnie godziny. Jak i z resztą mężczyzn Todos Santos.

W wyścigu wcale nie chodzi o to, kto będzie pierwszy...

fot. flickr.com

Gwatemalskie miasteczko Todos Santos. 160 kilometrów na północny zachód od stolicy kraju. 2700 metrów nad poziomem morza. W te góry nie sposób dojechać tzw. chicken-busem, jak w Gwatemali zwykło się nazywać lokalne autobusy. Te zabiorą nas jedynie do pobliskiego Huehue. Osady, od której zaczyna się ostatni odcinek trasy prowadzącej do Todos Santos. Pełen urwistych nawisów, ostrych nachyleń i licznych zakrętów. Zbyt wąskich i zbyt raptownych, aby zmieścić się w nich długim „chicken-busem". Trzeba kombinować. Poszukać okazji. Tuż przed 1 listopada powinno być ich znacznie więcej. Do Todos Santos jadą bowiem wszyscy. Na Wszystkich Świętych miejscowość zwielokrotnia swoją populację.

Na co dzień żyje tu około 3 tys. ludzi. Od kilku dni z utęsknieniem wyczekują młodych krewnych. Synów, zięciów, siostrzeńców. Tych wszystkich, którzy jakiś czas temu wyjechali z kraju za chlebem. W znakomitej większości do bogatego sąsiada z północy. W Stanach Zjednoczonych zarabiają na tyle dużo, że mogą z tego utrzymać swoich bliskich, których pozostawili na miejscu. Sami nie mają czasu, aby wrócić do rodzimego Todos Santos. Z wyjątkiem tego jednego dnia w roku. Wówczas stawia się większość. Chcą wziąć udział w wyścigu.

Wolny koniokrad

Nazywają go Skach Koyl. Wyścig wolnych. Wyścig pijanych Indian Mam. Wyścig na wierzchowcach. Organizowany co roku. Z okazji Wszystkich Świętych. Choć również w związku z tzw. El Dia de los Muertos, czyli Dniem Zmarłych. To święto trwa w Gwatemali dłużej niż u nas, bo już od 21 października aż do 2 listopada. Apogeum obchodów przypada na 1 listopada – wówczas w Dia de Todos Santos (Dzień Wszystkich Świętych) mieszkańcy Todos Santos celebrują pamięć zmarłych dzieci. Dzień później myślą o duszach dorosłych.

Celebracja świąt opartych na kalendarzu chrześcijańskim ma dość głębokie korzenie w antycznej kulturze Majów. U Indian Mam naprawdę ciężko to od siebie rozdzielić.

Podobnie jak ciężko jest zapomnieć historię zapisaną na najbardziej mrocznych kartach z dziejów miasteczka. Wydarzyło się to na początku XVI wieku. Gdy hiszpańscy konkwistadorzy brutalnie podbijali kolejne tereny współczesnej Gwatemali. Zabijając lokalną ludność, przejmując odnalezione bogactwa. Biorąc w niewolę część mieszkańców. Opancerzeni w zbroje, miecze i kolczugi napotykali z drugiej strony ludność nieznającą wówczas nawet konstrukcji koła. Gdy Europejczycy dotarli na gwatemalski interior, stało się jasne, że jedynie kwestią czasu jest zajęcie okolic Todos Santos. Około 1525 r. oddziały konkwisty stanęły u podnóża osady. To właśnie wówczas, jak głoszą miejscowe legendy, miejscowy rzezimieszek zakradł się do obozu białych i wykradł jednego z ulubionych wierzchowców Hiszpanów. Następnie puścił się w galop po zabłoconych ulicach Todos Santos. Konkwistadorzy szybko złapali złodzieja i ukarali śmiercią. Ale tętent pędzącego przez gwatemalską wioskę konia słychać ponoć do dziś. Zwłaszcza w ten jeden dzień roku. We Wszystkich Świętych. To wówczas wspomina się bezimiennego koniokrada. Bohatera. Człowieka, który chciał umrzeć wolnym. Skach Koyl to także wyścig-wspomnienie. Wspomnienie na jego cześć.

eprasa.pl 12975ab158

fot. Wikipedia

Charakterystyczne kapelusze, spodnie tipi cos oraz specjalne koszule – tak Indianie Mam ubierają się tylko na wyjątkową okazję

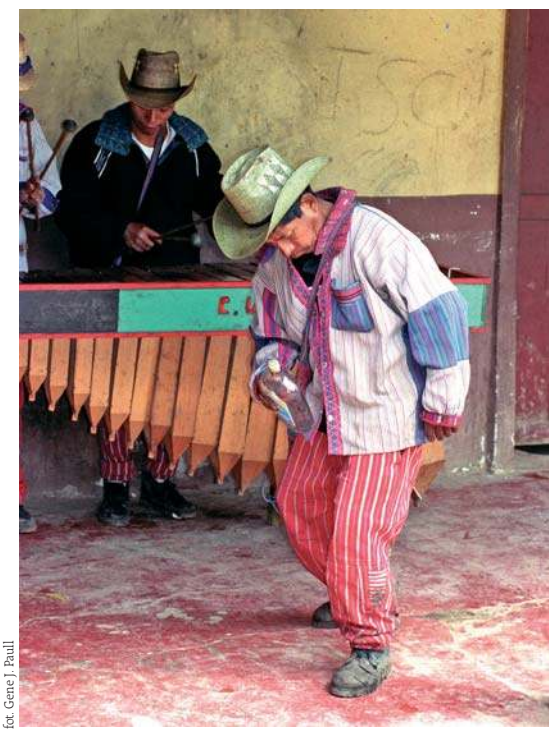

fot. Gene J. Paull

Przygotowania do wyścigu...

Wyścig bogatych krewnych

Nie wiadomo, czy opisani wcześniej mężczyźni – ten niesiony przez wujka i ten obnażany przez wschodzące słońce – są potencjalnymi uczestnikami Skach Koyl. To raczej postaci symbole. W tych hipotetycznych scenkach można odkryć atmosferę nocy poprzedzającej dzień wielkiego wyścigu.

Wytypowani do jazdy chętni nie śpią tej nocy praktycznie w ogóle. A jeśli już, to – jak w opisanej wyżej scenie – z pierwszymi brzaskami dnia są wybudzani przez troskliwych kompanów. Tych samych, którzy przez całą noc dbali o to, aby ich przyjaciel nie miał pustego kieliszka.

Nie jest łatwo być jednym z uczestników konnego wyścigu. Start w zawodach wymaga uprzedniego zgłoszenia popartego wpłatą solidnego wpisowego. Dodatkowo należy zadeklarować udział w rajdzie przez najbliższe cztery lata. W przypadku wycofania się uważa się to za wróżbę krótkiego życia. Uczestnicy rajdu traktowani są więc jako wybrani. Mogący pełnić zaszczyt wypełniania lokalnej tradycji.

eprasa.pl 12975ab158

fot. Stefan Czerniecki

Zaduszki po latynosku

Prawda jest także taka, że z mieszkańców Todos Santos mało kogo stać na udział w takim wyścigu. Większość z nich nie byłaby w stanie zakupić i utrzymać konia. Za tego zapłaci bogaty krewny-przybysz ze Stanów. I to on weźmie udział w wyścigu. Dopingowany przez swoich kumów. A następnie, jeśli przeżyje, odda im konia pod opiekę. Do następnego wyścigu. Za rok.

Byle wytrzymać

– Chjonta tey – z trudem wydobywa z siebie pijany młody chłopak ubrany w słomkowy kapelusz ozdobiony kolorowymi kwiatami. W języku tutejszych Indian Mam oznacza to mniej więcej tyle co nasze „dziękuję".

– Ku tat, ku tat... – odpowiada zgodnie dwóch jego towarzyszy, którzy podjęli się przed chwilą niełatwego wyzwania: próby ulokowania przyjaciela na wysokim grzbiecie jego wierzchowca. Teraz prowadzą go wraz z innymi śmiałkami na start. Zaraz się zacznie.

1 listopada. U nas Dzień Wszystkich Świętych. U Indian Mam dzień, w którym kończą się obchody poświęcone pamięci zmarłych przedwcześnie dzieci. Część pijanych mężczyzn dosiada koni właśnie dla nich. Zaczyna się apogeum uroczystości. Zaczyna się Skach Koyl.

– Soy hombre! (Jestem mężczyzną!) – słychać z tłumu. Nie wiadomo, czy krzyknął to któryś z jeźdźców, czy raczej widz ze zgromadzonego przy starcie tłumu.

– Soy hombre! – ryczą zgodnie wszyscy siedzący na koniach.

Ten ryk większość z jeźdźców naprawdę sporo kosztuje. Zwłaszcza że zwrot „siedzący na koniach" ma coraz mniej wspólnego z rzeczywistością. Część z nich bowiem już kilka razy zdążyła spaść z konia. Część zwisa nań tak mocno, że z pewnością, gdy wszyscy ruszą, podzielą los poprzedników. A wyścig potrwa cztery godziny. Czasem dłużej. W jego trakcie jeźdźcy mają pokonywać pętlę między dwoma wzgórzami. Na każdym czeka ich sowicie zakrapiany „punkt pitny" – dodam tylko, że to punkt obowiązkowy. Wyścig wygra ten, który wytrzyma najwięcej. Indiańskiego zdania „nkyi tequila ja'la" (nie chcę już tequili) nikt tutaj dziś nie usłyszy.

U Indian Mam katolicki ryt miesza się z tradycją przodków

Fiesta

Wzdłuż trasy wyścigu ciągną się długie drewniane ogrodzenia. Na belkach oparci ludzie. Gapie. Większość żywo zainteresowana nadchodzącym wyścigiem i jego przebiegiem. Część z racji tego, że Skach Koyl jeszcze się nie rozpoczął, zajmuje się póki co swoimi sprawami. A dziś nie jest to trudne. Całe Todos Santos świętuje. Tak było w nocy. Tak jest o poranku.

Na piaszczystym, niebrukowanym placu ustawiła się muzyczna kapela. Grali w nocy, grają teraz. Przywieźli ze sobą marimbę. Gigantyczne cymbałki, przy których ustawionych jest w tej chwili trzech grajków. Wystukują dźwięczny rytm. Wokół zgromadzeni ludzie. Tańczą. Ktoś wbiega do pobliskiego domu. Po kilku chwilach wraca z wypełnionym kubełkiem quezalteca – lokalnego bimbru. Częstują każdego bez wyjątku. Ktoś rozpoczyna specyficzny układ taneczny.

eprasa.pl 12975ab158

fot. Gene J. Paull

fot. Stefan Czerniecki

Wspomnienie

Skacze w przód, potem w tył. Po kilku próbach przewraca się. Podchodzą do niego inni. Wspólnymi siłami udaje się kompana podnieść. Próbują raz jeszcze. Tym razem wspólnie. Tworząc jednocześnie zabawny taneczny szpaler. I znów: kroczek w przód, kroczek w tył. W zamierzeniu ma to przypominać trucht konia. To przecież jasne – dziś wyścig.

Bogactwo za kurę

Ruszyli. Jeden z uczestników nie zdążył jeszcze wejść na konia. Pomagają mu inni. Jest spóźniony. To jednak nie problem. W tym wyścigu nie chodzi o to,

fot. Wikipedia

Kościół w Todos Santos

kto będzie pierwszy. Chodzi o wytrwałość. Wygra ten, kto najdłużej utrzyma się na koniu. A nie będzie to łatwe. O to już zatroszczyli się kompani nocnych libacji.

Tętent końskich kopyt. Co za szczęście, że chociaż zwierzęta są trzeźwe. Jeden z uczestników już po kilku pierwszych krokach swojego wierzchowca obsuwa się na bok. W tej pozycji pojedzie najwyżej jeszcze kilka metrów. Wreszcie spada. Jest na tyle blisko startu, że zapewne zaraz podbiegną do niego bliscy. Ci sami, którzy wspólnymi siłami usadowili pijanego krewnego w siodle. Teraz znów się udaje. Klepnięcie otwartą dłonią w zad konia i można jechać dalej. Ten uczestnik jednak daleko dziś nie zajedzie. Nie pomogą nawet przywiązane do przodu siodła ręce, co w zamierzeniu bliskich ma pomóc pijanemu w utrzymaniu się na koniu. Za kilka chwil to okaże się bezcelowe. Człowiek znów będzie leżał w rowie.

Nie dla wszystkich jeźdźców upadek z konia kończy się szczęśliwie. Bywają złamania, pęknięcia. Zdarza się też, że podczas wyścigu dochodzi do prawdziwej tragedii. Historia Skach Koyl zna przypadki śmiertelne. Starzy Indianie Mam twierdzą jednak, że lepiej umrzeć w trakcie rajdu pijanych jeźdźców niż w swoim łóżku. Śmiertelny wypadek w trakcie wyścigu ma wedle tradycji Majów oznaczać, że nadchodzący rok będzie dobry. Zwłaszcza jeśli chodzi o plony na polu. Jeśli zaś jeździec przeżyje i w dodatku potrąci w trakcie rajdu kurę... mają go czekać cztery lata bogactwa.

Zemsta syna

Ameryka Środkowa obchodzi okres związany z Dniem Wszystkich Świętych oraz Dniem Zadusznym w sposób dla nas obcy. Można by dodać: „egzotyczny". Jeśli będąc na miejscu, nachylimy ucho nad ogniskiem, usłyszymy być może historię o litościwym bogu deszczu Tlaloca. O majestatycznym bogu słońca Inti. Czy wreszcie o zlokalizowanym na północy

eprasa.pl 12975ab158

Mictlanie – królestwie potępionych. Pradawne wierzenia Majów i Azteków mieszają się ze współczesną wiarą dzisiejszych Indian. Czasem naprawdę ciężko się zorientować, w co tak naprawdę wierzą ci ludzie.

Wyobraźmy sobie na przykład taką scenkę.

Stara Indianka skończyła właśnie swoją pracę. Wstaje od stołu, na którym zostawia tajemniczy pęk związanych liści, posplatanych ze sobą gałązek, powiązanych dziwnymi wstążkami. Zrobiła dwie takie wiązanki. To ofiary. Jedną z nich zawiesza nad stołem w głównej sieni. Z kuchennej izby wychodzi jej mąż. Starannie unosi ze stołu drugie rękodzieło i wychodzi z nim do sieni.

– Co wy właściwie robicie? – pytanie przybysza może i nie wydaje się najbardziej grzeczne, ale czasem ciekawość jest silniejsza.

– Czcimy pamięć naszych dzieci. Nie ma ich z nami już kilka lat. Syn zginął pięć lat temu. Pod kołami ciężarówki. Potrąciła go, a kierowca nawet się nie zatrzymał – matka zawiesza na chwilę głos, by po chwili ciszy dodać: – Córka była młodsza. Ale odeszła od nas w zeszłym roku. Żółta febra. Męczyła się strasznie, biedaczka.

– Przepraszam, że zapytałem. Nie wiedziałem...

– W porządku. Nic się nie stało. Nauczyliśmy się już z tym żyć. O śmierci także trzeba mówić.

– Stąd te dwie ofiary, jak rozumiem?

– Tak, tak. Ta nad stołem to dla Rebeki, naszej córki. A ten drugi to...

– Dla syna – domyślam się. – Dlaczego jednak wieszacie go na zewnątrz sieni?

– Bo się może gniewać.

– Kto?

– Ñjgo – nasz syn. Nie rozumiesz? Zginął nagle. Tragicznie. Nie zdążył przygotować się na śmierć. Stąd mógł nie pogodzić się z tą śmiercią. Może nas nawiedzać.

– Ale dlaczego?

– Z zawiści. Wierzymy, że ginący w wypadkach mogą chcieć zaszkodzić żyjącym.

– Nawet jeśli to wasz syn?

– Nawet.

Dziś nie ostało się już wielu Indian tak skrupulatnie przykładających uwagę do tradycji i wiary praojców. Żyją w Meksyku. Żyją w Gwatemali. Po staremu. Według tego, co przekazali im dziadkowie. W Dzień Zaduszny, tak jak reszta mieszkańców okolicznych wiosek, także oni pójdą na cmentarz. Ale oprócz tego wezmą udział w swoich rytuałach. Przez większość Indian już zupełnie zapomnianych.

Śmierć po latynosku

Najliczniejsza w Meksyku grupa Indian Nahua nie widzi przeszkód w łączeniu wiary katolickiej z ele-

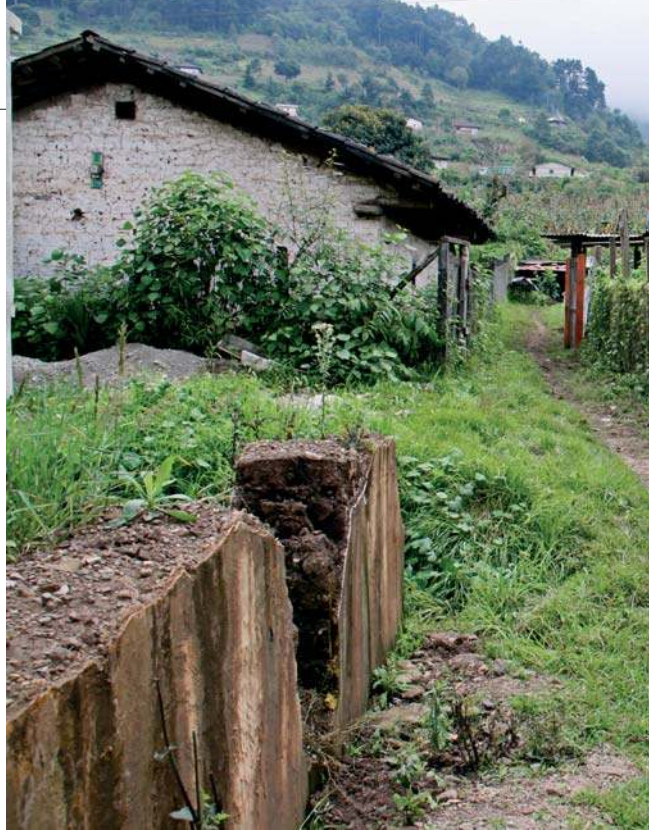

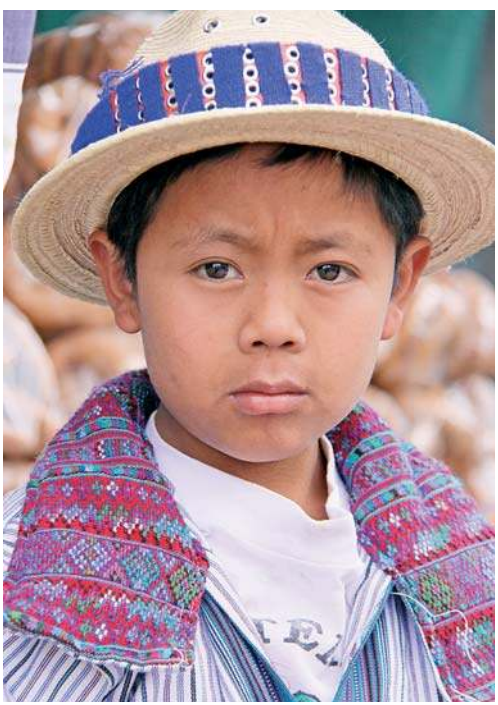

fot. Wikipedia

Młody mieszkaniec Todos Santos

eprasa.pl 12975ab158

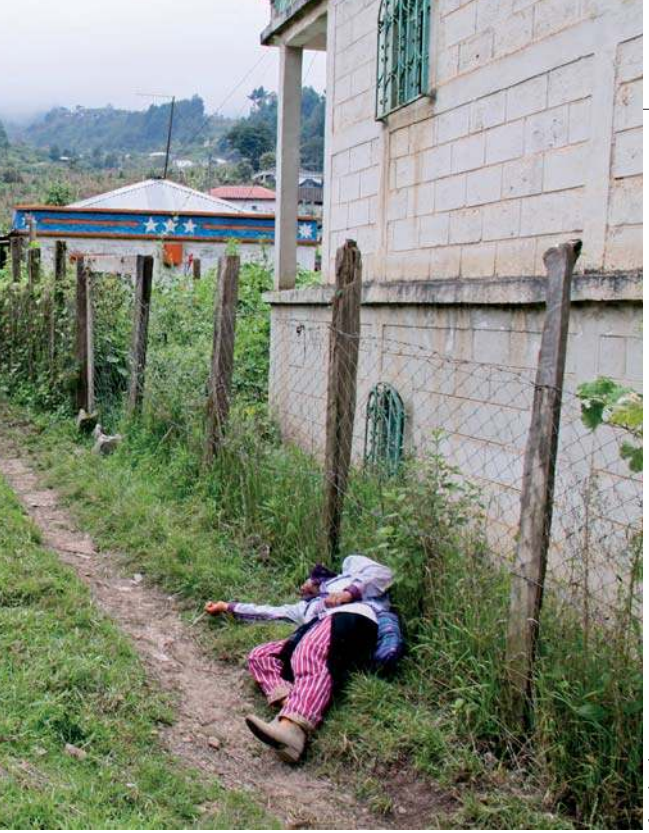

fot. Wikipedia

Po starcie w Skach Koyl...

mentami wiary swych przodków. Wierzą w istnienie życia po śmierci. Nie negują ani nieba, ani piekła. Ale wierzą także w tzw. teyolía (duszę zlokalizowaną w sercu), tonalli (energię pochodzącą z nieba i determinującą przeznaczenie) oraz zlokalizowany w wątrobie ihiyotl (świetlisty gaz o właściwościach przyciągających inne osoby).

Część Indian nadal wierzy w to, że pośmiertny los człowieka nie zależy od sposobu, w jaki żył, ale od tego, jak przyszło mu odejść z tego świata. I tak na przykład topielcy oraz zmarli od pioruna trafiają do królestwa boga deszczu: Tlaloca. Ci, którzy zginęli podczas walk, trafiają na słońce, by tam towarzyszyć mu w podniebnej wędrówce. Reszta dociera do podziemnego królestwa zmarłych Mictlanu, zlokalizowanego, według wiary Azteków, na północy.

Latynosi nie umieją się zbyt długo smucić. Podczas gdy ci, którzy nie zdążyli rano pójść odwiedzić grobów bliskich na cmentarzu i teraz w ciszy składają kwiaty na ich nagrobkach, reszta uczestniczy w czymś zgoła innym. Oto za murami cmentarza odbywa się kolorowy przemarsz z muzyką i tańcami. Uliczna fiesta. Droga, którą pokonują uczestnicy marszu, udekorowana jest niezliczoną ilością straganów. A na nich słodycze, kwiaty, a także... cukrowe czaszki z wypisanymi na czole imionami. Uczestnicy marszu wyszukują swych imion, by następnie nijako „zjeść swoją śmierć".

Latynosowi wychowanemu w aurze codziennie wymawianych w jego otoczeniu słów „tranquillo" i „mañana" („spokojnie" i „jutro") naprawdę trudno wytłumaczyć zagrożenie wynikające z nagłej śmierci. Dla nich to wciąż „mañana". Echo przyszłości. Tlące się gdzieś światełko, ale do niego jeszcze przecież kawał drogi. Zatem tranquillo. Nie przejmuj się i tańcz, bo w tej chwili ciągle jeszcze żyjesz – twierdzą.

Za rok

Wspominanie bliskich zmarłych, ludzi, którzy odeszli, odbywa się bez wyjątku na całym świecie. Gdy opadnie kurz po wyścigu Skach Koyl, gdy mieszkańcy Todos Santos otrzeźwieją, także rozpoczną wspominanie. Wizytacje na pobliskim cmentarzu. Dla populacji tej niewielkiej miejscowości Dzień Zaduszny to także okazja do jeszcze jednego wspomnienia. Mowa o tzw. cichym samobójstwie Majów, które miało miejsce w latach 80. Liczba mieszkańców i tak przecież niewielkiego Todos Santos skurczyła się wówczas prawie o 70 proc. Posłuszne dekretowi prezydenckiemu oddziały gwardii zrównały z ziemią ponad 400 miejscowości zamieszkanych przez Majów, mordując niemal 75 tys. ludzi. W większości rdzennych mieszkańców.

W samym tylko Todos Santos liczba miejscowych zamordowanych przez wojsko w 1982 r. wyniosła prawie 2 tys. osób. Gdy podziwiamy dziś tradycyjny strój przywdziewany przez mieszkańców na okazję wyścigu Skach Koyl, warto mieć świadomość, że ich kolorystyka ma ścisłe powiązanie z tragicznymi wydarzeniami lat 80. Czerwień na spodniach to nawiązanie do przelanej przez przodków krwi. Biel i błękit charakterystycznych koszul to z kolei symbol dusz bliskich zmarłych, znajdujących się już w przestworzach.

Nad Todos Santos powoli gaśnie słoneczne światło. Nie słychać już dźwięków marimby. Nie słychać pijackich krzyków. Nie ma ludzi na ulicach. Jest pusto. Jest chłodno. Obchody zakończone. Gwatemalska mieścina na nowo staje się taką samą, niewyróżniającą się niczym od innych gwatemalskich mieścin, osadą. Starzy Indianie Mam znów pozostaną sami. W niemym i często bezczynnym oczekiwaniu na pieniężne przekazy od bogatszych synów ze Stanów Zjednoczonych. Ci są już w powrotnej drodze do swojej nowej ojczyzny.

Zobaczą się znów za rok. Pozostali na miejscu starsi mają przez ten czas zająć się powierzonymi im w opiekę końmi. Z końcem października wrócą ich bliscy. Na parę dni. Jak co roku. I znów będą się wspólnie cieszyć. ■

eprasa.pl 12975ab158

Marcin Wolski

Bez wiwatu

Dla kogoś, kto by się dziś obudził po roku snu, jest to z pewnością inny kraj. Zwłaszcza jeśli spojrzy się od góry z lotu ptaka. Od dołu, niestety, ciągle te same układy, żeby nie powiedzieć patologie, kraszone niekiedy przez koniunkturalizm niektórych władz lokalnych.

Najważniejsze że Polska wybija się na niepodległość – mocne stanowisko w sprawie uchodźców, odbudowa Wyszehradu, rosnąca rola w NATO, stawianie na narodową suwerenność – to nasze najmocniejsze aktywa. Paradoksalnie próby postawienia nas do kąta przez rozmaite Komisje Weneckie działają na naszą korzyść, zmuszają bowiem do zajmowania zdecydowanego stanowiska i zwiększają społeczne zaufanie do władzy. Również w kwestiach wewnętrznych atak non stop (np. w sprawie Trybunału Konstytucyjnego) wymusza działania trudne do podjęcia z własnej inicjatywy.

Można powiedzieć, że największym atutem rządzących jest słabość, a równocześnie agresywność opozycji, skłóconej, chaotycznej i często bezmyślnej. Zamiast plasowanych ataków, punktowej krytyki – młocka non stop. Toteż o największych postępach można mówić tam, gdzie atak jest najmocniejszy.

Odzyskano (przynajmniej część) mediów. Jak ktoś chce sobie przypomnieć sytuację sprzed roku, niech zajrzy do TVN-u. Tak było wszędzie.

Widać zmiany w resorcie obrony, szykuje się przebudowa resortu sprawiedliwości.

Nieuchronnie zbliża się czas rozliczenia afer i – nie bójmy się tego określić – zbrodni. Nie sądzę, żeby dało się to powstrzymać.

Jednocześnie kupiono, mam nadzieję na dłużej, spokój społeczny – programy prorodzinne, promieszkaniowe, proemerytalne gwarantują, że ani opozycja, ani KOD, ani tym bardziej Wałęsa, nie wyprowadzą milionów na ulicę. Któż chciałby walczyć za Trybunał Konstytucyjny czy interes Airbusa?

W obecnej sytuacji polskiej prawicy nic nie jest w stanie zagrozić poza narwańcami i fundamentalistami we własnych szeregach.

A w przyszłości?

Nie siedzę w głowie Jarosława Kaczyńskiego ani nawet Mateusza Morawieckiego, żeby rozróżnić taktykę od strategii. Perspektywy są wspaniałe – od bezpieczeństwa energetycznego przez odbudowę rodzimego przemysłu, innowacyjność, repolonizację banków i mediów, choć nie zawsze jestem zachwycony wyborem drogi.

Czy nie za łatwo odsunięto w czasie podatek dla banków i supermarketów, sięgając do kieszeni polskiego podatnika? Pomysł, żeby za wszystko zapłacili bogatsi, raczej nie zaowocuje tworzeniem nowych miejsc pracy czy powrotem Polaków zza granicy. Nawet drakońskie zaostrzenie kar, na przykład za machlojki przy VAT, nie zwiększy rzeczywistego wzrostu PKB. Nieopłacalna działalność będzie zwijana lub przenoszona za granicę.

Półtora roku temu pisałem, że największą szansę na lepszą Polskę może dać odblokowanie energii społecznej. We wszystkich wymiarach, nie tylko ekonomicznym, gdzie na podatek liniowy się nie zanosi, a rozdawnictwo „500+" wyparło alternatywne projekty odpisów podatkowych, stymulujących aktywność zawodową.

Niewiele słychać o powszechnej deregulacji, uproszczeniu przypisów i procedur. (Raczej wprowadza się nowe.)

Nie sięgnięto też mocniej do alternatywy kadrowej, by czerpać z zasobów organizacji społecznych (na przykład klubów „Gazety Polskiej"), nie wyzwolono energii Polski lokalnej, ruszając z przyśpieszonymi wyborami samorządowymi. Na rozległych obszarach „dobra zmiana" jest jedynie pozorna. Korporacje trzymają się mocno. Można jedynie liczyć, że „Front Odmowy" wymusi po naszej stronie działania tak doraźne, jak systemowe, i zapobiegnie kolejnej „grubej kresce", wzajemnemu skumplowaniu, zblatowaniu, by „zmieniając wszystko, nie zmienić niczego".

Dlatego zamrożony szampan powinien jeszcze przynajmniej rok poczekać w lodówce. ■

eprasa.pl 12975ab158

Tomasz Sakiewicz

Jak pokonać wroga bez walki

W zasadzie jest to podstawowe zadanie wszystkich służb specjalnych. Wysyłanie czołgów, a nawet skrytobójców to ostateczność, dowód na to, że działania inteligentne zupełnie się nie udały. Użycie wojsk jest zawsze bardzo kosztowne i rodzi możliwość odwetu. Wykończenie przeciwnika od środka czy realizacja konkretnego zadania bez strzału są o wiele bardziej efektywne. Taka gra bez wątpienia jest prowadzona wobec Polaków z Moskwy. Kreml wykorzystuje środki masowego przekazu, media społecznościowe, wspólnoty religijne, ruchy społeczne, polityków i biznes do osiągania swoich celów, które w innym przypadku musiałaby osiągać zbrojnie. Oczywiście robią to nie tylko Rosjanie, ale akurat ich skala działania i ostateczne cele są skrajnie niebezpieczne.

Wyobraźmy sobie taką sytuację: kraj zagrożony agresją ze strony Moskwy chce wprowadzić nowe uzbrojenie, takie, z którym Moskwa sobie nie radzi, np. jakiś rodzaj broni przeciwpancernej. Według wyliczeń rosyjskich sztabowców stworzenie odpowiednich środków przeciwdziałania, np. wzmocnienie pancerzy w czołgach, to miliard dolarów. W dodatku wytworzenie takich środków pochłonie wiele czasu. Co więc należy zrobić, by nie narażać się na wysokie koszty? Nie dopuścić do wprowadzenia nowej broni przez przeciwnika. Jak to zrobić? Na przykład w parlamencie lub rządzie zmienić odpowiednio budżet, by stało się to niemożliwe. Najlepiej by zmiany były na pierwszy rzut oka niezauważalne. Według instytucji zajmujących się korupcją w Polsce, jeszcze kilka lat temu zmiana ustawy w parlamencie kosztowała około miliona dolarów. Tyle trzeba było wydać na skuteczny lobbing, a często zapewne na łapówki, by ustawa podążyła w odpowiednim kierunku.

Jest więc oczywiste, jak Moskwa mogła sobie poradzić z kolejnymi próbami dozbrojenia Polski. Zamiast miliarda dolarów wystarczył milion i dany rodzaj broni był eliminowany. Przedstawiony schemat jest oczywiście uproszczony, gdyż na ogół mamy do czynienia z dużo bardziej skomplikowaną grą na poziomie mediów, urzędników państwowych i polityków. Cele jednak są zawsze zbliżone: osłabić przeciwnika. Czasem można to robić wręcz pod hasłem wzmacniania. Kupujemy np. uzbrojenie zbyt kosztowne.

Bardzo często spotykam się z zarzutem, że przesadzam. Rosjanie przecież nigdy nie uderzą na kraj NATO. W tym stwierdzeniu jest kilka ryzyk. Po pierwsze, Rosjanie już uderzają. Robią to za pomocą instrumentów gospodarczych, informacyjnych i skrytobójstw. Przesuwanie granicy w kierunku bardziej otwartej agresji jest kwestią czasu. Po drugie, na obecne NATO być może na razie nie uderzą. Wystarczy, że osłabną więzy między państwami sojuszu albo USA zwinie parasol atomowy, i nie tylko Polska, lecz także Europa będą dla Moskwy otwarte. Nad takim scenariuszem Rosjanie pracują intensywnie. Wtedy poniesione nakłady na to, by Polska nie posiadała odpowiedniego uzbrojenia, okażą się jak najbardziej zasadne.

Wystarczy, że osłabną więzy między państwami sojuszu albo USA zwinie parasol atomowy, i nie tylko Polska, lecz także Europa będą dla Moskwy otwarte. Nad takim scenariuszem Rosjanie pracują intensywnie.

Nie chodzi tylko o taki czy inny rodzaj uzbrojenia. Chodzi też o ogólne osłabienie kraju, wspieranie wszystkiego, co niszczy ekonomię, morale, struktury państwowe i więzi narodowe. Takie działania są przez Moskwę podejmowane w różnych krajach.

Czy Amerykanie przegrali wojnę w Wietnamie w wyniku błędnych decyzji militarnych i politycznych, czy też w wyniku paraliżu we własnym kraju? Pewnie była to kombinacja różnych decyzji stale analizowanych w Moskwie. USA absolutnie nie doceniły wojny informacyjnej, którą po prostu Rosjanie wygrali. Skutkiem tego było opanowanie całego Wietnamu i ogromne straty w armii oraz wśród sojuszników.

Dzisiaj bez wątpienia celem Moskwy jest polski rząd, szczególnie MON, i wykorzystuje do tego dobrze rozpoznane środki krajowe. Jak na razie wiele nie uzyskała. Będzie próbować jednak dalej. ■

eprasa.pl 12975ab158

niezależna

eprasa.pl 12975ab158